

RWZ010

Gdzieś daleko stąd

Truchan

Mróz

Dominiczak

Juraszek

Ścieszek

Wędrowcy, włóczędzy, wagabundzi

Diórkowski

Sawicki

Dzik

Żytowiecki

Karbowski



GDZIEŚ DALEKO STĄD

wędrowcy, włóczędzy,
wagabundzi

zbiór pod redakcją Dawida Juraszka

Spis treści:

Stanisław Truchan TAO ARIADNY

Andrzej W. Sawicki MULTIPLET

Anna Domińczyk ZNIKNIĘCIE MOJEGO PRZYJACIELA

Maciek Żytowiecki KOŁYSANKA

Bartłomiej Dzik BRUSSELS CITY

Marek Ścieszek DOM

Grzegorz Piórkowski STRACHY

Przemysław Karbowski *EXPEDITIO FRUSTRATI*

Tomasz Mróz NOC W CZARNYM MIEŚCIE

Dawid Juraszek OSTATNIA DROGA

Stanisław Truchan

TAO ARIADNY

I. *Locus phragmitis*

Ada – według dowodu osobistego Ariadna Emma – machnęła niecierpliwie ręką.

– Nie zawracaj mi teraz głowy! Idź poszukaj słownika łacińsko–polskiego. Chyba jeszcze nie oddałeś na makulaturę, co?

– No... Mam go gdzieś... Znaczy... Nie to, że mam go gdzieś, tylko... Powinien leżeć na którejś półce...

– No to na co czekasz?!

Tymon zerknął na kartę tarota opartą o budzik – o ile dobrze rozpoznał, żona miała przed sobą Asa Denarów – i na arkusz papieru zabazgrany kabalistycznymi znakami, po czym westchnął i poszedł do swojego pokoju. Długo nie wracał; widocznie szpargały z czasów, gdy był średnio wybitnym uczniem klasy humanistycznej pewnego renomowanego liceum, tkwiły bardzo głęboko pod nowszymi warstwami kulturowymi (tak przynajmniej powiedziałby jego kumpel z klasy, Michał zwany Cybulkiem, obecnie początkujący archeolog). W końcu jednak zjawił się, dzierżąc w dłoni kieszonkowy słowniczek w ceglastoczerwonych okładkach, z naklejoną z tyłu ceną: 32,00 zł.

– Do dupy ten twój słownik! – usłyszał po chwili. – Nie ma w nim słowa *phragmitis*.

– A po co ci to słowo?

– Potem ci wytłumaczę. W każdym razie to jest ważna wskazówka. Muszę się dowiedzieć, co to znaczy.

– No to może w necie znajdziesz? – podsunął jej Tymon.

– Może. Zaraz sprawdzę.

Ada odpaliła komputer.

– Nie ma – stwierdziła po chwili. – Znalazłam tylko *phragmites*. To jest po prostu trzcina. *Phragmites australis* albo *Phragmites vulgaris* to trzcina pospolita.

– Aduś, w łacinie rzeczowniki się odmieniają. Jest pięć deklinacji, a przypadków sześć. Pewnie to twoje *phragmitis* jest dopełniaczem. Genetivus trzeciej deklinacji. Ale to mi wygląda na zapożyczenie z greki. Ja znałem słowo *calamus*...

– Nieważne. Mnie tu wyszło *LOCUS PHRAGMITIS*. Czyli... To chyba będzie jakieś „miejsce trzciny”?

– Na to wygląda – zgodził się Tymon.

Żona podrapała się po głowie.

– Ale co to za miejsce? Trzeba będzie kombinować dalej.

– No to kombinuj, kombinuj...

Tymon w ogóle nie wierzył w te wszystkie orientalne czary–mary – nieważne: żydowskie, arabskie, indyjskie, tybetańskie czy chińskie – ale za nic w świecie nie odważyłby się do tego przyznać. Sprzeciwianie się Adzie nie było rzeczą bezpieczną.

Od początku zresztą czuł, że nie ma wyjścia. Pozwolił się Ariadnie prowadzić jak Tezeusz przez labirynt – choć inaczej niż on, nie za pomocą nici, ale za rączkę, jak dziecko – nie zastanawiając się nawet nad celem.

* * *

Damian Kozicki gwałtownie odsunął talerzyk z niedojedzoną jajecznicą, omal nie przewracając przy tym kubka kakao.

– Sandra, skończ już z tymi twoimi kapryсами! – burknął. – Nie ty pierwsza w historii jesteś w ciąży! Powiem więcej: nie ty pierwsza w historii nie wiesz, z kim!

– Przede mną pewnie była Dorota z Leszna? Nie miała adresu, tak samo jak ja? – odcięła się córka.

Kozicki rzucił łyżeczkę na talerzyk.

– Miała! Ona nie była taka głupia jak ty! My w waszym wieku byliśmy trochę inni! Czasami zdarzało się nam myśleć!

Ojciec niechętnie wspominał swój przedślubny romans z niejaką Dorotą Gizą, trwający przez ładnych kilka miesięcy – kilka spośród blisko czterdziestu spędzonych w Wuppertalu. Pan Damian, zapewne ku bezgranicznemu zgorszeniu swoich szlacheckich antenatów (być może patrzących na to z nieba razem z Kościuszką, choć Rajnold Suchodolski [*autor* Poloneza Kościuszki, *rozpoczynającego się słowami*

„Patrz Kościuszko na nas z nieba”], o nich nie wspominał), woził taczkami cegły na budowie i mieszał zaprawę w betoniarce. Panna Dorota w tym czasie zmywała gary w jakiejś knajpie. Ich znajomość zakończyła się na wuppertalskim dworcu, gdy ona wsiadła do pociągu jadącego na wschód, a on postanowił jeszcze trochę popracować na niemieckiej *Bäustelle*, bo firma płaciła całkiem godziwe pieniądze, w Polsce nieosiągalne. Do Trzcianca wrócił dopiero półtora roku później.

Dalszych losów Doroty Gizy nie znał. Teraz pewnie była poważną panią profesor od niemieckiego, albo może tłumaczką...

Tak czy owak, zerwanie wynikało po prostu z banalnej niezgodności charakterów.

– No przestańcie! – wtrącił się Andrzej, dziewiętnastoletni syn Kozickiego. – Ja już się nie mogę doczekać tego siostrzeńca. Będzie dobrze.

– Ty lepiej myśl o tym, czy ci się uzbiera trzydzieści procent! – prychnął ojciec. – Żebyś od przyszłego tygodnia nie musiał zakuwać do poprawki.

– Tato, ty dzisiaj wstałeś lewą nogą? Czy cię pchły pogryzły w nocy? Ja miałbym nie zdać matury? Nie wiem tylko, czy będzie osiemdziesiąt procent, czy dziewięćdziesiąt.

– Pewność siebie zgubiła już niejednego – mruknął Kozicki. Jak na potomka rycerzy przystało, dodał jeszcze coś o powrozach w krzyżackich taborach pod Grunwaldem, a potem w milczeniu zabrał się za stygnące resztki jajecznicy.

Andrzej westchnął, wzruszył ramionami i stanął w oknie, tyłem do ojca i siostry, dając w ten sposób do zrozumienia, że wymiana zdań przestała go już bawić. Przez chwilę obserwował ptaka krążącego nad koronami buków – chyba jastrzębia, a może myszołowa – po czym wyszedł z kuchni i zatrzymał się w przedpokoju, jakby niezdecydowany, co ma robić dalej. W końcu z wahaniem przekroczył próg salonu. Nie był pewny, czy przypadkiem nie zostawił tam swojego pendrive’a – tego starego, wręcz archaicznego, śmieszne dwieście pięćdziesiąt sześć megabajtów – którego przedtem nie mógł znaleźć. W gruncie rzeczy nie było na nim niczego ważnego, jedynie garść zdjęć z czasów bardzo zamierzchłych, z pierwszej klasy gimnazjum... Tak, pokazywał je Grześkowi Tomickiemu, trzy albo cztery dni temu, na komputerze Sandry, bo jego laptop był w serwisie – a więc pendrive chyba leży właśnie gdzieś w salonie. Wystarczy się rozejrzeć.

Podszedł do biurka w kącie – i jego spojrzenie padło na wiszące między oknami zdjęcie. Zza szybki patrzyła na niego młoda kobieta, uśmiechając się tajemniczo. Fo-

tografia, pamiętająca czasy Rydza–Śmigłego, wykonana została w najlepszym atelier przedwojennej Warszawy. Stryjeczna babka Andrzeja, Domicela Kozicka, lubiła zadawać szyku. Unikała korzystania z usług podrzędnych fotografów, podrzędnych krawców i podrzędnych fryzjerów; nie odwiedzała też podrzędnych restauracji.

A ta przedpotopowa sepia miała w sobie jakieś dostojeństwo. Nie to, co kolorowe zdjęcia robione aparatem cyfrowym.

Następne zdjęcie Domiceli, z roku 1946, przyszło pocztą z Baltimore. A zaraz po nim – spóźnione zawiadomienie o podwójnym pogrzebie: jej i męża. Podobno wypadek samochodowy. Kto adoptował kilkumiesięczne dziecko? – tego Koziccy z Trzcianca nigdy się nie dowiedzieli. Znicze zapalili na grobie dopiero w sześćdziesiąt lat później; wcześniej przeszkadzał albo brak paszportu, albo brak wizy, albo jednego i drugiego naraz.

Te zdjęcia były jedynymi pamiątkami po stryjecznej babce. Starsze z nich wisiało od lat w tym samym miejscu: metr nad gniazdkiem, do którego wetknięto wtyczkę od nocnej lampki.

A obok nocnej lampki leżał poszukiwany przez Andrzeja pendrive. Dobrze, że nie spadł na podłogę, by nieodwołalnie zniknąć w brzuchu odkurzacza. Swoją drogą, to dziwne, że do tej pory nikt go nie zauważył.

* * *

Tymon siedział przy stole, podpierając brodę pięściami i od czasu do czasu zerkając na żonę pochyloną nad mapą. Coraz bardziej mu się chciało spać – a w dodatku przez cały wieczór czuł się skołowany jak przedszkolak po upadku z karuzeli. Ada, której dominację zaakceptował bez szemrania już w chwili, gdy pewnego zimowego dnia usiedli naprzeciwko siebie przy kawiarnianym stoliku, teraz władała nim (i wszystkim wokół niego) niczym despotyczne orientalne bóstwo, w każdej chwili mające pod ręką najróżniejsze środki przymusu, od zwykłych piorunów po paralizujące spojrzenie Meduzy.

Ciszę, jaka nagle zaległa w całym bloku, gdy tramwaj przy akompaniamencie metalicznego zgrzytu szyn odjechał z przystanku, zakłócało tylko miarowe tykanie starego szafkowego zegara. Obciążniki XIX-wiecznego czasomierza lśniły w świetle lampy metalicznymi odblaskami. Teść Tymona twierdził, że wykonano je ze stopu irydu i platyny – tego samego, z którego sporządzono wzorzec metra w Sèvres; zięć

przez uprzejmość nie zaprzeczał, ale od początku wiedział, że to nie może być stop platyny z irydem, bo ciężar właściwy się nie zgadza. Tak czy inaczej, zegar miał w rodzinie Koralików status relikwii. Owa relikwia trafiła do mieszkania Ady zaraz po ślubie.

Czyli też do mieszkania Koralików. I rzecz nie w tym, że stary Koralik kupił im mieszkanie; Ada, apodyktyczna i nieznosząca sprzeciwu, wymogła na mężu zmianę nazwiska. To, które odziedziczyła po ojcu, było jedyne w swoim rodzaju – nie tak banalne jak Nowak. A Tymon miał dwóch starszych braci, więc Nowaków i tak nie zabraknie.

Sugestię, by oboje pozostali przy dotychczasowych nazwiskach, małżonka zdecydowanie odrzuciła. Być może uznała ten pomysł za symboliczne osłabienie swojej pozycji.

Teraz Tymon Koralik, *de domo* Nowak, siedział przy stole i dyskretnie ziewał, a jego małżonka poszukiwała swojego Świętego Graala. A mówiąc ściśle: miejsca, do którego miało ją doprowadzić jej osobiste Tao. Miejsca, w którym pozytywna energia kosmiczna zapewni Ariadnie – a przy okazji również jej małżonkowi – zdobycie klucza do szczęścia.

Na razie Tao zawiodło panią Koralik – a raczej jej palec o polakierowanym na złoto paznokciu, niestrudzenie wędrujący po mapie sąsiedniego województwa – na porośnięte bukowymi lasami wzgórza powiatu karczowskiego. Drogę wskazała jej niezrozumiała dla Tymona kombinacja kabalistycznych znaków i jakieś liczby, nie wiadomo skąd wzięte, wśród których znalazły się daty ich urodzin, ślubu, najbliższej soboty i numer ich mieszkania na drugim piętrze.

Dlaczego on musiał być obecny (dawniej mówiło się „przytomny”, co w aktualnej sytuacji nie byłoby zbyt trafnym określeniem) przy tych poszukiwaniach?

Ada odrzuciła mapę na tapczan i sięgnęła po następną. *POWIAT KARCZOWSKI*, głosił napis na stronie tytułowej. A niżej, dwa razy mniejszymi literami i cyframi: *SKALA 1:60000*. Rozłożyła ją, przez chwilę wodziła palcem to wzdłuż, to w poprzek poziomic, raz po raz zaglądając do notatek, by w końcu oświadczyć:

– To tutaj. – Złoto lakierowany paznokciec palca wskazującego postukał w zieloną plamę obok słowa „Trzciniec”. – Teraz jeszcze ściągnę dokładny plan tego grajdołu... a potem wyznaczymy dzień i godzinę. Spać pójdziesz później – dodała, szturchając Tymona łokciem.

Cholera jasna, czy naprawdę najlepszą porą na poszukiwanie Tao jest środek

nocy?!

Na ekranie komputera pojawił się plan Trzcínca – małej, niespełna sześcioty-sięcznej miejsciny w powiecie karczowskim, leżącej u stóp wzgórze porośniętego bu-kowym lasem.

– Trzcinię? – Tymon na krótką chwilę się ożywił. – No to już masz to swoje *locus phragmitis*.

– Mhm. Też to zauważyłam. Wcześniej od ciebie.

Polakierowany na złoto paznokcieć powędrował w dół, na południe, i zatrzymał się przy rozwidleniu dróg na peryferiach miasteczka.

– Ostatnie chałupy pod lasem – stwierdziła Ada. – To tam.

Tymonowi znów przyszło do głowy skojarzenie z Tezeuszem. Ariadna Emma Koralik prowadziła go w głąb prawdziwego labiryntu, zbudowanego z kart tarota, orientalnych gadżetów i magicznych formułek – a on bezwolnie za nią podążał. Ktoś patrzący z boku powiedziałby pewnie, że wciąż wodziła go za nos. I w kwestiach życia codziennego, i w tym zwariowanym świecie ezoterycznych doktryn Wschodu. Dokąd zamierzała go zaprowadzić? Czy aż do owego odnalezionego na mapie *locus phragmitis*? I po co?

Co takiego szczególnie ważnego może kryć w sobie zapyziała miejscina w po-wiecie karczowskim?

Może po prostu „ruch jest wszystkim, cel jest niczym”?

W obecności Ariadny Emmy Koralik lepiej było tej myśli nie wypowiadać gło-śno.

* * *

Trzeba w końcu zeskanować te zdjęcia, bo jeszcze je mole zjedzą i wszystko przypadnie – pomyślał Andrzej, odkładając na bok kasetkę z rodzinnymi pamiątkami, z których najstarsze pochodziły jeszcze z czasów Franciszka Józefa I. Jedne fotografie wykonano w dworku lub w dworskim parku w Chodorowie, sprzedanym później na licytacji, inne w nowym domu w Mistrzejowicach – podkrakowskiej wsi, włączonej do Krakowa dopiero po wojnie. A wszystko w sepia i brązach.

O, jeszcze jedno zdjęcie zostało na blacie biurka. To chyba pamiątka odwiedzin u nowego właściciela majątku w Chodorowie. W tle dworek, na pierwszym planie pradziadek z dziećmi: Amelią, Domicelą i małym Michasiem, późniejszym dziadkiem

Andrzeja, a obok nich coś w rodzaju pomnika. Świadeństwo niegdyśszego panowania Kozickich na chodorowskich – pozał się Boże – włościach, obejmujących sto kilkadziesiąt morgów ziemi ornej, dwieście morgów lasu, kamieniołom, cztery stawy i młyn. Czyli tak zwana stela – wykuta z piaskowca tarcza z herbem Półkoźic.

„*In campo rubeo caput asinine deferens, quasi media capra*” – tak w XV wieku opisywał ten herb ksiądz kanonik Długosz. „Przedstawiający ośłą głowę w czerwonym polu, jakby pół kozy”. Z czego wynikało, że wielebny nie był pewny, z jakim zwierzęciem ma do czynienia. Podobno jakiś Ligęza, pieczętujący się Półkoźicem, chciał zamówić tarczę herbową u włoskiego rzemieślnika, ale mistrz odmówił i śmiertelnie się obraził, bo uznał, że możnowładca sobie z niego kpi...

Może to dobrze, że ciotka Domicela zabrała tę kopię tarczy herbowej – wysokości siedmiu i pół cala, szerokości pięciu i trzech czwartych, jak skrupulatnie zanotował pradziadek – wykonaną przez jakiegoś brązownika na krakowskich Grzegórkach? Zawsze to jeden dylemat zoologiczny mniej.

Andrzej znów sięgnął po kasetkę i wyciągnął zdjęcie tego gadżetu. W przeciwieństwie do tarczy na chodorowskiej steli plakietka zawierała wszystkie możliwe elementy herbu: hełm, koronę, cymer, labry i co tam jeszcze przewidziała skomplikowana szlachecka heraldyka. Andrzej znał te słowa, ale wciąż mylił ich znaczenia – i jakoś mu nie zależało na zmianie tego stanu rzeczy. Owszem, historią się interesował, ale nie aż do tego stopnia. Choć, rzecz jasna, był bardzo dumny z siebie, bo dowiedział się ostatecznie (a nawet zrozumiał), co to takiego niello – technika, którą wykonane zostały elementy rysunku na tej tarczce z brązu.

Ciekawe, czy w dawnych czasach, kiedy antenaci Kozickich bronili Małopolski przed najazdem wojsk Rakoczego albo ruszali z Sobieskim pod Wiedeń, syn Sandry miałby prawo do herbu? Chyba jednak nie. Pewnie na okres ciąży ukryto by ją w klasztorze norbertanek albo klarysek, a dziecko zaraz po urodzeniu zostałoby oddane jakimś zacnym, średniozamożnym mieszczanom... W dzisiejszych czasach, na szczęście, nie ma już takich problemów.

Inna rzecz, że szlachcianki w tamtych czasach nie jeździły na nartach. I nie studiowały.

Tak się kończą wypadki na narty zaraz po sesji zimowej. Sandra nie zdążyła się nawet dowiedzieć, w którym pensjonacie mieszkał tamten chłopak. Wyjechał niespodziewanie, podobno po jakimś ważnym telefonie od rodziny; tak przynajmniej twierdził jego kumpel. A o tym, że znajomość będzie mieć z lekka kłopotliwy ciąg dalszy,

Sandra przekonała się już po powrocie z Krynicy, na początku drugiego semestru.

Mówi się trudno. Ważne, żeby dziecko było zdrowe i się nie jękało.

Może to o tym gościu mówiła kilka dni temu Cyganka na krakowskim rynku? Podeszła i zaczęła się naprzykrzać, że powróży, że wie o Andrzeju coś ważnego, że Andrzej ma się spodziewać gościa i że to zmieni całe jego życie... Andrzej podziękował jej w miarę uprzejmie, po czym szybko dał nura do chłodnego wnętrza knajpy na rogu rynku i Wiślniej, gdzie kelnerki o kształtnych biustach krążyły pomiędzy stolikami, roznosząc pokryte zimną mgiełką kufle piwa. Prawdę mówiąc, w żadne wróżby nie wierzył.

Na rok przed licytacją dworku w Chodorowie pewien jasnowidz przepowiedział pradziadkowi oszałamiające powodzenie w interesach i dalekie wojaże. Spełniła się tylko druga część wróżby – i to tylko częściowo, bo Kraków nie leży zbyt daleko od Chodorowa, a Trzciniec jeszcze bliżej. Trudno zresztą mówić o wożazach; raczej już o tułaczce, chociaż rozłożonej na raty.

Najpierw było mieszkanie na krakowskim Podgórzu i nieudana próba osiedlenia się w Warszawie. Potem skromne domostwo w Mistrzejowicach, dwa razy mniejsze od chodorowskiego dworku. Do czasu; chałupę podpálili esesmani poszukujący magazynu broni AK. Kozicy doczekali końca wojny w zapadłej wioszczynie u podnóża Beskidu Średniego. A po wojnie okazało się, że nie ma dokąd wracać. Wyjechali więc na Pomorze, by po kilkunastu latach trafić do Trzcińca, gdzie dziadek Michał znalazł żonę...

Czy Andrzej był jeszcze Kozickim z Chodorowa? Miejsca, w którym wychowało się szesnaście pokoleń potomków pana Augustyna, żołnierza dragonii, uczestnika bitwy pod Byczyną?

W dzieciństwie Andrzej nasłuchiwał się rodzinnych historii i od tej pory nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że osobiście przewędrował całą Polskę, od Chodorowa przez Kraków i Lębork do Trzcińca, i że w Trzcińcu też w gruncie rzeczy zatrzymał się tylko na chwilę, jak turysta.

Kuku–kuku–kuku... Zegar w pokoju ojca obwieścił, że minęła właśnie dziesiąta. Andrzej uświadomił sobie, że siedzi bez ruchu co najmniej od dziesięciu minut.

Odsunął fotel od biurka i wyszedł z pokoju. Skanowanie zdjęć odłożył na później.

* * *

Ojciec zamknął za sobą drzwi łazienki i wszedł do kuchni.

– Mówisz, że jedziesz jutro do Trzcínca?

– Mhm. A co, nie powinienem?

Starszy pan wzruszył ramionami.

– A skądże! Więcej urlopu już w tym roku nie dostaniesz. Rób z tą resztą, co tylko chcesz. Na narty nie pojedziesz, to jedź przynajmniej do kumpla. Skoro do stryjka nie masz ochoty...

Daniel się skrzywił. Wciąż go irytowało wspomnienie tamtego przerwane go przedwcześnie wypadu do Krynicy. Telefon bladym świtem, pilna sprawa, skrócenie pobytu o trzy dni – by po powrocie do domu usłyszeć, że wszystko się rozeszło po kociach...

A to był pierwszy urlop w jego karierze. Teraz zostały mu do wykorzystania mizerne resztki, na które właściwie nie miał pomysłu. Parę razy poszedł na ryby, przejechał ponad sto kilometrów na rowerze, raz wyskoczył z Dawidem Kołaczkiem na piwo do „Sosenki” – i tyle. Wyjazd do Trzcínca, do Marcela Szczukiewicza, z którym przed paru laty dzielił pokój w akademiku, wymyślił właśnie teraz, na poczekaniu. Na szczęście Marcel wciąż miał ten sam numer komórki.

A na wizytę u stryjka w Kamieniu rzeczywiście nie miał ochoty. Przed rokiem opuszczał stary dom, którego połowę odziedziczyli po dziadku Marianie, z uczuciem prawdziwej ulgi. Nie żeby między ojcem i stryjkiem dochodziło do jakichś konfliktów – ale jednak obu rodzinom było tam coraz ciasniej, mimo że jedna i druga od lat żyła sobie niezmiennie w trzyosobowym składzie: rodzice i jedna latorośl (stryjek miał córkę, gimnazjalistkę farbującą włosy na wiśniowo i bez pamięci zakochaną w Justinie Bieberze). Na szczęście drugi dziadek Daniela, ten z Sosnowicy, wyjechał do wujka Adama do Chicago i zostawił dom zięciowi. Daniel w ciągu ostatniego roku nie zdążył jeszcze dokładnie poznać rozkładu pomieszczeń w tej okazałej chałupie, ale ze zmiany adresu był bardzo zadowolony.

A mówiąc ściśle – z tego, że w końcu opuścił stary dom. Bo już nie z tego, że nowy stoi właśnie w Sosnowicy przy alei Norwida, na niewielkiej piaszczystej wydmie z widokiem na ugory porośnięte nawłocią i odległy o blisko kilometr las. Oczywiście sosnowy.

Dopiero za tym borem, za doliną Zaklikówki, o przeszło godzinę drogi od domu, zaczynał się inny świat: kraina pagórków porośniętych stuletnimi bukami, głębokich

wąwozów i zarośniętych maliniakami osuwisk. Jednym słowem – świat taki sam jak w okolicach Kamienia, Chodorowa i Trzcienca. Z tą niewielką różnicą, że Bucznik – najwyższy spośród szczytów widocznych z okien domu w Kamieniu – był wyższy od tych pagórków, a jego stoki bardziej strome.

Gdyby to było możliwe, Daniel podniósłby swój nowy, sosnowicki dom jak budkę dla szpaków i postawiłby go gdzieś w Kamieniu. Oczywiście w bezpiecznej odległości od domu stryjka i jego zakochanej w Justinie Bieberze latorośli. Albo może w Chodorowie. W każdym razie w tamtej okolicy, w swoich rodzinnych stronach. Tam było jego miejsce.

Przez pięć lat, jako student, w każdy weekend jeździł pociągiem z Krakowa do Kamienia i z powrotem. Teraz, po przeprowadzce – mimo niewątpliwej ulgi, z jaką opuszczał stary dom – wciąż miał wrażenie, że wędrówka trwa. Czuł się jak turysta, który na czas nieokreślony wprowadził się do hotelu. W Sosnowicy było mu dobrze – ale nie potrafił uwolnić się od wrażenia tymczasowości.

– Eee... Co?

Tak się zamyślił, że nie usłyszał pytania ojca.

– Mówiłem o Krynicy. Myślałem, że zaraz potem trzeba będzie planować wesele. Ktoś mi coś mówił o jakiejś dziewczynie?

Daniel odwrócił się, by ukryć zmieszanie, i machnął ręką, dając do zrozumienia, że nie ma o czym mówić. Teraz już ledwo potrafił sobie przypomnieć imię tej studentki. Nie wiedział nawet, skąd pochodzi i co studiuje; przecież nie zdążyli nawet dłużej porozmawiać. Wiedział tylko, że zimową sesję zaliczyła bez problemów. No i... pamiętał pieprzyk w okolicach lewej łopatki.

– To o której jutro jedziesz? – Ojciec zmienił temat.

– Ósma dwadzieścia cztery. Nie będę przeplącał za pospieszny, bo też się wlecze jak ślimak.

– I zostaniesz do pojutra?

– Chyba tak.

* * *

Sandra weszła do przedpokoju, zrzuciła buty, założyła kapcie, po czym ciężko usiadła na krześle w kuchni i sięgnęła po karton soku grejpfrutowego, przed chwilą napoczęty przez brata. Nalała sobie pełny kubek, wypila duszkiem, po czym nalała

jeszcze raz – tym razem do połowy.

– I co, w porządku? – zapytał Andrzej.

– Mhm. Lekarz mówi, że wszystko w normie. Ale dzisiaj parno! Burza ma być podobno pojutrze, a mnie się zdaje, że przyjdzie za pół godziny.

– Wytrzymasz – pocieszył ją. – I on... albo ona... też wytrzyma – dodał, zerkając na brzuch siostry.

Odpowiedziała jakimś niezrozumiałym pomrukiem.

– Tobie dobrze, już wiesz, że zdałeś i na ile – powiedziała po chwili z uśmiechem. – A ja jeszcze muszę czekać prawie cztery miesiące.

Andrzej chyba nagle przestał słuchać. Zapatrzył się w okno.

– Co tam widzisz? – zapytała.

– W tym sęk, że nic – przyznał, jakby z wysiłkiem odrywając spojrzenie od gliniastej drogi, która wciąż nie mogła się doczekać asfaltowej nawierzchni. – Ale mam takie dziwne wrażenie... wiesz... że z tamtej strony – ruchem brody wskazał odległą o czterysta metrów kapliczkę pod lipami – ktoś za chwilę przyjdzie albo przyjedzie. Czuję się tak, jakbym na to czekał.

– Wiesz, ja wczoraj też tak miałam. Dziwne...

– No właśnie. Ja to może przez tę Cyganekę... Ale ty?

– Jaką Cyga... Aaa, wiem, opowiadałeś. – Sandra nagle sobie przypomniała, o co chodzi.

Przez chwilę milczeli, a potem dziewczyna podsumowała:

– Wiesz co? Na pierwszym roku mieliśmy psychologię i doktor Malinowska mówiła nam o czymś takim, co się nazywa psychoza natręctw. Ale nam to chyba jeszcze nie grozi?

Andrzej się roześmiał.

– Chyba nie. I nie ma sensu zwracać uwagi na różne takie wrażenia, przywidzenia czy inne *déjà vu*. Do jutra przejdzie.

– Jutro mama wraca z tego szkolenia w Warszawie – przypomniała Sandra. – I znów będzie od rana do wieczora wyglądać, jakby zjadła cytrynę.

– Nie przejmuj się. Nie jest zachwycona, ale potem będzie próbowała zagłaskać dzidziusia jak kociaka.

II. Tao

No i się zaczęło. Wyruszyli. Przenajświętsze Tao Ariadny Emmy Koralik miało ich nieomylnie poprowadzić do celu.

Tao – czyli Droga, koniecznie przez bardzo duże D. Stanowiąca jedną całość z mieszkaniem urządzonym według zasad feng shui, z tymi wszystkimi chińskimi fletami, mobilami wyciętymi z kolorowej folii i zwierciadelkami bagua, ośmioma czakrami i skomplikowanym systemem kabalistycznych formuł. Odwzorowanie Uniwersum. Oś świata. Yggdrasil. Wszechogarniający Logos i Entelechia. I nie wiadomo co jeszcze.

I oto w słoneczny lipcowy dzień, gdy niespełna osiemdziesiąt procent maturzystów leczyło kaca po oblewaniu sukcesu, Tao pani Ariadny Emmy Koralik okazało się pociągiem TLK relacji Katowice–Kraków, potem pociągiem Regio relacji Kraków–Zaklikowice, z postojem na stacji Trzciniec. A dalej już trzeba było piechotą.

Jak trzeba, to trzeba. Prowadź, Ariadno.

Z jakichś powodów Ada nie chciała jechać kupionym przed paroma miesiącami niebieskim hyundaiem. Czy nakazały jej to czakry, Kabała i karty tarota, czy może wyczytała taką radę w zwierciadelku bagua – tego Tymon się nie dowiedział. Gdyby zapytał, raczej nie zrozumiałby odpowiedzi, a potem musiałby dojść do wniosku, że nie rozumiał własnego pytania. Tak więc przyjął decyzję żony bez słowa sprzeciwu czy wątpliwości. Jak zwykle.

Pójście Drogą wskazaną przez feng shui, Kabałę i Bóg wie co jeszcze właśnie tego dnia miało przynieść spełnienie. A nawet Spełnienie – też koniecznie dużą literą, którą wyraźnie było słyhać w tym słowie, wypowiedzanym przez Ariadnę uroczyście i z namaszczeniem. Na czym owo Spełnienie miało polegać – tego Ariadna już nie wyjaśniła, a Tymon nie nalegał. Z westchnieniem rezygnacji poddał się jej nieugiętej woli i niezachwianej wierze w Drogę oraz jej cel. Czy celem miało być osiągnięcie zdolności czytania w myślach, czy może szóstka w Lotto albo wniebowstąpienie w pełnym rynsztunku, wraz z komórką w kieszeni i adidasami na nogach – też lepiej było nie pytać. Mąż adeptki nauk tajemnych nie chciał wyjść na tępego prostaka i troglodytę.

Nie zapytał też, po co jej pistolet, który schowała do torebki.

– Zabrałam ojcu – wyjaśniła krótko, widząc jego zdziwione spojrzenie. Tego zresztą mógł się domyślić; teść miał pozwolenie na broń, a wyjeżdżając, zostawił córce klucze do domu w Brynowie. – Nie ma go do końca lipca, to nawet nie zauważy, że sobie pożyczałam.

I tyle. Tymon nawet nie śmiał podejrzewać, że Ada zaplanowała napad rabunkowy na rezydencję jakiegoś milionera, mieszkającego na peryferiach pipidowy z trzcina w nazwie. Trochę się zdziwił, że nieomylnym wyrokom Tao trzeba będzie – być może – pomóc, używając broni palnej, ale nie powiedział tego głośno. Małżonka już zdążyła go oduczyć wypowiadania niektórych myśli.

Ada zresztą po chwili zdobyła się na parę słów wyjaśnienia. Tymonowi wprowadzie niczego to nie wyjaśniło, ale musiał docenić ów szlachetny gest. Mogła przecież niczego nie tłumaczyć. Profani powinni przyjmować słowa i czyny wtajemniczonych bez komentarzy i bez zadawania pytań.

A wytłumaczyła mu, że zanim Tao doprowadzi ich do celu, będą musieli poradzić sobie z niebezpieczeństwem, jakie stanowi Kafù. Przed tym niebezpieczeństwem nie uchroni ich samo Tao; to już sprawa bezpośrednio zainteresowanych, ich przeorności, silnej woli i konsekwencji w działaniu. Tej przeorności potrzeba naprawdę wiele, bo każde działanie prowokuje przeciwdziałanie, a każda siła przyciąga siłę przeciwstawną.

Kafù. Tymon znał to słowo. Pochodziło z odmiany kreolskiego, używanej przez haitańskich czy też martynikańskich imigrantów mieszkających bodaj na Florydzie, albo może w Alabamie. Niejaki Michel Duval, domorosły guru, głosiciel doktryny ezoterycznej łączącej elementy voodoo z tantryzmem, zen i Wadźrajaną, przedstawiał owo Kafù jako punkt przecięcia sprzecznych ze sobą mocy i dążeń. Dlatego też nadał temu czemuś taką właśnie nazwę: słowo pochodziło od francuskiego *carrefour*, oznaczającego skrzyżowanie.

Na skrzyżowaniu trzeba uważać na samochody, a nie strzelać – pomyślał wtedy Tymon. I znów nie odważył się powiedzieć tego głośno.

Teraz, czekając na Adę, która „musiała najpierw spokojnie rozłożyć karty i coś sprawdzić”, zastanawiał się, czy ten stary, spękany asfalt prowadzący w stronę widocznego na horyzoncie lasu ma cokolwiek wspólnego z jakimkolwiek Tao. Jego przepelniona ezoteryczną wiedzą małżonka siedziała przy stolczku na tyłach niedużego sklepiku, w skupieniu wpatrywała się w rozłożoną na blacie talię tarota, a on błędził roztargnionym spojrzeniem po dziurach w jezdni i po wierzchołkach jabłoni w zdziczałym sadzie, i z minuty na minutę coraz bardziej wątpił.

* * *

Pociąg z Zaklikowic odjechał z pięciominutowym opóźnieniem. W chwilę później, za mostem na Zaklikówce, na horyzoncie pojawiły się pierwsze pagórki. Daniel natychmiast przylepił nos do szyby.

Krajobraz za oknem wciąż był dla niego czymś nowym – choć równocześnie podobnym do tego, który zapamiętał z dzieciństwa. Kiedy mieszkał w Kamieniu, a studiował w Krakowie, zdarzało mu się jeździć do Trzcínca – a jeszcze częściej do Chodorowa – z przeciwnej strony, od północnego zachodu. Czasem wyprawiał się na wschód, do dziadka w Sosnowicy, ale wtedy podróżował jako pasażer starej toyoty ojca; szosa omijała malownicze pagórki, które teraz widział na horyzoncie. Dopiero po przeprowadzce do domu opuszczonego przez dziadka droga do miejsc znanych mu z dzieciństwa prowadziła wzdłuż linii kopulastych wzgórz, porośniętych bukowym lasem, a nie – jak dawniej – po równinie, z lekka tylko pofałdowanej.

Oczywiście wzgórza między Sosnowicą a Trzcínцем nie były żadnymi górami; ot, ledwo kopczyki, z których najwyższy liczył niewiele ponad pięćset metrów nad poziomem morza. Spacer po leśnych drózkach prowadzących na ich płaskie szczyty był prawdziwą przyjemnością, zwłaszcza jesienią, kiedy brązowe liście buków szeleściły pod nogami. W dzieciństwie Daniel odbył kilka takich przechadzek, oczywiście w towarzystwie rodziców i dziadka. Obecnie dziadek chodził na spacerzy nad jezioro Michigan, a Daniel z rodzicami mieszkał w Sosnowicy – i jego droga do Trzcínca lub do Chodorowa prowadziła na zachód, wśród wzgórz.

Właśnie te wzgórza na horyzoncie pochłaniały teraz całą jego uwagę. Ledwo zauważał siedzącą naprzeciwko współpasażerkę.

Siwowłosa kobieta patrzyła prosto przed siebie jasnoniebieskimi, jakby wyblakłymi oczami. Od początku, odkąd Daniel wszedł do przedziału, tkwiła nieruchomo na swoim miejscu przy oknie, ze spojrzeniem skierowanym może na półkę nad jego głową, a może na wiszące nieco niżej zdjęcie lokomotywy Stephensona. Trzeba było ją bardzo uważnie obserwować, by odkryć, że oddycha. Od czasu do czasu też mrugała zaczerwienionymi powiekami – o ile takie ledwo dostrzegalne drgnięcie można nazwać mrugnięciem.

Czas szybko mijał. Na horyzoncie, w odległości paru kilometrów, wyrósł nagle przekaźnik telewizyjny. To już Kukłówka, czterysta dziewięćdziesiąt sześć metrów nad poziomem morza. Daniel był tam kiedyś z ojcem. Miał wtedy chyba siedem lat. Jak przez mgłę pamiętał gliniastą polną drogę, kopki siana, a potem wąwóz wśród strzelistych buków, jakieś nieduże skałki...

Ale skoro widać już przekaźnik na Kukłówce, to trzeba się pomału zbierać. Jeszcze tylko dwa przystanki. Każdy w szczerym polu, na skraju wsi. Potem zakręt, za nim neogotycki kościół w Trzcincu, i stacja kolejowa na peryferiach miasteczka.

Uniósł głowę, zastanawiając się, czy już ściągnąć plecak z półki, czy jeszcze chwilę poczekać.

– Wsiadasz w Trzcincu, prawda? – usłyszał nagle.

Zaskoczony spojrział na siwowłosą kobietę. Zupełnie zapomniał o jej obecności. Wcześniej zresztą miał wrażenie, że nieznajoma przebywa myślami w zupełnie innych rejonach rzeczywistości, że nawet nie zdaje sobie sprawy z istnienia świata wokół niej.

– Tak – potwierdził. – Ale skąd...

– Dziecko, ja często jeżdżę tym pociągiem! – odpowiedziała staruszka. – W różnych kierunkach. A ty się nazywasz Daniel Komosa, prawda?

– Skąd pani wie?

Kobieta uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Nie, nie myśl sobie, że jestem jakąś wróżką albo kimś podobnym. Po prostu mam bardzo dobrą pamięć. Tyle mi jeszcze zostało z dawnych czasów... A pamiętasz ten wypadek na stacji w Jaziskach?

Owszem, Daniel pamiętał. Wraciał wtedy do domu po pierwszej wizycie na uczelni. Pociąg, którym jechał, utknął w Jaziskach na blisko godzinę. Przyjechały karetka i radiowóz, przesłuchano kilkunastu świadków, wśród nich był też on, świeżo upieczony student politechniki.

– Policjant stał metr ode mnie – wspominała siwowłosa pasażerka – i kiedy notował nazwiska, to sylabizował. A ja mam dobrą pamięć. Zapamiętałam.

To się zgadzało. Daniel wciąż jeszcze pamiętał, że sylabizowanie policjanta trochę go bawiło, a trochę irytowało.

Kobieta nagle się ożywiła. Uniosła brwi, a jej oczy utraciły dotychczasowy wyraz absolutnej obojętności. Spojrzenie zogniskowało się na twarzy Daniela. Wyglądało to tak, jakby nieznajoma o czymś sobie przypomniała albo jakby niespodziewanie przyszła jej do głowy jakaś szczególna myśl.

– Synku – zapytała – a ty do tego Trzcinka na długo czy tylko na chwilę?

– Wracam do Sosnowicy jutro po południu – wyjaśnił Daniel. – A o co chodzi?

– Widzisz – tłumaczyła staruszka – ja mieszkam w Chodorowie i teraz wracam do siebie, nie mam czasu, żeby wpaść do Trzcinka. Straciłabym chyba z pięć godzin. Jutro nie mogę się ruszyć z domu, dopiero pojutrze... A jest jedna pilna sprawa. I na-

wet nie mogę zadzwonić, bo zgubiłam gdzieś numer. Przekazałbyś coś komuś? Ale to daleko od stacji, aż na Bukowinie...

W Chodorowie? Dziwne. Daniel bywał tam dość często, znał z widzenia chyba wszystkich mieszkańców wioski, ale tę kobietę na pewno widział po raz pierwszy.

Odruchowo zerknął na swój plecak. Pociąg właśnie ruszył z przystanku – tego przedostatniego przed Trzcińcem.

– Bukowina? To wcale nie tak daleko. Mogę się przespacerować, mam czas.

– To dobrze, to dobrze... No to pójdziesz na Bukowinę, dojdiesz do kapliczki pod czterema lipami...

– Znam to miejsce – wtrącił Daniel, równocześnie ściągając lewą ręką plecak z półki.

Kobieta wyjęła z torby mały pakunek oklejony taśmą, po czym mówiła dalej:

– Tam skręcisz w prawo, w polną drogę, i poszukasz domu tego pana. – Wskazała palcem adres. – Poznasz od razu, który to, bo przy bramie rosną dwie surmie. Powinny jeszcze kwitnąć. Wiesz, jak to drzewo wygląda?

Daniel ograniczył się do kiwnięcia głową. Zakładał właśnie plecak na ramiona i to go absorbowало trochę bardziej. Lewa szelka jak zwykle się zwinęła.

– I dasz to komukolwiek z rodziny, kto akurat będzie w domu – dokończyła. – Nie bój się, to nie bomba ani narkotyki – dodała jeszcze z uśmiechem.

Pociąg właśnie odjeżdżał z ostatniego przystanku przed Trzcińcem. Trzeba było ruszyć do wyjścia.

– Zaniose – obiecał Daniel, odbierając od niej pakunek. Na nazwisko adresata nawet nie spojrzał, odłożył to na później. – A gdybym nikogo nie zastał... to co?

– Nie bój się, ktoś z nich na pewno będzie w domu – zapewniła go staruszka.

* * *

Elwira Ewert była w złym humorze. I nie wiedziała dlaczego. Bo chyba nie z powodu wczorajszej rozmowy telefonicznej – co to to nie.

Odebrała swój pierwszy dowód osobisty, wróciła do pustego mieszkania, zaciągnęła rolety, bo słońce zaczęło już zaglądać do okien od południowego zachodu, a potem zadzwoniła do pewnego warszawskiego antykwariatu. Panienska po drugiej stronie – zapewne po to, by się popisać swoją rozległą wiedzą – zapytała, czy Elwira jest może krewną słynnego przedwojennego wydawcy. I nie była pierwszą osobą, która

zadła jej takie pytanie. A to Elwirę zawsze irytowało.

– Nie, przecież pani powiedziałam, że Ewert przez „w” – wyjaśniła, starając się nie podnosić głosu. Chyba niezupełnie jej się to udało. Ta krótkotrwała irytacja roz-
wiała się jednak niby dymek z papierosa na porywistym wietrze.

Teraz, kilkanaście godzin po tamtej rozmowie, nastrój miała dość podły, i to od samego rana. Zupełnie jakby wstała lewą nogą z łóżka. A przecież w trakcie jedno-
dniowego wypadu do Zaklikowic nie wydarzyło się nic takiego, co mogłoby popsuć jej humor. To była jednodniowa i jednonocna przerwa w beztróskich wakacjach, banalna podróż osiemnastolatki do rodzinnego miasta, gdzie czekał na nią dowód osobisty. Elwira nie miała żadnych powodów do zmartwień, nikt też jej nie nadepnął na odcisk, nie potknęła się rano o dywan ani nie zgubiła grzebienia. Nawet upał za bardzo jej nie doskwierał.

Kiedy pociąg Zaklikowice – Kraków zatrzymał się na stacji w Trzcincu, nic się pod względem jej nastroju nie zmieniło. Elwirę drażnił widok ludzi opuszczających wagony, rowerzystów na pobliskiej ulicy, a nawet gołębi na dachu budynku stacji. Gdyby miała jakoś opisać swój stan ducha, powiedziałyby, że jest to kombinacja złości i chęci zabarykadowania się w ciasnym pokoju, najlepiej za pancernymi drzwiami.

Wysiadła i ruszyła przed siebie, wkładając w każdy krok dwa razy więcej energii, niż było potrzeba, zupełnie jakby chciała wyładować zły humor na betonowej nawierzchni peronu. Innych wysiadających pozostawiła daleko w tyle; gdy tamci dotarli dopiero do bramki w przejściu, ona już wchodziła do brudnej, zapuszczonej poczekalni.

Nagle zamarła z jedną stopą powietrzu. Jakiś niezrozumiały impuls zmusił ją do odwrócenia głowy.

Między pomalowanymi w biało–czerwone pasy barierkami przechodził starszy od niej o kilka lat chłopak w niebieskim T–shircie z mocno spranymi czarnymi aplikacjami. Elwirze wydało się, że skądś go zna. Ale skąd? Na pewno nie widziała go w pociągu – siedzieli chyba w dwóch różnych wagonach. Czy kiedykolwiek wcześniej go spotkała? Tego nie potrafiła sobie przypomnieć. Mimo to wyglądał znajomo: i twarz, i sylwetka z czymś się jej kojarzyły – z jakimś niewyraźnym obrazem przeszłych wydarzeń...

Opuściła stopę na betonową posadzkę.

Chłopak w niebieskim T–shircie nie wszedł do budynku. Ruszył w kierunku zarastającej trawą rampy, gdzie w dawnych czasach rozładowywano wagony z węglem

i składowano pnie drzew wyciętych w okolicznych lasach. Pójdzie pewnie do miasteczka na skróty, wyjdzie na ulicę ścieżką ukośnie przecinającą nasyp. Podobno w dawnych czasach SOK–iści wlepiali za to mandaty; teraz można było chodzić po rampie bez przeszkód, przynajmniej dopóki nie pojawi się napis *NIE DEPTAĆ TRAWNIKÓW*.

Elwira zauważyła, że nieznajomy na krótką chwilę zatrzymał się, mijając kępę pokrzyw i łopianów, bujnie krzewiących się obok koślawego chodnika. Sprawiał wrażenie zaskoczonego tym widokiem. A więc był w Trzcińcu nie po raz pierwszy. Najwyraźniej zdziwił go brak obskurnego kibla z białych cegieł, który – jak się dowiedziała od rodziców – stał w tym miejscu jeszcze poprzedniego lata. Rodzice pokazywali jej zdjęcie tego przybytku dość wątpliwej higieny, ozdobionego ogromnym graffiti: *MY TU BYLI(śmy)*; owo „śmy” dopisane było innym kolorem, niebieskim, podczas gdy napis majuskułą czerwienił się jak kiście jarzębiny we wrześniu. Wszystko wskazywało na to, że chłopak w niebieskiej koszulce odwiedził Trzciniec w czasach, kiedy wygodka – omijana szerokim łukiem przez wszystkich poza nieuleczalnymi masochistami – jeszcze sobie spokojnie stała w tym miejscu.

Elwira przemierzyła poczekalnię i wyszła na placyk po przeciwnej stronie budynku. Ku jej zaskoczeniu nieznajomy już tam był. Szedł w kierunku ulicy Zielonej, omijającej centrum Trzcińca, w tym samym kierunku co ona. Ewertowie spędzali urlop w gospodarstwie agroturystycznym na Podleśnej, za trzecim skrzyżowaniem.

No to będzie nam po drodze – pomyślała. Wzruszyła przy tym ramionami, bo przecież nie zamierzała zawierać z tym chłopakiem znajomości, nie uważała też, by potrzebna jej była męska eskorta. Trzciniec uchodził za miasteczko wyjątkowo spokojne i bezpieczne, nawet w środku nocy.

Uśmiechnęła się na myśl o przedmiocie schowanym na dnie małego plecaczka. Gospodarz miał sześciolatniego synka i Elwira kupiła dla niego w Zaklikowicach upominek: pistolecik na wodę. Niech się dzieciak dobrze bawi w wielkanocne poniedziałki. Ciekawe, czy gdyby wyciągnęła tę niby–broń, by nastraszyć jakiegoś natręta, ktokolwiek dałby się nabrać...

Powoli, bez pośpiechu przeszła przez placyk, omijając samochody zaparkowane przed budynkiem stacji. Ruszyła Zieloną pod górę, trzymając się w odległości kilkunastu metrów od chłopaka w niebieskiej koszulce. Teraz dopiero zauważyła, że nieznajomy ściska pod pachą nieduży pakunek. Wyglądało to jak przesyłka pocztowa – szary papier, przezroczysta taśma odbijająca promienie słoneczne. Paczuszka mogła

zawierać książkę, jakieś czterysta, najwyżej pięćset stron standardowego formatu A5.

Chłopak nieco przyspieszył. Ona też. W kilka minut później on zwolnił i zaczął się rozglądać, potem wyciągnął z plecaka białą bejsbolówkę i założył na głowę – a jej w tym samym momencie wpadł kamyk do buta. Ściągając lewego adidasa, pomyślała, że teraz wygląda tak, jakby go śledziła, i to bardzo nieudolnie.

Wytrzepała kamyk i podniosła głowę. Dopiero w tym momencie odkryła, że najbliższy budynek jest sklepem. Właściwie sklepikiem – jednym z wielu prowadzonych dawniej przez GS-y; pełno takich było po wsiach i na peryferiach małych miasteczek. Teraz część z nich stała pusta i popadała w ruinę, inne znalazły nowych właścicieli. Ten przy Zielonej wciąż działał; drzwi były otwarte, nad nimi czerwieniła się reklama Coca-Coli, a na tyłach budynku stał zbity z topornych desek stolik, osłonięty przed promieniami słońca parasolem ozdobionym napisem BROK. Pewnie stali bywalcy sklepu mieli zwyczaj zasiadać tam przy piwie.

Teraz ławki przy stoliku okupowała para młodych ludzi: kobieta w białej koszulce z czarnym symbolem Ankh i mężczyzna w T-shircie zdobnym w brodate oblicze jakiejś gwiazdy heavy metalu. Ona pochylała się nad koślawym blatem, on śledził znudzonym spojrzeniem harce sikorek w koronach krzywych jabłoni, otaczających zarośnięty chwastami prostokąt fundamentów wiejskiej chałupy, z której pozostała tylko kupa potłuczonych dachówek.

Elwira rozpoznała ich: to oni stali na skrzyżowaniu Zielonej i Polnej, gdy pociąg wjeżdżał na stację. Chyba tutejsi. A jeśli nie, to pewnie wysiedli z autobusu na przystanku przed skrzyżowaniem. Mogli też przyjechać pociągiem z przeciwnej strony, z Krakowa.

Mijając sklep, obejrzała się i zobaczyła, w co wpatruje się nieznajoma kobieta. Cały blat zasłany był kartami. Czyżby pasjans? Tak po drodze do domu?

* * *

Ada jednym ruchem dłoni zgarnęła karty ze stolika i spojrzała na męża.

– Widziałeś ich? – zapytała.

– Kogo?

– Ech ty! Przy tobie ktoś mógłby z mieszkania meble wynieść i pewnie byś nie zauważył! Mówię o tej parze.

Tymon oderwał wzrok od krzywych jabłoni i spojrzał na drogę, dostrzegając

przechodniów idących wolno pod górę.

– Jaką parę? Każde z nich jest samo...

Faktycznie, chłopaka w niebieskiej koszulce i dziewczynę w pomarańczowej bluzce dzielił dystans co najmniej stu pięćdziesięciu metrów. Ona mogła widzieć z daleka jego plecy, ale z tej odległości raczej nie była w stanie rozpoznać logo na klapie plecaka. On być może nawet nie zdawał sobie sprawy z jej obecności. Szedł, nie oglądając się, w lewej ręce trzymał jakiś pakunek, a prawą od czasu do czasu poprawiał białą bejsbolówkę na głowie.

– Pozory, Tymciu, pozory. Oni są razem, nawet jeśli jeszcze o tym nie wiedzą. – Ada zerknęła na trzymaną w ręce talię kart i dodała: – A najważniejsze jest to, co on niesie... i dokąd.

– Tarot ci to powiedział?

– Tak.

Spojrzenie spod sztucznie pogrubionych rzęs mówiło wyraźnie: „Tylko nie próbuj dyskutować”. I Tymon bynajmniej dyskutować nie zamierzał.

– W takim razie... pewnie pójdziemy za nimi? – zapytał po chwili milczenia. Prawdę mówiąc, nie był zachwycony tym pomysłem. Nie lubił wchodzić obcym ludziom w drogę. To było co najmniej krępujące.

– Mhm. Ale jeszcze nie teraz. Potrzebuję chwili koncentracji.

I poszła się koncentrować. Po kilkunastu sekundach skryły ją gęste zarośla na skraju niewielkiego parowu za sklepem.

* * *

Elwira się zatrzymała. Uświadomiła sobie właśnie, jak bardzo chce się jej pić. Na szczęście sklepik, który przed chwilą minęła, był niedaleko. Wystarczyło zawrócić i przejść kilkadziesiąt metrów w dół. No, może nie kilkadziesiąt, a nieco ponad sto.

Kątem oka zauważyła, że młody mężczyzna, który przed chwilą siedział przy stoliku za sklepem, teraz niecierpliwie przestępuje z nogi na nogę, tak jak poprzednio błędząc spojrzeniem po wierzchołkach sąsiednich drzew. Towarzysząca mu kobieta gdzieś znikła. Jej karty też. Na blacie leżała tylko reklamówka z plastikową butelką.

Peryferyjna świątynia handlu (albo raczej kapliczka) zaopatrzona była dość marnie. Soki – wszystkie bez wyjątku konserwowane benzoesanem sodu i sorbinianem potasu, a do tego słodzone aspartamem. Woda – wyłącznie gazowana. Piwo – w

puszkach i w butelkach, z pięciu różnych browarów – oczywiście ciepłe... I żadnych lodów.

Po długim namyśle Elwira zdecydowała się na coca-colę light. Tyle samo warta co cała reszta, ale przynajmniej smak odrobinę przyjemniejszy.

Po opróżnieniu litrowej butelki i zapakowaniu drugiej do plecaka (Po co? – zapytała sama siebie, zasuwając zamek błyskawiczny. Przecież w domu będę mogła pić, co mi się podoba, lodówka jest prawie pełna!) ruszyła dalej. Chłopak w niebieskiej koszulce właśnie mijał skrzyżowanie, na którym Elwira miała skręcić w prawo.

Nie skręciła. Poszła prosto, zapatrzona w jego plecy. Niby nie zamierzała go śledzić, on jej przecież w ogóle nie interesował, nie widziała też powodu do zawarcia znajomości – ale wciąż kroczyła jego śladami, sama nie wiedząc, po co.

Chłopak zmierzał prosto do kapliczki pod czterema lipami. Pod pachą wciąż trzymał tajemniczy pakunek.

Dopiero teraz zauważyła, że w tym samym kierunku, wąską ścieżką równoległą do ulicy Zielonej, zmierza tajemnicza para, która przedtem siedziała przy stoliku na tyłach sklepu. Widocznie wyprzedzili ją, kiedy zawróciła, by kupić coś do picia.

Ale czemu zeszedli z drogi? Gdyby im przeszkadzały dziury w asfalcie, mogliby skorzystać z pobocza. Zgodnie z przepisami zresztą. Zielona była ruchliwa jak zdechły leniwiec, przejeżdżał tędy jeden samochód na pół godziny – ale przecież po jezdni się nie chodzi. Może myśleli, że na ścieżce nie będą rzucać się w oczy?

Kiedy chłopak, minąwszy kapliczkę pod czterema lipami, skręcił w prawo, tamci poszli za nim. Elwira, sama się sobie dziwiąc, podążyła za nimi.

III. Kafù

Damian Kozicki otworzył. W progu stał chłopak starszy o kilka lat od jego syna – być może student ostatniego roku – ubrany w niebieski T-shirt, tak sprany, że czarnych napisów w żaden sposób nie dało się odczytać; można było się jedynie domyślić, że to resztki jakichś angielskich słów.

– Dzień dobry, czy pan... Damian Kozicki? – zapytał, zerkając na trzymany w ręce pakunek oklejony taśmą.

– Tak. O co chodzi?

Nieznajomy wskazał pakunek.

– Ktoś mi to dał dla pana. Taka starsza kobieta, wyglądała na siedemdziesiąt pięć lat, może nawet osiemdziesiąt... Dowiedziała się, że jadę do Trzcianca...

– Mmm... To może pan wejdzie? Pewnie chętnie się pan napije czegoś zimnego?

Gość przyjął propozycję z ledwo maskowanym entuzjazmem. Nic dziwnego: dzień był gorący i parny.

Gospodarz posadził przybysza w fotelu przy masywnym dębowym stole i wyszedł. Po chwili wrócił w towarzystwie Andrzeja i sześciu puszek piwa.

Chłopak w niebieskiej koszulce przedstawił się jako Daniel Komosa. Od razu też zapytał o pokrewieństwo gospodarza z dawnymi właścicielami dworku w Chodorowie. Gawędzili później o wszystkim i o niczym, odkładając na później sprawdzenie zawartości pakunku. Obaj Kozicki uznali, że tajemnicza przesyłka może poczekać.

A w chwili, gdy gospodarz otwierał drugą puszkę, czas nagle przyspieszył.

Z korytarza dały się słyszeć kroki. Ktoś się chyba potknął o dywan i rozległo się stłumione: „Kurde!”, któremu towarzyszyło tupnięcie w posadzkę. A w sekundę później w progu stanęła córka gospodarza.

Na zrozumienie, skąd się bierze osłupiała mina gościa i okrągłe jak spodki oczy dziewczyny, Kozicki potrzebował najwyżej trzech sekund.

– Daniel?!

– Sa–sa–sandra?!

Gospodarz zauważył spojrzenie, jakim gość obrzucił sylwetkę jego córki, ze szczególnym uwzględnieniem krągłości w talii. Wszystko stało się jasne.

– No, przynajmniej przedstawiliście się sobie imionami – rzucił zgryźliwie. – Dobre i to. Myślałem, że wszystko się odbyło *incognito*.

– A teraz mogą ustalić jakieś konkrety – włączył się Andrzej, by rozładować napięcie. – Dla dobra przyszłych pokoleń, że tak powiem.

Ojciec nie zdążył odpowiedzieć. Przeszkodził mu dobiegający z korytarza odgłos kroków.

– A któż tam znowu? – zdziwił się. – Tak bez pukania?

– Może mama wcześ...

Andrzej nie dokończył zdania. Nie dlatego, że korytarzem nadchodziły dwie osoby, z czego zdał sobie sprawę z pewnym opóźnieniem. Przerwało mu głośne: „Ręce do góry!”, poprzedzone – o ułamek sekundy zaledwie – zduszonym okrzykiem Sandry,

bezceremonialnie odepchniętej na bok. Do pokoju weszła młoda kobieta w białej koszulce ozdobionej czarnym znakiem Ankh. Za nią wsunął się mężczyzna o rozbieganych oczach, w których malowało się pytanie: „Ludzie, co ja tu do cholery robię?!”.

– Nie radzę próbować żadnych sztuczek – oświadczyła kobieta. – W magazynku jest pięć naboí.

Nie próbowali. Woleli nie sprawdzać.

– Ty... – Napastniczka zwróciła się do wystraszonego faceta. Nie zabrzmiało to jak zaimek, raczej jak pierwsza sylaba dłuższego słowa, którego postanowiła jednak nie wypowiadać. Może to był początek imienia jej towarzysza? – Ty zabierz to coś ze stołu.

Mężczyzna posłusznie wyciągnął rękę po pakunek oklejony taśmą, ale powstrzymał go głośny okrzyk:

– Rzucić broń!

Kobieta odwróciła się zaskoczona. Wypuściła pistolet. Próbowwała go jeszcze złapać w locie i przypadkowo nacisnęła na spust. Huknęło. Kula utkwiała w cokole szafy. Broń wylądowała na dywanie.

Napastniczka zamarła bez ruchu w półprzysiadzie. O metr od jej skroni czerniał wylot innego pistoletu. Trzymająca go dłoń należała do osiemnastoletniej dziewczyny. Tej widzianej wcześniej koło sklepu.

– Oboje pod ścianę! – zakomenderowała nowo przybyła.

Posłuchali.

– Poszukajcie jakichś sznurów do bielizny albo czegoś podobnego – powiedziała do Kozickich, podnosząc upuszczony przez przeciwniczkę pistolet. Ten, z którym przyszła, odrzuciła niedbale na stół. Dopiero teraz zauważyli, że był to zwykły straszak, nieszkodliwa dziecięca zabawka.

Mężczyzna nie stawiał oporu. Kobieta trochę się szarpała. Urwał się jej pasek od torebki. Zawartość wylądowała na podłodze. Koziccy postanowili niczego nie ruszać aż do przyjazdu policji.

* * *

Tymon spojrział w dół i się skrzywił. Kajdanki trochę go uwierały.

– No i mamy to twoje Tao! – mruknął, spoglądając z ukosa na żonę.

– *Odi profanum vulgus et arceo* – mruknęła Ariadna. – Ty do Tao nie dorosłeś.

Nie narzekaj, nic ci się nie stanie. Bo Tao...

Przerwała, bo radiowóz nagle podskoczył na zeszlówiecznej dziurze w asfalcie.

– Tobie łatwo mówić! – burknął Tymon, sam się sobie dziwiąc, skąd u niego nagle tyle odwagi. – Kiedy im zaczniesz opowiadać o Tao, Kafù, feng shui, tarocie, Kabale i czakrach, to cię wyślą na leczenie zamiast do pierdla. W Lublińcu podobno nie jest tak źle, wykręcisz się tanim kosztem. A ja?

Gdyby w mitach i legendach tkwiło choć ziarno prawdy, spojrzenie Ariadny zamieniłoby Tymona, radiowóz z policjantami, dziurawy asfalt i z dziesięć najbliższych domów w malowniczą kulę ognia. Tymon poczuł, że gniew małżonki stał mu się nagle cudownie obojętny.

* * *

– To ja może coś upichcę w mikrofalówce – oświadczył Kozicki, wstając z fotela.

Musieli przyznać, że podjął decyzję ze wszech miar słuszną. Sandra była zbyt zaabsorbowana Danielem, by myśleć o gotowaniu. Właśnie ustalili imię dla przyszłego potomka – jeśli chłopczyk, to Pawełek, jeśli dziewczynka, to Edytka – i przeszli do analizy całokształtu. Z kolei Andrzej – skądinąd dość utalentowany kulinarnie – znalazł tyle wspólnych tematów, które musiał omówić z Elwirą, że trudno go było oderwać od tej ożywionej dyskusji i skłonić do zajęcia się prozą życia. A pani Michalina Kozicka, jako się rzekło, na razie przebywała poza domem. Sytuację mogła uratować tylko mikrofalówka.

Przyszły zięć gospodarza zdążył w tym czasie – po konsultacjach z przyszłą małżonką – poinformować ojca, jak się sprawy mają. Wyciągnął komórkę, wyszedł na korytarz, wybrał numer... a potem Kozicki, stojący właśnie w drzwiach kuchni, omal nie wybuchnął śmiechem. Już sam widok skruszonej miny Daniela, który wyglądał jak dziecko skarcone za przedwczesne zerwanie pierniczka z choinki, był dość zabawny, a kiedy chłopak wyjąkał: „Ale... tato... nie będziesz na mnie krzyczał?”, zachowanie powagi okazało się absolutnie niemożliwe. Mikrofalowy kucharz czmychnął do królestwa kotletów i bigosów i zatkał usta ścierką pospiesznie ściągniętą z wieszaczka obok zlewu.

Resztki złości na córkę i jej zimowego amanta rozwiały się jak para z czajnika.

Zawartością tajemniczego pakunku przyniesionego przez Daniela zajęli się dopiero po obiedzie. Poszły w ruch ostre narzędzia – najpierw krótki nożyk, potem no-

życzki krawieckie – i w końcu spomiędzy grubych warstw papieru wyłonił się lekko spatynowany metalowy przedmiot w kształcie tarczy.

Andrzej ze zdziwienia otworzył usta tak szeroko, że mógłby chyba połknąć w całości Ciapka, ciemnopłowego pekińczyka sąsiadów, który właśnie się rozszczękał za płótem.

– P–p–półko–ko–kożic! – wyjąkał. – Ten... Ten... Ta plakietka, którą ciotka Domicela zabrała do Stanów!

– Jesteś pewny? – zapytał ojciec, też bezgranicznie zdumiony.

– Przecież widzisz, że Półkożic, nie?

– Ale skąd wiesz, że ten sam?

Syn wstał i poszedł po drewnianą kasetkę ze starymi zdjęciami. Postawił ją na stole i pobiegł po metr krawiecki.

– Patrz! – Pstryknął zdjęcie palcem. – Widzisz ten uchwyt?

– To jeszcze niczego nie dowodzi... A metr po co?

– Sprawdzimy, czy się wymiary zgadzają – wyjaśnił Andrzej.

Zgadzały się. Siedem i pół cala wysokości, pięć i trzy czwarte cala szerokości. Z dokładnością do połowy milimetra.

Ojciec wciąż nie wyglądał na przekonanego.

– Nic z tego nie rozumiem – powiedział, kręcąc głową. – Jakaś kobieta w pociągu daje paczkę Danielowi i prosi, żeby nam przekazał. Ktoś idzie za Danielem i próbuje tę tarczkę zabrać. Skąd się to wzięło u tamtej staruszki? Kim ona jest? A ci dwoje... Dlaczego im zależało, żeby to zabrać? I skąd wiedzieli...?

Daniel, zapatrzony w przestrzeń ponad głową Sandry, nagle się poderwał.

– To przecież ona! – zawołał, wskazując zdjęcie ciotki Domiceli.

Andrzej pokręcił głową.

– Daniel, nasza stryjeczna babka śpiewa teraz w chórach anielskich! Zginęła w wypadku razem z mężem w 1946 roku! Nie mów mi, że widziałeś w pociągu ducha!

Przyszły mąż Sandry musiał przyznać, że nieznajoma z pociągu wcale nie wyglądała jak duch. Była jak najbardziej materialna. Nawet niechcący zadrasnęła jego dłoń naderwanym paznokciem.

– A poza tym – przypomniał sobie Damian Kozicki – ciotka, o ile wiem, miała piwne oczy. Nie niebieskie, jak ta staruszka w pociągu.

– Ciotka podobno miała półroczne dziecko, które ktoś adoptował – przypomniała Sandra. – Może to córka...?

– Mówiła, że często jeździ tą trasą – zauważył Daniel. – I że mnie widziała, kiedy wracałem z Krakowa do Kamienia sześć lat temu. Ktoś wpadł pod pociąg i staliśmy przez godzinę w Jaziskach... Gdyby to była córka tej ciotki, toby się z wami skontaktowała, nie?

– No to ja już naprawdę nic nie rozumiem! – westchnął gospodarz.

– I niech tak zostanie – zakończyła dyskusję Sandra. – Jest dobrze.

– No pewnie, mogło być gorzej – zgodził się z córką Kozicki, patrząc spod oka na nią i na Daniela.

Andrzej tymczasem ze zmarszczonymi brwiami wpatrywał się w wąski pasek podłogi między skrajem dywanu a listwą przy ścianie.

– Policja chyba coś przegapiła – powiedział w końcu. – Niby pozbierali wszystko, co się tej babie wysypało z torebki...

Wstał i podniósł przedmiot leżący pod kaloryferem.

– Karta! – ogłosił, wracając na swoje miejsce.

– Jakaś dziwna – stwierdził ojciec.

– To jest karta tarota – wyjaśnił Daniel. – Nie za bardzo się znam... ale chyba jedna z najważniejszych Kart Mocy.

– No to niech Moc będzie z nimi – podsumował Andrzej. – Przyda im się na procesie, a potem w celi.

Andrzej W. Sawicki

MULTIPLLET

Od gorąca chciało mi się rzygać. A może to nie od gorąca, a od gorzały kupionej u Indiańca? Siwuchą z kukurydzy i cholera wie z czego zalewali małe kaktusy, które zwali peyotlem. Nalewka naprawdę dawała kopa, ale czasem prócz kolorowych wizji sprowadzała też sraczkę i obfite pawie. Mimo to miała swoje zalety, pozwalała zapomnieć. Kiedy porządnie się nią napompowałem, nie kłopotalem się wyrzutami sumienia.

Musiałem trzymać się ściany, by nie wywinąć orła. Coś takiego, mimo że słońce zaszło dobre trzy godziny temu, pobielone chałupy nadal były rozgrzane jak piec. Co za kraj! By dotrzeć do tej zapyziałej wioski, przez miesiąc wędrowałem po skalistych bezdrożach, czasem tylko natykając się na pyliste dróżki. Wszędzie kaktusy niedające cienia, a na horyzoncie ponure, suche jak pieprz góry. Coahuila de Zaragoza, najdalej wysunięta na północ prowincja Republiki Meksyku, nie była przyjemnym miejscem. Zresztą w tym kraju nie trafiały się przyjemne miejsca, nawet na południu. Tam zresztą jest nawet jeszcze goręcej, a do tego parno jak w garze gotującego się rosołu.

I ci Meksykańcy, niemal sami Indianie i Metysi. Ich kobiety były gorące, ale słońce szybko je wysuszało, przez co starzały się błyskawicznie i zamieniały w pomarszczone, wrzaskliwe baby. Ich mężowie byli nieufni i bojaźliwi, ale gdy tylko poczuli się pewnie, zamieniali się w okrutne i bezwzględne bestie. To właściwie niezbyt odróżniało ich od naszych brachów, włościan z Mazowsza i Kieleckiego, których miałem okazję bardzo dobrze poznać w czasie powstania.

Tu też wybuchło powstanie, ale w przeciwieństwie do naszego zakończyło się sukcesem. Meksykanie skopali dupy zarówno amerykańcom, jak i żabojadom oraz Austriakom. Wygnali precz wrogie armie, zepchnęli je do morza, a jegomościa, który mienił się ich cesarzem, postawili pod ścianą i nafaszerowali gradem kul. Brudni chłopci z kłonicami i kosami, zupełnie jak u nas. Ale ci dali radę. Och, my też marzyliśmy, by rozstrzelać cesarza, a najlepiej wszystkich trzech drani, którzy okupowali Polskę. Meksykańcom się to udało. Farciarze! Bo cóż to było jak nie fart? Nie mieli

przecież szans, a dowodził nimi Indianiec–karzeł. Nie kłamię, widziałem go na własne oczy. Składałem mu nawet przysięgę. Prezydent Benito Pablo Juárez García był ode mnie o głowę mniejszy, nawet gdy przed nim klęczałem.

Jednak się porzygałem. Wraz z częściowo przetrawioną wodą wyleciały mi z ust anioły i kolorowe kwiaty. Ach, nie. To tylko placek z papryką i kukurydzą. Meskalina z kaktusów jest naprawdę zabawna. Figlارا!

Musiałem wziąć się w garść. Nacisnąłem kapelusz na spocony łeb i ruszyłem nieco szybciej. Wioska nie była duża, miała jedną tawernę. Nie musiałem jej długo szukać, *desperados* słychać było z daleka. Nachlali się i darli mordy. W dodatku brutalnie dobrali się do jakiejś kobiety, jej krzyki niosły się na pół osady. Ciekawe, czy pecha miała karczmarka, jej córka, czy też wyciągnęli jakąś śniadolicą dziewczynę z pierwszej lepszej chałupy. Aż dziwne, że po wojnie zostały jeszcze kobiety na tyle niewinne i nierozsądne, że próbowały się bronić przed gwałtem. Lepiej dla niej by było, gdyby spokojnie pozwoliła się wykorzystać. Może obyłoby się bez bicia i cięcia nożem. Mogłaby bez większych obrażeń przeżyć spotkanie z tymi sukinsynami.

Tropiłem ich bandę od Saltillo, ciągle się spóźniając. W wioskach znajdowałem zawsze świeże mogiły i dużo krwawych śladów. *Desperados* nie potrafili odpocząć, nie zrobiwszy przy okazji komuś krzywdy. Byli bardzo pewni siebie, ale chyba czuli, że Juárez wysłał za nimi pogoń, bo systematycznie przesuwali się na północ, w kierunku granicy ze Stanami. Zamierzali zwać na drugą stronę. Tam czekał na nich bogaty kraj, co prawda również umęczony domową wojną, ale znacznie atrakcyjniejszy od rolniczo–górnicych prowincji Meksyku.

O, na niebie znów pojawiły się kolorowe anioły. Machały motylimi skrzydłami i zalotnie zadzierały barwne jak u łowiczanek kiecki. Świeciły na mnie gołymi tyłkami. Oblizałem się na ten widok. Usta miałem spierzchnięte, a w gardle palił kwas żołądkowy. Sięgnąłem do podróżnej torby i wydobyłem flaszkę z mętnego szkła. Gorzała z peyotlem była gorąca jak zupa i ohydna w smaku. Opary alkoholu wypełniły mi nos i zatoki, wdarły się do mózgu, niosąc ze sobą coraz więcej aniołów. Jeszcze kilka łyków i się zacznie.

Ostatni kawałek pokonałem po omacku. Musiałem mocno zaciskać powieki, by nie wdarły się pod nie wybuchające fontanny kwiatów. Słabłem z każdym krokiem. Chyba za bardzo wysuszyłem się na pustyni. Pod ścianę karczmy dotarłem na czworakach, a na jej tyły zwyczajnie się doczołgałem. Byłem dostatecznie blisko. Teraz nie mieli ze mną szans; po eliksirach zmieniam się w maszynę do zabijania.

Wymacałem u pasa ładownicę. Wyszarpnąłem pierwszy papierowy ładunek. Zamiast prochu i kuli znajdowało się w nim coś mocniejszego – suchy ekstrakt z krzewu Ephedera i nasion czuwaliczki. Wsypałem to sobie głęboko do gardła i zalałem solidną porcją alkoholowego roztworu peyotlu. To był dopiero koktajl! Już po kilku chwilach serce zaczęło tłuc mi się w piersi jak oszalałe, a oczy niemal wyszły z orbit. Poderwałem się na równe nogi jak wystrzelony z armaty.

Mój układ nerwowy świecił, jakby wypełniało go płynne złoto. Z oczami również działo się coś wspaniałego. Nie dostrzegałem już aniołów i kolorowych fajerwerków. Umysł otworzył mi się na głębsze doznania i postrzegał znacznie więcej. Byle ściana z gliny zmieszanej z kukurydzą nie mogła go powstrzymać. W ciągu dwóch uderzeń serca omiotłem całą karcznię, analizując sytuację.

Trzech *desperados* siedziało przy stole w głównej sali i popijało tequilę. Kolejny chrapał w najlepsze na ławie pod ścianą, z kapeluszem naciągniętym na twarz. W kuchni klęczał dygoczący z przerażenia karczmarz. Miał okrwawioną gębę i świecił na zielono ze strachu. Chałupa miała piętro i to na nim działo się najciekawsze. Dwóch zbójów zabawiało się z dziewczyną, wyraźnie ciesząc się przy tym jak dzieci. Nic dziwnego, że panienka wrzeszczała. Była bardzo młoda, a panowie traktowali ją bez ceregieli, za to z brutalnością.

Sytuacja wyglądała na klarowną. Miałem oto sześciu *desperados*, eks-żołnierzy na austriackim żołdzie, którzy porzucili cesarza Maksymiliana, gdy ziemia zaczęła palić mu się pod nogami. Nic nadzwyczajnego w dzisiejszych czasach. Pora zrobić z nimi porządek. Trzy minuty roboty i po sprawie. Aż szkoda byłoby się fatygować przez taki kawał pustyni, gdyby nie ich szef. To on stanowił prawdziwy cel mojej wycieczki. Nic nie sprawia tyle radości, co pogoń za własnym demonem.

Ale gdzie on u diabła jest? Przyjrzałem się jeszcze raz całemu budynkowi. Widziałem pulsujące układy nerwowe sześciu drani, dziewczyny i karczmarza. Mojego drogiego braciszka ani widu, ani słyhu. Czyżby nici z rodzinnego spotkania? A tak na nie liczyłem. Co za rozczarowanie!

Sięgnąłem do kabury po wysłużonego colta Navy, ale tylko by sprawdzić kciukiem, czy kapiszony siedzą na swoich miejscach. Tak na wszelki wypadek. Bardziej liczyłem na nóż. Porządny, myśliwski, z szerokim ostrzem i kościaną rękojeścią. Siedział sobie na swoim miejscu za pazuchą. Tylko z jego powodu mimo upału nie ściągałem kapoty.

Zdjąłem słomkowy kapelusz, bo nie wiedziałem, jak obecnie nosi się mój bra-

ciszek i nie chciałem zbyt od niego wyglądem. Nie ociągając się dłużej, ruszyłem do środka, i to głównym wejściem. Okazało się, że gracze przy stoliku nie są zawiani w pestkę. Gdy tylko usłyszeli zgrzyt zawiasów, poderwali się, chwytając za broń. Nawet chrapiący w kącie oprzytomniał w jednej chwili i nie ruszając się z miejsca, złapał za rewolwer. Od razu widać, że to weterani, a nie byle maruderzy.

– Rubio? To ty? – zdziwił się najwyższy, opuszczając broń. – Miałeś nie wracać przed niedzielą.

– Aleś się zaniedbał. Wyglądasz jak ciura. – Stojący obok wyszczerzył kilka połamanych zębów.

Jasne. Mój braciszek zawsze dbał o siebie. Elegancki i świeżo ogolony, nawet w powstańczym obozie. Ja przykładalem mniejszą wagę do wyglądu. Szczególnie odkąd zdezerterowałem z korpusu Maksymiliana i przyłączyłem się do meksykańskiej rewolucji. Zacząłem wtedy nosić się jak miejscowy, by w boju towarzysze broni nie wzięli mnie za przeciwnika. Jakoś tylko nie mogłem przekonać się do poncho, za dużo w nim żyło owadów. Nosilem lniane, szare spodnie i sandały, koszulę i kapotę, która przydawała się szczególnie nocami. Kapelusz też miałem ubogi, zwykły, słomkowy, jak biedny wieśniak. Od miejscowych różniłem się jednak słowiańską urodą, wzrostem i jasną czupryną. To dlatego mimo wszystko wzięli mnie za mojego brata.

– Przed niedzielą? – rznąłem głupiego. – A niby dlaczego? Mówiłem coś takiego, czy co?

– Jasna cholera, do Santa Gertrudis i z powrotem nie da się dojechać szybciej – warknął zaspany typ spod ściany, siadając na ławie. – Rozmyśliłeś się? Co się stało? Czemu przebrałeś się za wieśniaka? Żołnierze są w pobliżu?

– Jakbyś zgadł – przyznałem. – Szwadron strzelców zatrzymał się w Abasolo. Akurat gdy tam dotarłem. Musiałem wiać, i to w przebraniu.

Desperados pochowali broń i się rozluźnili. Widziałem, jak ich układy nerwowe przygasają, przechodzą w zwykły tryb. Tymczasem ożywił się karczmarz, który postanowił zwać, korzystając z zamieszania. Starając się zachować ciszę, wspiął się na stół i precyzyjnie przycisnął przez kuchenne okienko. Pozwoliłem mu uciec.

– Będziemy zatem musieli ruszyć rankiem w dalszą drogę – powiedział któryś. – Nie połączymy się szybko z Jose Curcuncho, jeśli w ogóle to nam się kiedykolwiek uda. Kto by się spodziewał, że psy Juáreza są tak blisko? Ta okolica miała być zapomniana nawet przez Boga.

– Stało się inaczej – powiedziałem, wzruszając ramionami. – Gdzie są moje

rzeczy?

– Spytaj swego lustrzanego odbicia – rzucił przez ramię jeden z bandziorów. – Przecież je zabrałeś.

– Wszystkie? – mruknąłem, sięgając po flaszkę stojącą na stoliku graczy.

Pociągnąłem tęgi łyk. Dobra tequila, śmierdząca jak nieszczęście. Cenilem takie napoje, bo uwielbiałem się umartwiać.

Cholerny braciszek. Zabrał ze sobą wszystkie klamoty, to niedobrze. Wystarczyło mi wziąć w rękę jakiś przedmiot, który długo do niego należał, bym mógł posmakować jego wspomnień i przeżyć. W ułamku sekundy poznałbym choćby imiona tych sukinsynów. Przede wszystkim dowiedziałbym się, co planował Rubio, czyli Adam Dembicki. A niech to! Byłem tak blisko, by go wreszcie dorwać i zakończyć tę beznadziejną wędrówkę.

Ile można, na litość boską? Obaj byliśmy w drodze od stycznia 1863. Pięć lat! Najpierw jako dwaj młodzi patrioci, którzy przyłączyli się do generała Langiewicza. Biliśmy Moskali aż do wiosny, potem Adaś przeszedł granicę austriacką razem z generałem i dostał się do niewoli. Ja uciekłem razem z pułkownikiem Czachowskim i służyłem pod komendą starego jako ułan. Aż do jego śmierci. Potem sam musiałem wiać za kordon i pod Krakowem wpadłem w łapy żandarmów. Co zabawne, to był dopiero początek podróży.

– Czy ona musi tak wrzeszczeć? – spytałem, znacząco spoglądając na sufit.

Poniewierana dziewczyna ciągle zawodziła, a co jakiś czas wybuchwała głośnym płaczem. Takie sceny nie robiły na mnie wrażenia, zbyt wiele już widziałem, by żałować niewinnych. Musiałem jednak jakoś odwrócić uwagę *desperados*, zyskać chwilę na zastanowienie. Zabić ich i ruszyć na dalsze poszukiwania brata? Przynajmniej już wiedziałem, dokąd pojechał. A może jeszcze z nimi pogadać? Może dowiem się czegoś więcej?

– Też wkurzają mnie te wrzaski. Wiesz jednak, jacy są chłopcy – powiedział pojednawczo wysoki chudzielec. – Esteban i Antonio bardzo lubią dzieci. Sam im pozwoliłeś na zabawy pod twoją nieobecność. Zaraz im powiem, że wróciłeś...

Podniósł się od stolika i ruszył na górę. Ja tymczasem zająłem jego miejsce i przyjrzałem się pozostałym dwóm graczom. Jeden był bardzo młody i przyszczyty, drugi krępy i o długich wąsiskach. Obaj wyglądali na Metysów. Znaczy byli miejscowi, a w czasie wojny służyli najeźdźcom. Nic dziwnego, że po obaleniu Austriaków i Francuzów stali się banitami. Groził im strychezek za zdradę ojczyzny. Uśmiechnęli się

do mnie przymilnie.

– Opowiedz, Rubio, co widziałeś. Co tam się stało? Zgubiłeś swoje rzeczy, wszystkie? – spytał wąsaty.

Kątem oka ujrzałem coś kolorowego. Anioły wróciły? Alkaloidy już puszczają, tak szybko? Koniec zabawy. Za parę minut stanę się zwykłym człowiekiem, w dodatku straszliwie strutym i skacowanym. Pora zatem brać się za robotę. Sięgnąłem ręką za pazuchę i zacisnąłem dłoń na rękojeści noża. Mój układ nerwowy zapłonął ogniem, świat wyostrzył się jeszcze bardziej. Wiedziałem już, co się stanie za sekundę. Zadam cięcie po gardle wąsacza, obrócę dłoń i pchnę prosto w krtań młodego. Nóż wejdzie jak w masło. Nie za głęboko, by nie zaklinował się między kręgami. Lewą ręką zgarnę rewolwer, który pryszczaty położył obok kart. Nie ruszając się z miejsca, zastrzelę mądrą siedzącego na ławie i oglądającego z zadumą swoje brudne stopy. Potem rozwalę pajaców zbiegających po schodach. W pół minuty powinno być po wszystkim.

Znow anioły. Migotały skrzydełkami na granicy postrzegania. Potrząsnąłem głową, by odgonić przedwczesny powrót halucynacji, i wtedy zrozumiałem, że to nie anioły. To ludzie na zewnątrz! Ciągle postrzegałem żywe organizmy przez ścianę, tylko że trochę rozmyte i zamglone. Widziałem zatem układy nerwowe jakichś typów skradających się do budynku. Czyżby karczmarz tak szybko wezwał wsparcie? Ale skąd? Chłopi z pewnością siedzieli zabarykadowani w chałupach i trzęśli się ze strachu.

Zamiast noża wyciągnąłem z wewnętrznej kieszeni niemożliwie brudną chusteczkę i otarłem nią czoło. W tej samej chwili ktoś od zewnątrz otworzył drewnianą okiennicę i cisnął do środka granat. To był pocisk artyleryjski z zapalonym lontem, chyba z trzyfuntowej armaty. Uderzył z głuchym dudnieniem o drewnianą podłogę i potoczył się w kierunku stolika.

Desperados zamarli ze zgrozy. Zdążyli tylko wstrzymać oddechy. Wiedzieli, że nie ma gdzie uciekać. Granat wybuchnie i nikogo przed odłamkami nie uchroni krzesło czy blat stołu. Jedno spojrzenie wystarczyło mi, by oszacować, że lont spali się za jakieś dwie sekundy. To dużo czasu. Pochyliłem się i złapałem toczącą się kulę, która właściwie sama wpadła mi w rękę. A potem rzuciłem ją z powrotem za okno.

Eksplodowała zaraz po uderzeniu w ziemię, wyrzucając w górę tumany piachu. Jej huk jeszcze nie przebrzmiał, a wszyscy trzej zabijacy stali już z bronią w rękę, czekając na moje rozkazy. Siedziałem, gapiąc się przez ścianę. Dwóch napastników poważnie oberwało, ich systemy nerwowe płonęły bólem i dygotały w skurczach. Kolejny też został ranny, ale lżej. Oberwał odłamkiem w twarz, co z mojej perspektywy wy-

glądało dość zabawnie. Siedział bowiem na ziemi, a cała jego głowa pulsowała, rozpalając się i gasnąc, jak zepsuta latarnia gazowa. Patrzyłem przez kilka sekund, delektując się tą chwilą, zamiast zacząć działać. Znaczyło to tylko tyle, że naprawdę byłem pijany i do tego naćpany. Mój umysł momentami siadał i zaczynał dumać. Stwierdziłem, że muszę wziąć się w garść.

– Są za drzwiami! – Zerwałem się wreszcie. – Ognia!

Pryszczaty wypalił bez zastanowienia. Pociągał spust raz za razem, dziurawiąc drzwi i kompletnie zadymiając pomieszczenie. Smród palonego prochu mile łaskotał w płuca i wyciskał łzy. Kumple skłękli młodego, choć jego palba naprawdę powstrzymała natarcie. Napastnicy przyczaili się wzdłuż ścian. Widziałem tylko sieć neuronową w ich organizmach, nie wiedziałem więc, co trzymali w rękach, ale sądząc po charakterystycznej postawie, były to karabiny. Czyżby naprawdę do miasteczka dotarło wojsko?

Tak czy inaczej nic tu po mnie. Rzuciłem się do kuchni, zamierzając zwać tą samą drogą co kucharz. Na zewnątrz stało jednak pięciu ludzi, mierząc w budynek z długolufowej broni. Karczma została otoczona. Pognałem schodami na piętro, każąc twardej z parteru ostrzeliwać się przez okna. Pryszczaty pierwszy rzucił się, by wykonać rozkaz, i zanim zdążyłem wbiec na górę, wychylił się przez okno, którym wpadł granat. Oberwał od razu trzy kulki, w tym jedną prosto w pusty łeb. Ten chyba jednak nie był wojennym weteranem, mój braciszek musiał zwerbować go później. Taki idiota nie przeżyłby przecież wojny.

– Anioły, zabierzcie mnie stąd – mruknąłem, wpadając na poddasze.

Dziewczyna już nie krzyczała, któryś *desperados* zakończył zabawę, podrzynając jej gardło. Chudy prał z rewolwerów przez okno, a Esteban i Antonio przeładowywali broń. Obaj mieli myśliwskie dwururki. Skinąłem im głową, a oni wyszczerzyli się w uśmiechach.

– Gdzie twój mundur z lampasami? – spytał któryś.

Zignorowałem go i rozejrzałem się przez ściany. Widziałem zarówno wieśniaków, jak i napastników. Tych ostatnich naliczyłem dwudziestu, ale ciągle ich przybywało. Jeśli to wojsko, jakby ich tu przekonać, że jestem po ich stronie? I właśnie wykonuję zadanie powierzone przez prezydenta?

– Hej tam! – wrzasnął ktoś z ciemności po hiszpańsku. – Złóżcie broń, jesteście otoczeni i nie macie najmniejszych szans na wyjście z tego cała. Dam wam jednak prezent! Puścimy was wolno, jeśli wydacie szefa. Chcemy tylko Adama Rubio Dem-

bickiego!

Głos krzyczącego wydał mi się znajomy. Zacisnąłem zęby ze złości.

– To ty, bracie? – krzyknąłem po polsku. – Skąd wiedziałeś, że tu będę?

– Ha! Nie rozśmieszaj mnie! – odpowiedział. – Byliśmy wszak umówieni w Santa Gertrudis. Nie stawileś się, więc po ciebie wyjechałem. Pora zakończyć tę zabawę. Nie ma sensu ścigać się wzajemnie przez cały kontynent. Rzuć broń i wyłaź!

Wyszarpnąłem rewolwer zza pazuchy, doskoczyłem do okna i wypaliłem do najbliższej sylwetki. Napastnicy stali w ciemnościach i myśleli, że są niewidoczni. I tak było, przynajmniej jeśli chodzi o zwykłego człowieka. Ja jednak zwykły nie byłem, przynajmniej nie teraz. Trafiłem pechowca w brzuch. Załkał niczym kopnięte szczenię.

Esteban i Antonio zarechotali, zadowoleni z efektu. Spojrzałem na nich ostro. Z pewnością właśnie się zastanawiali, czy oferta nieznajomego jest do przyjęcia. Wystarczyło mnie rozbroić i będą mogli spokojnie stąd odejść. Poczulem na sobie spojrzenia trzech sukinsynów. Dezerterzy i gwałciciele z pewnością nie byli warci zaufania. Ciekawe, jakie relacje łączą ich z moim braciszkiem? Jak bardzo się go boją? Czy za chwilę dostanę w łeb od tego, który akurat znajdzie się za moimi plecami?

– Znasz tego tam? – spytał Chudy, jak zacząłem go w myślach nazywać.

Co miałem mu odpowiedzieć? Że on też go zna? Że to jego szef, a ja jestem tego szefa bratem bliźniakiem i tylko się pod niego podszywam? Wiesz, tak jakoś wyszło, że zamieniliśmy się miejscami. To ja powinienem szturmować kryjówkę swojego brata–bandyty, a nie odwrotnie.

Matko Boska! Zwariować można.

Oparłem się plecami o ścianę i powoli osunąłem po niej na podłogę. Usiadłem po turecku, w garści ciągle ściskając rewolwer. *Desperados* patrzyli na mnie wyczekująco. Wyciągnąłem z ładownicy kolejny papierowy pocisk, przegryzłem go i wsypałem zawartość do gardła. Mocy, przybywaj!

* * *

To było tak. Zaraz po zamknięciu przez cara uniwersytetu rozpocząłem praktykę u jednego pigularza. Kształciłem się na medyka, ale po pierwsze studiów nie miałem jak ukończyć, a po drugie zaczęły mnie fascynować leki i substancje wpływające na świadomość oraz kondycję organizmu. To głupie, ale porzuciłem zawód zapewniający intratne dochody oraz poważanie, a zamiast tego wybrałem mielenie w

moździerzach proszków i klejenie pigułek na różne dolegliwości. Miałem jednak dzięki temu dostęp do niezwyklej ilości ingrediencji i składników, ziół i suchych ekstraktów. Przez dwa lata roboty w największej aptece na Starym Mieście poznałem większość tych cudeniek w działaniu, często eksperymentując na sobie.

Omam nie ożeniłem się z córką szefa, która w wianie miała wnieść ową aptekę. Przyszły teść był mną zachwycony, szczególnie dociekliwością w zgłębianiu tematu i żądzą wiedzy. Niestety przyjaciele z uniwersytetu wciągnęli mnie w patriotyczną awanturę. Potem znalazłem się na liście Wielopolskiego jako jeden z przeznaczonych do branki. Tak jak większość polskich chłopców miałem wybór: pójść na piętnaście lat do carskiej armii i wylądować gdzieś w garnizonie w dalekiej Azji lub się postawić, wyruszyć do lasu i bić Moskali. Oczywiście wybrałem to drugie.

Pod komendą Langiewicza ganialiśmy się po świętokrzyskich puszczech z Kozakami i Ruskimi. Raz to my im łoiiliśmy skórę, raz oni nam. Częściej to drugie. Wreszcie doszło do bitwy nad Wierną Rzeką. Byłem wtedy kawalerzystą, ułanem z lancą w garści. Osłaniałem odwrót naszych wojsk, atakowanych z trzech stron naraz, desperacko szarżując na ruskie rotę. Oberwałem wpierw bagnetem w nogę, potem kulka w ramię, a wreszcie armatnim odłamkiem prosto w łeb. Oprzytomniałem na opuszczonym polu bitwy, zasłanym trupami i śmierdzącym śmiercią.

Sytuacja nie należała do wesołych. Byłem poobijany i podziurawiony, ale o dziwo wszystkie gnaty miałem całe. Straciłem jednak sporo krwi i zaczynałem zwyczajnie zamarzać. Mróz nie ściał nawet pobliskiej rzeczki, zatem jakoś strasznie lodowato nie było, ale wystarczająco, by wysłać rannego na tamten świat. Zwłokłem się zatem, a przynajmniej próbowałem. Niestety brakło mi sił, by chodzić. Czółgałem się więc trochę, najpierw w stronę ludzkich głosów, ale szybko zmieniłem kierunek. To na pole bitwy przybyli miejscowi chłopci, by grabić poległych i umierających. Tych, co byli w lepszym stanie, zabierali, by sprzedać Moskałom, pozostałych odzierali do goła i dobijali. To tyle w temacie czynnego udziału w powstaniu mas chłopskich.

Wiedziałem, że aby przeżyć, potrzebuję pomocy. Ktoś musiał mnie stąd szybko odciągnąć. Czółgałem się przed siebie, dygocząc coraz bardziej. Nie miałem sił, ale nie potrafiłem się po prostu poddać. Zawsze bardzo chciałem żyć i byle rany nie mogły mnie złamać. Sięgnąłem do ładownicy, którą sowicie zaopatrzyłem przed wyruszeniem w bój, ale jak dotąd jej nie używałem. Pierwszy ładunek zawierał suchy ekstrakt z maku, trochę wzmocniony chińskim opium. Odeгнаły ból i sprowadziły błogość, rany przestały doskwierać, ale pojawiła się senność. Zażyłem więc kolejny ładunek, pobu-

dzające wyciągi z ziaren roślin, w tym także z kawy. Następna była szklana fiolka z eterem zmieszany z Zieloną Wróżką, czyli nalewką na piołunie. Bardzo pobudziła, ale sprowadziła też psychozy. Czołgałem się zatem energicznie i żwawo, bo zdawało mi się, że przemykające w mroku chłopskie postaci to demony prosto z piekła. Właściwie wiele się nie myliłem, bo włościanie potrafili być równie okrutni.

Gdy w pobliżu pojawił się kozacki podjazd wyłapujący niedobitki, poderwałem się resztką sił i rzuciłem do panicznej ucieczki. Wpadłem po pas w Wierną Rzekę, co mocno mnie orzeźwiło, ale bynajmniej nie przywróciło rozsądku. Wylazłem na drugi brzeg kompletnie przemoczony. Zimno było tak przejmujące, że tłumilo wszystkie inne doznania. Leżałem na wznak, gapiąc się w czarne niebo i dygocząc z zimna. Nie byłem w stanie się pozbierać. Czułem, że zbliża się koniec.

I wtedy osiągnąłem ten stan. Mój umysł wyostrzył się, zapłonął żywym ogniem i nagle eksplodował. Mieszanka substancji zmieniających świadomość zestawiona z aktywnością, w jaką wpada mózg w stanie agonalnym, dały mi możliwość postrzegania świata z innej perspektywy. Rzeczywistość rozjechała się na boki, wszedłem na kolejne piętro świadomości. Mogłem sięgnąć po niewyobrażalną władzę, na wyciągnięcie ręki miałem wszystkie tajemnice wszechświata. Czułem, że jestem w stanie bez wysiłku zgłębić i rozwiązać każdy problem trapiący ludzkość. Na kilka chwil stałem się nadi-stotą, sięgnąłem po boską moc.

Ale jedynym, czego naprawdę pragnąłem, to pozostać sobą i dalej żyć. Nie chciałem wędrować jaźnią w poprzek czasu, odpłynąć umysłem między gwiazdy i zobaczyć obce światy. Nie interesowały mnie ani inne sfery egzystencji, ani osiągnięcie nirwany. Liczyło się wyłącznie przetrwanie.

Pewnie bym tam zamarzył, gapiąc się w gwiazdy i tnąc wszechświat swoim ostrym jak brzytwa umysłem, gdyby nie chłopi. Sól ziemi naszej przyszła w postaci czterech drabów, targających na plecach wory z łupami zagrabionymi z pola bitwy. Musieli usłyszeć moje jęczenie, bo odłożyli urobek i ostrożnie się zbliżyli. Wiedziałem, że muszę coś zrobić, bo mnie ograbią i dobiją. Drżącą ręką wpakowałem do ust ostatni ładunek z farmaceutykami. Włościanie zorientowali się, że jestem jeszcze jednym konającym powstańcem i wyraźnie się rozluźnili. Nawet sobie żartowali.

Skupiłem się na uczuciach. Rozpaliłem w sobie gniew i złość, sięgnąłem do najbardziej parszywych zakamarków duszy i wyciągnąłem z niej naprawdę złego człowieka. Mój płonący umysł jaśniał niczym nowo narodzona gwiazda. Wstałem i ruszyłem naprzeciw chłopom. Nie wiem, jak to się stało, ale byłem całkiem nagi.

– Tego ktoś obrobił – burknął jeden z grasantów. – Nic dla nas nie zostało.

Widziałem we wnętrzach ich ciał żarzące się sieci grubych żył, które rozchodziły się w coraz mniejsze i mniejsze. Pulsowały światłem i ciepłem. Domyśliłem się, że to ich układy nerwowe, że dostrzegam prądy płynące w ich ciałach. Widzę ich ból i emocje, gniew i pobudzenie. Chłopi świecili jakoś leniwie, znaczy nie bali się, lekceważyli mnie.

Dopadłem tego najbardziej rozluźnionego i udając, że z wyczerpania osuwam się przed nim na kolana, chwyciłem go za rękę. Warknął na mnie i próbował odepchnąć, by wymierzyć kopniaka. Zdążyłem wyciągnąć nóż zza jego pasa, zaskakująco masywny, o szerokim ostrzu i kościanej rękojeści. Pewnie drań ukradł go jakiemuś szlachcicowi poległemu w bitwie. Wpakowałem ostrze w roześmianą, szczerbatą gębę, wybijając zęby i przebijając podniebienie, aż do mózgu. Kiedy umierał, jego układ nerwowy zapalił się niczym pochodnia. A potem zgasł.

Pozostali skoczyli na mnie wszyscy naraz. Nie miałem litości, zabiłem ich szybko i bez zbędnych ceregieli. Sprawilo mi to wielką przyjemność, aż musiałem się hamować, by nie zabawić się z tymi bydlakami i nie pokroić ich przed śmiercią na plasterki. Potem wygrzebałem z ich worów suche ubrania. Były tam nawet podbity futerkiem kozuszek i bermyca.

Znalazły się też ciuchy dla tego drugiego, słabszego. Moje pierwotne ja, to rozmemłane, pozbawione śmiałości i odwagi, leżało bowiem cały czas w tym samym miejscu na brzegu rzeki i jęczało, gapiąc się w gwiazdy. Od tej chwili przestaliśmy być jednym człowiekiem. Konając, rozdzieliłem się, rozczłonkowałem swoją jaźń na dwie części, wydobywając ze swojego wnętrza silniejszą część osobowości. A potem, dzięki sile umysłu, obdarzyłem ją ciałem. Urodziłem się na nowo, jako nowy ja. Tam leżał Maciej Dembski, a nad nim stała jego druga, lepsza wersja.

Dałem sobie na imię Adam. Sam się stworzyłem, ale nie z żebra, nie z prochu czy z dobrej woli. Powstałem ze złości i gniewu, z żądzy życia i z potężnych emocji. Powiniennem odejść i pozwolić skonać swojej starej wersji, tej bojaźliwej i ograniczonej moralnością, konwenansami i sumieniem. Stwierdziłem jednak, że zabawne będzie podtrzymać przy życiu swoją drugą wersję. Zobaczymy, co z tego wyniknie.

Obudziłem się dzień później w chałupie z glinianą podłogą i piecem. To ja na nim spałem, zawinięty w kozuchy i wełniane koce. Miałem przestrelone ramię i przebitą nogę, chciało mi się rzygać, a łeb mnie bolał jak sto diabłów. Przy kuchni stał mój brat bliźniak i mieszał zupę w kociołku. On istniał naprawdę.

Którym sobą byłem? Maciejem czy Adamem? Rany mówiły, że jednak tym starszym i słabszym. Wtedy w nocy, gdy narodził się Adam, przez jakiś czas musieliśmy współodczuwać. Widziałem i czułem jego zmysłami, widocznie jeszcze przez parę chwil byliśmy jedną osobą. Teraz było nas dwóch. Lepszy i gorszy ja.

Tylko tak naprawdę, który jest który?

* * *

Esteban wetknął w gębę cygaro i przypalił od świeczki, która była jedynym źródłem światła w pomieszczeniu. Śmierzący dym wypełnił poddasze. Wspaniale się komponował z upałem, smrodem potu i krwi zaszlachtowanej dziewczyny. Strzyknąłem śliną, hamując falę mdłości. Siedzieliśmy we czterech pod ścianami, oni naprzeciw mnie, i w milczeniu patrzyliśmy na siebie. To znaczy *desperados* nie spuszczali ze mnie spojrzenia. Wiedziałem już, jak się czuje sztuka bydlą oglądana przez rzeźników. Miałem wrażenie, że sukinsyny już się zdecydowali, by wydać mnie w zamian za możliwość wyjścia z pułapki cało.

– To mój brat – powiedziałem. – Nie liczyłem, że dotrzyma słowa. Dostał zadanie zlikwidowania wszystkich band pozostałych po rozbitej armii Maksymiliana i zrobi to, w dodatku bardzo skrupulatnie. Znam go.

– Dlaczego cię ściga? – spytał Antonio.

– Służy prezydentowi – burknąłem. – Jestem w jego oczach przywódcą bandy maruderów i tyle.

– To twój brat. Nie możesz się z nim dogadać? – Chudy się zirytował. – Powiedz mu, że odejdziemy na północ i za kilka dni będziemy za granicą. Nigdy już nas nie zobaczy.

– To nic nie da, żywi do mnie urazę. Wiecie, takie tam rodzinne niesnaski. – Niedbale machnąłem ręką. – Uparł się, że mnie zabije. Ściga mnie przez kawał świata. To dlatego, że uważa mnie za swoją gorszą wersję. Za czyste, skoncentrowane zło, które potrafi wyłącznie szkodzić, nieść cierpienie i gniew. Myśli, że jesteśmy jak yin i yang, jak dwie strony księżyca, tylko że ja jestem tą mroczną.

– Nic nie rozumiem – mruknął Esteban. – Wyruchałeś mu żonę? Zabiłeś psa i ukradłeś bydło? Taki powód nienawiści to rozumiem, ale gadanie o księżycu jest dziwne. Nie podobasz mi się, Rubio. Nigdy tak nie mówiłeś...

Patrzył na mnie spod zmrużonych powiek. Uśmiechnąłem się w duchu. Jacy

groźni, nie tylko narobić w portki. Wszyscy trzej ściskali spluwy w łapach. Chudy miał rewolwer, reszta paskudne strzelby. Byli czujni i spięci, w dodatku zorientowali się, że coś ze mną nie tak. Będę musiał zakończyć tę zabawę, choć może jeszcze nie w tej chwili.

– Hej, bracie! – znów krzyknął Adam. – Naprawdę myślałeś, że dam się oszukać? Że będę tygodniami wędrował po tych cholernych pustkowiach, od wioski do wioski? Dostyc tego! Chodź tu po dobroci i włącz do środka albo cię zabiję!

– Czego on chce? – spytał Chudy. – Może łupów, które miałeś w jukach? Gdzie one są? Zabrałeś je, by dogadać się z Jose Curcuncho, ale go nie spotkałeś? Schowałeś je? Dlaczego?

Cała trójka patrzyła na mnie już nie wyczekująco, ale z jawną wrogością. Podejrzewali, że robię ich w konia i właśnie złapali mnie na szachrajstwie. Nie przejmowałem się nimi na razie, bo trawiłem słowa Adama. O czym on właściwie mówił? O jakim oszukiwaniu i o co mu chodzi z tym włożeniem do środka?

Schody zaskrzypiały i na poddasze weszło pozostałych dwóch *desperados*, którzy do tej pory siedzieli na dole. Tylko tych jeszcze brakowało.

– Dobra, chłopaki – powiedziałem, jakbym przyznawał się do złego. – Prawda jest taka, że Jose Curcuncho nas wystawił. Zwąchał się z żołnierzami, z moim bratem. Zasadzili się na mnie po drodze, ale im zwiąłem. Straciłem jednak juczne konie, nie tylko z własną garderobą, ale i łupami.

– Matko Boska, kurwa mać! – ryknął wąsacz, który na dole spał na ławie. Teraz już nie był zaspany. – Jose miał je spieniężyć i wypłacić nam w amerykańskich dolarach. To była cała nasza przyszłość! Za co będziemy żyli po przekroczeniu granicy?

– Opanuj się, Mario – warknął Chudy. – Od biedy będziemy żyli z tego co tutaj. Napadnie się na jaką wioskę czy farmę i...

– Głupi jesteś jak but – syknął Esteban. – Stany to nie Meksyk! Złapią nas i powieszą raz dwa. Mario ma rację, mieliśmy zapewniony godziwy byt i szanse rozpoczęcia nowego życia. Rubio wszystko zaprzepaścił. Jak mogłeś? Mieliśmy cię za niepokonanego!

Śmierdzący gwałcieciel i morderca dzieci wymierzył mi w pierś dwururkę. Zrozumiałem, że banda obróciła się właśnie przeciwko szefowi. To w zasadzie zabawne. Adam znów zrobił ze mnie kozła ofiarnego. Musiał wiedzieć, że jestem blisko. Okradł swoich druhów, wmawiając im, że udaje się spieniężyć łupy, odnalazł jakiś oddział kawalerii i podał się za mnie. Przywiódł tutaj wojsko i zaczął się, czekając na moje

przybycie. Pozwolił mi wejść do środka i podać się za niego, a potem ciach! Miał i mnie, i swoich niepotrzebnych już przyjaciół. Teraz udaje skłonnego do paktów, by zmylić żołnierzy, że niby jest szlachetnym i honorowym oficerem. I czeka tylko na pretekst, by dać rozkaz do ataku. Z pewnością dopilnuje, by nikt nie wyszedł z tego domu żywy. Jednym rozdaniem zgarnie dwie pule: zyska zbójcecki skarb wyłącznie dla siebie i pozbędzie się kłopotu, który zmusza go do nieustannej wędrówki, czyli mnie.

– Hej, tam! – krzyknął Chudy przez okno. – Będziemy paktować! Wydamy wam Rubia, ale chcemy coś w zamian!

Antonio zdążył szturchnąć mnie lufą w czoło, dają znak, że to koniec przyjaźni, a potem wyrwał mi rewolwer z kabury. Nie przeszukiwali mnie, mój brat nie nosił innej broni niż palna, nie podejrzewali zatem, że za pazuchą mojej lichej kapoty tkwi solidnych rozmiarów nóż.

– Czego chcecie? – spytał Adam, już rzecz jasna po hiszpańsku.

– Przysięgi, że pozwolisz nam odejść wolno. Zabierzemy też swoje konie, do tego zwrócisz nam bagaże Rubia – zażądał Chudy.

– Skąd mam wziąć jego bagaże? – zdziwił się mój brat.

– A widzicie – powiedziałem. – Już kręci. Jeśli chcecie przeżyć, musimy wszyscy chwycić za broń i spróbować się przebić. Wyjdziemy dachem i zeskoczymy na szopę. Tam nie ma zbyt wielu żołnierzy. Uda się!

Esteban obrócił strzelbę i walnął mnie kolbą w głowę. Na szczęście to było niemal przyjacielskie szturchnięcie, nie połamał mi więc szczęki ani nawet nie wybił zębów. Zrozumiałem jednak, że *desperados* postanowili się rozstać z szefem i nie przekonam ich do zmiany decyzji.

Mijały kolejne minuty targowania się i przekomarzania, a ja powoli trzeźwiałem. Działanie roślinnych alkaloidów powinno utrzymać się jeszcze kilka godzin, ale mijała mi alkoholowa euforia. Zacząłem się robić niecierpliwy. Siedziałem jednak nieruchomo, z lufą dubeltówki wymierzoną w pierś i otoczony przez pięciu typów niespuszczających ze mnie oka. To powoli przestawało być zabawne, a zaczynało irytować.

Widziałem przez ściany, jak żołnierze przemieszczają się w ciemności. To był półszwadron kawalerii, który konie zostawił poza miasteczkiem, razem z kilkoma wartownikami. Budynek otaczało zatem jakichś czterdziestu żołnierzy, a wśród nich mój brat. Poznałem go od razu, bo jego układ nerwowy nie tyle świecił, co płonął niczym rozgrzane do białości żelazo. Czyli Adam też był naszprycowany specyfikami jak

cała apteka. Tylko po co? Ja zrobiłem to, by zachować nadludzką sprawność w czasie misji, jasność umysłu i ostrość jaźni umożliwiającą mi choćby telekinezę. Czyżby Adam obawiał się moich zdolności? Od kiedy zaczął się mieć przede mną na baczności? Zwykle był przekonany o swojej wielkości i miażdżącej przewadze nad swoją słabszą i mizerniejszą kopią.

– Zanim się rozliczymy, chcę zobaczyć brata! – zażądał niespodziewanie, gdy już niemal przypieczętowali układ. – I chwilę z nim porozmawiać. W cztery oczy, w pustym pomieszczeniu. Przyjdę tam bez broni, zupełnie sam!

Desperados spojrzeli po sobie niepewnie. To było coś nowego i niespodziewanego. Zaczęli się kłócić, bo każdy miał coś do powiedzenia. Cała piątka już po chwili przekrzykiwała się i złorzeczyła. Bez silnego przywódcy okazali się zupełnie do niczego. Ktoś musiał wziąć ich w karby, by stali się groźną bandą. Teraz mógłbym ich pozabijać właściwie bez wysiłku, tak byli zaaferowani kłótnią. Wreszcie na zewnątrz huknął strzał. Adam doszedł do wniosku, że nie będzie czekał godzinami, aż się dogadają.

– Idę! – rzucił tylko.

Zostałem sam z Estebanem i Chudym, reszta zbiegła na dół. Dwaj pilnujący mnie *desperados* byli spoceni i zdenerwowani. Esteban z pasją żuł ohydnie oślinione cygareto, Chudy łypał wytrzeszczonymi gałami, a ręka z rewolwerem wyraźnie mu drżała. Uśmiechnąłem się do niego, co jeszcze bardziej go przeraziło.

Po chwili schody zaskrzypiały pod krokami wspinającego się człowieka i na poddasze weszło moje drugie ja. Adam ubrany był w mundur republikańskiego oficera kawalerii. W mój mundur! Skąd go wziął, do cholery? Uniform powinien tkwić złożony w skrzyni wsuniętej pod łóżko, które stało w koszarach, jakieś tysiąc wiorst stąd!

Nie dostrzegłem w pierwszej chwili twarzy brata, ciągle bowiem skupiałem się na jego oślepiająco płonącej sieci nerwowej. Dopiero kiedy stanął nade mną i wziął się pod boki, jak przystało na zwycięzcę, zamrugałem i zebrałem się w sobie, by zapanować nad mocą. Adam władczym gestem wskazał *desperados* wyjście, nie poświęcając im nawet spojrzenia. Automatycznie wykonali polecenie; nawet im do głów nie przyszło, że mogą zaproponować. Zawinęli się i poszli. Zostaliśmy sami. Podniosłem się z podłogi i wyprostowałem, choć we łbie kręciło mi się jak na karuzeli. Adam zbliżył się kolejny krok i przekrzywił głowę.

– Co jest, do diabła? – mruknął.

Znów zamrugałem, by wyeliminować z obrazu nakładające się wizje płonącej sieci nerwowej i sporadyczny łopot kolorowych, anielskich skrzydeł. I dopiero wtedy

mogłem przyjrzeć się jego twarzy. Szczególnie moją uwagę przyciągnęły oczy. Obce, patrzące bystro i z chłodnym wyrachowaniem.

Przełknąłem ślinę, czując dziwne parcie w brzuchu. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że to był strach.

– Nie jesteś Adamem – zauważyłem.

– Ani ty – dodał.

* * *

Dołączyliśmy do powstańczych oddziałów, kiedy tylko w miarę odzyskałem siły. Wystarczyło, bym przedstawił Adama jako brata bliźniaka, a został przez chłopców przyjęty z otwartymi ramionami. Każdy zdolny i chętny do walki tak był traktowany. Akurat chęci mojemu drugiemu ja nie brakowało. Od początku wykazywał ogromną aktywność. Szybko przejął dowodzenie nad patrolem złożonym z kilku jeźdźców i wyprowadził się z nimi na rekonesanse, często zapuszczając się nawet do miast, w których stacjonowały rosyjskie wojska. Przywoził z takich wypraw trofea – obcięte kozackie uszy, odcięte razem z palcami oficerskie sygnety, zdobyczną broń i konie.

Nasza walka była właściwie nieustanną wędrówką, która doskonale odpowiadała jego charakterowi. Musiał być cały czas w ruchu, ciągle przeć przed siebie, zostawiając pasmo zniszczeń i zgliszczy. Tak się rozpędził, że w imieniu Rządu Narodowego dokonywał rekwizycji po dworach i wsiach, często bez wiedzy dowództwa. W razie oporu reagował bardzo gwałtownie, wieszając opornych chłopów. Zawsze jednak wracał z wypraw ze zdobytym prowiantem i wiadomościami o przeciwniku; generał Langiewicz przymykał więc oko na jego wybryki.

Kiedy wydobrzałem na tyle, by móc dosiadać konia, dołączyłem do patroli. Chciałem mieć na niego oko i w razie czego hamować brutalność Adama. Traktował mnie oczywiście pogardliwie, początkowo bawiąc się i złośliwie ciesząc, gdy okazywałem niezadowolenie. Kilka razy interweniowałem, na przykład gdy chciał spalić dwór lub gdy kazał ostrzelać niechętnych nam włościan. To zaczęło podkopywać jego autorytet wśród ułanów, szybko dał mi więc odczuć swoje niezadowolenie. Zrobił się zgryźliwy i złośliwy, naśmiewał się ze mnie i szydził, wreszcie wziął na stronę i zagroził śmiercią.

Przyznał, że uważa mnie na gorszą i słabszą część swojej natury, coraz bardziej żałuje, że mnie ocalił i nie pozwolił umrzeć. Kazał się odczepić i iść precz lub urządzi

mnie na amen. Nie przejąłem się groźbami; żyłem wtedy w przekonaniu, że lada dzień i tak wszyscy polegniemy. Byliśmy wyczerpani i wygłodzeni. Moskale deptali nam po piętach i nasza wędrówka zmieniła się w nieustanne kluczenie po lasach, byle tylko uniknąć wrogich oddziałów. Cóż zatem znaczył jakiś tam drugi ja, choćby nawet zły i zepsuty? Na wszelki jednak wypadek udałem się do generała i poradziłem mu, by odebrał mojemu bratu komendę nad oddziałem. Nie musiałem długo czekać na ripostę Adama. Następnego ranka zostałem aresztowany przez kosynierów i w samych gaciach i koszuli zaciągnięty pod najbliższe drzewo. Zamierzali mnie powiesić.

W nocy najechano pobliski dwór, w którym mieszkały dwie szlachcianki, matka z córką, oraz nieliczna służba i kilku parobków. Kobiety zostały zgwałcone i zabite, służba wyrżnięta, a dwór splądrowany i spalony. Znikli również ułani z patrolu Adama; wszystko wskazywało na to, że to jego podjazd dokonał napaści. Kilka cennych przedmiotów zrabowanych z dworu znaleziono przy mnie, w moim szalasiu. Tak samo jak strój Adama z jego nieodłącznym myśliwskim nożem. Dowody wskazywały niezbitnie, że to on był winny napaści, został więc zaocznie skazany na powieszenie. I tak oto po raz pierwszy zostałem uznany za swojego brata i miałem odpokutować za jego czyny.

Drań zaplanował to, by się mnie pozbyć. Podrzucił mi dowody i zabrał moje ubranie. Kiedy kosynierzy zakładali mi na szyję stryczek, stał przy generale, przebrany ze mnie, i z przyganą kręcił głową. Nawet bezczelnie prosił Langiewicza, by darował mi życie, wiedząc, że generał surowo traktuje szabrowników i nie zmieni wyroku. Stałem więc z pętlą zaciskającą się na szyi i patrzyłem na niego ze zgrozą. Zrozumiałem bowiem wreszcie, że stworzyłem potwora. Kiedy konałem tam nad rzeką, wyekstrahowałem ze swojej osobowości niby jej silniejszą stronę. Zrobiłem to jednak w gniewie, posiłkując się złością. Nie wygenerowałem zatem mocniejszego siebie, ale swoją mroczną stronę. Cały egoizm, nienawiść, złośliwość, wszystko, co plugawe w mojej naturze, skupiło się w Adamie – spotęgowane i wzmocnione. Był wcielonym złem, niszczycielem i zbójcą. Zrozumiałem, że moim obowiązkiem jest go zniszczyć. Że jestem to winien całemu światu.

I tak zaczęła się moja właściwa wędrówka. Tam, w powstańczym obozie, z liną na szyi. Padł rozkaz i podciągnięto mnie w górę, wierzgnąłem nogami, czując, jak sznur miażdży moją krtań. Oczy i jęzor wyszły mi na wierzch. Mój brat uśmiechnął się na ten widok. Nie wiedział, że gdy wyciągano mnie z namiotu, zdążyłem zgarnąć dwie fiolki, których zawartość natychmiast przełknąłem. Kiedy konałem, działanie alkalo-

dów się spotęgowało, mój umysł w chwili śmierci znów zapłonął, a jaźń stała się ostra jak brzytwa. Wystarczyło, że musnąłem nią konar, na którym wisiałem, a ten pękł z trzaskiem.

Spadłem na ziemię, a lina, z moją małą mentalną pomocą, poluzowała się na moim gardle. Zabobonni kosynierzy zdębieli ze zgrozy, bo wieszano mnie na solidnym, starym dębie. Jego konar nie był spróchniały i powinien utrzymać nawet pięćdziesięciu ułanów, i to razem z końmi. Wtedy, jak na zawołanie, zagrała trąbka ostrzegająca przed pojawieniem się Moskali. Zbliżył się do mnie pułkownik Czachowski, surowy drab, który nieraz skazywał ludzi na śmierć. Bałem się, że będzie chciał mnie dobić, ale tylko rzucił mi myśliwski nóż mojego brata oraz jego kapotę i kazał wskakiwać na konia.

Rozpoczęła się bitwa, w której walczyłem w karnym oddziale Czachowskiego. Cały czas liczyłem na to, że uda mi się zbliżyć do brata i zakończyć jego nienaturalne życie, ale okazało się to niemożliwe. Bitwa trwała dwa dni i składała się z serii starć i potyczek, w trakcie których konni Czachowskiego oderwali się od sił głównych. Moskale odepchnęli nas, a kozackie sotnie pogoniły daleko na północ. Tymczasem Langiewicz postanowił porzucić oddziały i przekroczyć kordon. Razem z nim do Austrii uciekła masa wojska, w tym mój brat. Rozdzielono nas zatem na kilka miesięcy.

Kiedy i moja wojenna epepeja się skończyła i po śmierci pułkownika sam zviałem do Austriaków, mój brat już robił karierę w ich wojsku. Powstańcy trafiali do aresztów i dostawali wybór: ekstradycja do Rosji lub służba w C.K. armii. Akurat brat cesarza Franciszka Józefa wybierał się za ocean, by ogłosić się władcą Meksyku, i potrzebował doświadczonych, bitnych żołnierzy. Kilka tysięcy powstańców złożyło mu więc przysięgę i wyruszyło do Ameryki, by bić takich samych jak oni powstańców, walczących o wolność ojczyzny. Nic dziwnego, że Adam był jednym z pierwszych chętnych. Nie mógł przepuścić takiej okazji do rozróby.

Owładnięty już wtedy byłem obsesją, że muszę go dopaść i powstrzymać. Za wszelką cenę. Nie mogłem znieść myśli, że przez pychę i niefrasobliwość powołałem do istnienia bestię, zdolną do największych niegodziwości. Zaciągnąłem się zatem do armii cesarza Maksymiliana i popłynąłem za ocean, w pościgu za bratem.

A właściwie za sobą samym.

* * *

Na parę chwil zupełnie mnie zamurowało. Kim był ten drugi ja? Miałem wrażenie, jakbym gapił się w lustro, tylko po drugiej stronie była trochę lepsza wersja. Mniej zużyta, bardziej przystojna i szlachetna. Jegomość w mundurze wyglądał jak postać bohatera na obrazie, jak moja wyidealizowana, mocno oderwana od rzeczywistości wersja. Uniesiona dumnie głowa, mocno wysunięty podbródek i wyprężona pierś.

Czułem się przy nim jak ostatni dziad. Byłem zmęczonym, spalonym słońcem chudzielcem w szmatach. On nawet odżywiony był znacznie lepiej; pod opiętym mundurem rysowały się mocne mięśnie. W dodatku się nie pocił, a roztaczał wokół zapach wody kolońskiej i świeżo napastowanej skóry.

– Jesteś tym najstarszym – powiedział wreszcie, a w jego głosie brzmiała współczucie. – Pierwszym z nas, najbardziej doświadczonym przez los, tym najgorszym...

– Najgorszym? – mruknąłem, nieco zirytowany pyszałkowatą postawą piękniśia.

– Wybacz, chyba to złe sformułowanie. Jesteś najbardziej obarczony niedoskonałościami. Jesteś pierwotny, naturalny, a co za tym idzie twoja osobowość jest chaotyczną mieszaniną niedoskonałości i sprzeczności. Każdy kolejny z nas jest bardziej wyidealizowany, czystszy – wyjaśnił.

– Każdy kolejny? – ledwie zdołałem wycedzić przez zaciśnięte gardło.

– No wiesz, każde powielenie naszej osobowości powoduje powstanie kolejnej wersji Dembickiego. Tylko że my się przy powieleniu nie kopiujemy, ale niejako wydzielamy część jaźni, określoną esencję osobowości. Każdy z nas jest przez to coraz bardziej charakterystyczny i wyidealizowany. Nie kopiujemy się, a rozszczepiamy jaźń na elementy składowe!

Czułem, że włosy stanęły mi dęba. Zaczynałem rozumieć, o czym on gada i kim właściwie jest. Adam powtórzył proces, w którym sam powstał. Pobudził system nerwowy i umysł chemicznymi stymulantami i przekroczył próg, który udało mi się pokonać, kiedy umierałem nad Wierną Rzeką. Stworzył swoją kolejną wersję i z tego, co mówił ten przystojniak, zrobił to niejeden raz.

– Ale po co? – znów z trudem wyplułem pytanie.

– Po co Adam wydzielił z siebie mnie, Krzysztofa? – Jegomość się uśmiechnął. – Chciał się udoskonalić. Wadziło mu nieco, że stworzyłeś go nie w pełni idealnego. Czasem bowiem przeszkadzała mu skłonność do okazywania szlachetności i honoru.

Wyłuskał je więc ze swojej osobowości, tworząc mnie. Najszlachetniejszą wersję nas wszystkich – triumfalnie zakończył Krzysztof.

Na dole słyhać było coraz głośniejszą kłótnię. Chyba *desperados* tracili cierpliwość, a nerwy wyładowywali, wrzeszcząc na siebie.

– Myślałem, że nie żyjesz – powiedział, wyciągając z kieszeni białych, lnianych spodni srebrną papierośnicę. – Słyszałem, że poległeś w jakiejś potyczce.

Drżącą, brudną ręką sięgnąłem po cygaro. Zapaliliśmy je od świeczki. Krzysztof podszedł do okna i pomachał swoim żołnierzom. Wyglądał tak dostojnie i elegancko, że czułem się przy nim coraz bardziej niezręcznie.

– Ścigasz Adama, bo uważasz, że jest potworem – powiedział. – Jesteś z nas najbardziej skomplikowany, ale jednocześnie najprymitywniejszy. Owszem, Adam jest agresywny i skłonny do okrucieństwa, ma na sumieniu wiele zbrodni, ale popełnione przez niego czyny nie są istotne. Nie możemy zapomnieć, że właściwie jesteśmy jedną osobą. Powinniśmy współpracować bez względu na okoliczności.

– To dlatego się z nim umówiłeś w Santa Gertrudis? – powiedziałem wreszcie, nieco się rozluźniwszy. Kilka zaciągnięć i solidna porcja nikotyny wniknęła przez płuca do mojej krwi. Od razu zacząłem jaśniej myśleć. – Układasz się z Adamem, a on robi cię w konia. Znam to. Pewnie się wkurzyłeś. Stąd ta obława?

– Mniej więcej – przyznał bez skrępowania. – Układam się z nim, owszem, ale to ja go wykorzystuję. Pozwalałem mu działać w regionie w zamian za wystawianie innych, konkurencyjnych band. Dzięki jego informacjom rozbiłem tuzin sfor maruderów i szumowin. Rozstrzelałem kilkudziesięciu sukinsynów terroryzujących prowincję. W zamian za to Adam miał obiecaną wolną drogę do Stanów.

– Z łupami?

– Z łupami, ale bez kompanów. Miał mi ich wystawić w Santa Gertrudis. Wyczułem jednak, że się nie pojawi. Nie jest głupi. Wiedział, że nie zamierzam tak po prostu go puścić. Zna moją pasję – powiedział, zerkając na mnie jakoś dziwnie, jakby łakomie. – Nie pojawił się osobiście, ale namierzyłem jego kryjówkę. A tu spotkała mnie niespodzianka. Co prawda Adam zwiął, ale zostawił prezent: ciebie.

Bez trudno się domyśliłem, że kroi się coś złego. Krzysztof może i był izolowaną z mojej osobowości dumą i odwagą, ale z całą pewnością pozbawioną moralności. Z jego pięknych, wzniosłych oczu biła duma, ale zupełnie wyprana z ciepła. Jakakolwiek miał pasję, muszę być na pełnych obrotach, by mnie nie zaskoczył. Kiedy na chwilę odwrócił się do okna, wsypałem do ust zawartość ostatniej fiołki z ładownicy. Pora się

rozkręcić.

– Nie pytasz, dlaczego uważam to spotkanie za pożegnalny prezent od Adama?
– spytał. – Choć i tak mnie nim nie przekupi. Ruszę za nim, choćbym miał wybrać się w podróż przez całe Stany. I jego też dopadnę.

– Domyślam się, że chodzi o inne nasze wersje – powiedziałem, czekając, aż alkaloidy rozpuszczą się w sokach żołądkowych i przedostaną do krwi. Proces przyspieszyłby alkohol, szkoda, że nie miałem butelki pod ręką. – Skoro Adam powieliła się od czasu do czasu, zakładam, że ty z kolei wyłapujesz nasze kopie...

– Mówiłem już, że nie kopie! Każdy z nas jest unikalny, zupełnie inny. Jesteśmy kolejnymi elementami składowymi naszej osobowości, a nie kopiami – upomniał mnie surowym tonem. – I owszem, masz rację. Kolekcjonuję nasze kolejne wersje i wchłaniam je. Opracowałem odwrotność procesu powielenia. To łatwe, uwierz. Wzbogacam w ten sposób swoją osobowość, robię się dzięki temu potężniejszy, silniejszy i wewnętrznie bogatszy.

– Zaraz, zaraz – mruknąłem. – Skoro z powrotem wchłaniasz nasze elementy składowe, coraz bardziej upodobniasz się do pełnego mnie. Do wyjściowego, jak to nazwałś pierwotnego. Czyli zamieniasz się we mnie.

– O nie, mój drogi! – Pokiwał palcem, jakby karcił niesfornego ucznia. – Nie sądzisz chyba, że podróżuję po tej pustyni, by skompletować chaotyczną, nieokrzesaną osobowość pierwotną! Każda z naszych wyizolowanych składowych jest odrębną osobą, która po oddzieleniu toczy własne życie. Bogaci się w doświadczenia, które ją kształtują i zmieniają, a robi to przez pryzmat dominujących cech swojego charakteru. Inaczej mówiąc, każda nasza wersja pielęgnuje w sobie określone cechy i wzbogaca je, kierując swoim życiem zgodnie z osobniczymi upodobaniami.

– Czyli powiedzmy, że ten z nas, który symbolizuje altruizm, poświęciłby życie pomocy innym, a ten, w którym dominuje chciwość, skupiłby się na pomnażaniu kapitału – podsumowałem.

– Otóż to, każdy z nas doskonali się w swoim kierunku. Przez to, gdy wchłaniam kolejne nasze osoby, wzbogacam swoją jaźń o ulepszone, wyostrzone cechy. Zbieram po prostu życiową mądrość i doświadczenia nas samych. Niejako żyję wieloma żywotami naszych kolejnych wersji. – Ożywił się jeszcze bardziej.

Przemawiał, nawet na mnie nie patrząc. Zwrócił się do okna i utkwił wzrok w ciemności. Zaciągał się niespiesznie i wypuszczał dym, jakby tworzył dzieło sztuki, a nie chmurkę, która po chwili rozwiewała się w dusznym, gorącym powietrzu. Miał się

za niezwykle mądrego i niepokonanego. Czuł się panem i władcą, on tu rządził.

Wiedziałem już, że Adam usuwając go ze swojej osobowości, amputował sobie nie tylko rycerskość i honor, ale przede wszystkim pychę i dumę. Krzysztof był tak zachwycony swoją osobą, że zupełnie nie dostrzegał tej jakże znaczącej wady swego charakteru. Zrozumiałem, że jest ona moją szansą.

– Jeszcze jedno, zanim mnie pochłoniesz – powiedziałem. – Obawiam się, że mogę być dla ciebie zupełnie nieprzydatny, a nawet szkodliwy. Jestem przecież wersją pierwotną, złożoną ze wszystkich cech zasadniczych. Jestem prymitywny, jak sam powiedziałeś. Nie wzbogacę twojej osoby o którąś z doszlifowanych cech charakteru, a jedynie mogę ją zaśmiecić.

– O, niekoniecznie! Jako suma sprzeczności też z pewnością miałeś bardzo ciekawe losy i doświadczyłeś wielu smakowitych wspomnień. Wystarczy, że nad nimi zapanuję i nie pozwolę im zanieczyścić swojego idealnego charakteru, a również i mnie wzbogacą.

Wreszcie odsunął się od okna i zwrócił do mnie. Strzelił niedopalonym cygarem na zewnątrz, a drugą rękę wyciągnął w moją stronę, jakby czymś we mnie ciskał. Poczulem uderzenie niewidzialnej siły, która poderwała mnie w powietrze. Grzmotnąłem plecami o ścianę, aż zadudniło i posypał się tynk. Zawisłem jakiś łokieć nad ziemią, przyciśnięty do muru. Jęknąłem tylko, ruszając niezgrabnie rękami i nogami, jak przyszpilony przez entomologa motyl.

Trzeba przyznać, że wyćwiczył sobie jaźń i potrafił nią operować nader sprawnie. Telekinezę miał opanowaną zaiste po mistrzowsku. Czułem, że gdyby chciał, rozmazałby mnie po tej ścianie samą siłą umysłu. Widziałem, jak jego układ nerwowy płonie prądami, mój tymczasem przygasł.

– Niestety to będzie bolało – powiedział. – Proces pożerania jest dość brutalny. Muszę wyrwać ci zawartość umysłu, sczytać wszystkie zapisy, które przechowujesz w neuronach, takich cegiełkach mózgu. Poczujesz zaraz swędzenie wewnątrz głowy, które będzie wędrowało przewodami, czyli siecią nerwową, do mojej dłoni.

Rozerwał mi koszulę i obnażył pierś. Oparł na niej dłoń.

– Potem swędzenie zmieni się w pieczenie, a ono w palenie. Będziesz miał wrażenie, że całe twoje ciało wypełnia płynny metal, który wypala cię od środka. I tak też się stanie. Gdy skończę, zamienisz się w kupkę popiołu. No cóż, z prochu powstałeś i w proch się obrócisz! – Nie zapomniał na zakończenie złośliwie się uśmiechnąć.

Chyba skupiło się w nim kilka paskudniejszych cech niż buta i duma. Może

skompletował więcej parszywych stron charakteru, niż by się wydawało?

Zgodnie z zapowiedzią poczułem pieczenie w miejscu, w którym oparł rękę. Nie czekałem na więcej atrakcji, zagotowałem się gniewem, aktywując cały swój potencjał. Mój układ nerwowy na chwilę zapłonął takim samym blaskiem jak Krzysztofa. Bliźniak zrobił wielkie oczy i uniósł brwi z zaskoczenia. Zacisnął zęby, szykując się na pojedynek osobowości i skupiając na emocjach płynących po naszych układach nerwowych. To wystarczyło, by odrobinę zmniejszył nacisk telekinetyczny. Na nic więcej nie czekałem. Nie zamierzałem się z nim pojedynkować na wolę i potęgę, nie było we mnie pychy, by popisywać się przed przeciwnikiem umiejętnościami.

Przełamałem osłabiony napór na moje ciało i sięgnąłem prawą ręką za pazuchę kapoty. Wyszarpnąłem nóż z ukrytej tam pochwy i wpakowałem szerokie ostrze w oko Krzysztofa. Wepchnąłem je po rękojęść, aż zazgrzytało o kość oczodołu.

Fiknął w tył, a ja opadłem na podłogę. Dосkoczyłem do wierzgającego w agonii ciała i przytrzymałem jego głowę stopą, by nie zapaskudził krwią munduru. Podobał mi się, a poza tym potrzebowałem go.

* * *

Poprawiłem czerwone wypustki, otrzepałem kurz z tyłka, bo na białych poślądkach wyglądał mało wyjściowo. Niestety trochę juchy zabryzgało mi biały halsztuk i musiałem go wywalić. Poza tym uniform Krzysztofa prezentował się bez zarzutu. Jak wspomniałem, byłem od niego znacznie mizerniejszy, ale założyłem, że w ciemnościach nikt nie będzie się dokładnie przyglądał mojej sylwetce i wychudzonej gębie. Ważne, że rysy mieliśmy identyczne, a przede wszystkim takie same jasne włosy.

Przed wyjściem spojrzałem jeszcze raz na ciało Krzysia, które starannie przebrałem w znoszone, chłopskie ciuchy. Dziwne uczucie zabić samego siebie. Choć trzeba przyznać, że ta moja wersja była nadętym dupkiem i należał się jej znacznie mniej przyjemny koniec. Szkoda, że nie wyznał, ile moich wersji pożarł Krzysztof i o ilu istniejących jeszcze wiedział. Teraz musiałem działać trochę na ślepo. Najważniejsze to jak najszybciej dopaść Adama, bym nie musiał gonić go przez całą Amerykę.

Zszedłem po schodach i znalazłem się w głównej sali karczmy, gdzie zebrała się cała banda. *Desperados* patrzyli na mnie groźnie, ale w ich oczach widziałem respekt. Byli zdenerwowani i mieli ochotę mnie zastrzelić, ale wiedzieli, że trzymam ich w garści. Mimo to Chudy podszedł do mnie i przystawił mi rewolwer do brzucha.

– Załatwiliście swoje sprawy? – spytał. – Możemy teraz iść?

– Odłóżcie broń i wychodzimy – odparłem.

– Masz nas za durni, panie kapitanie? – mruknął Esteban. – Pójdiesz z nami do stajni i grzecznie wsiądziesz na konia, a potem odprowadzisz kawałek za miasteczko. Wszyscy będziemy cię mieli na muszce. Nawet jeśli zechcesz nas zdradzić i żołnierze zaczną strzelać, któryś z nas zdąży wpakować ci kulkę.

Tego mi tylko brakowało. Użerania się z bandziorami, kiedy powinienem się śpieszyć do miasteczka, w którym Adam miał spotkanie z nowym współnikiem, czyli z Jose. Możliwe, że już się z nim połączył i są w drodze do granicy ze Stanami.

– Możecie odejść. Dam wam słowo honoru, że nie będę próbował was zatrzymać – powiedziałem.

Bandziory zarechotali zgodnym chórem. Słowo honoru nie robiło na nich wrażenia. Cóż zatem miałem zrobić, ruszyłem przodem, a któryś z *desperados* natychmiast przystawił mi lufę dubeltówki do pleców. Wyszliśmy w ciemność; na szczęście ciągle widziałem świecące ciała żołnierzy. Pomachałem do nich i kazałem się cofnąć. Skierowałem się do stajni, idąc śladem wskazywanym przez kolorowe anioły.

Znów się pojawiły – w dodatku całą chmurą. Potknąłem się przez nie i zupełnie niespodziewanie rzuciłem pawia. Co jest? Nagle znalazłem się na kolanach, wstrząsany skurczami, a bandziory szarpali mnie, wreszcie na siłę postawili i pchnęli przed siebie. Było mi niedobrze i duszno, w dodatku obrzygałem sobie nowy mundur.

Anioły! To one! Cholera jasna, chyba nieco przedawkowałem alkaloidy. Ta ostatnia porcja widocznie dopiero zaczynała działać. Jeśli nie zdołam zapanować nad organizmem, mogę stracić przytomność. Mogłem siłą umysłu przewracać drzewa, ale nie potrafiłem zmusić swojego ciała do wytrzeźwienia. I to był problem. W stajni *desperados* rzucili się do siodłania koni, zostawiając mnie z Estebanem. Dałbym mu radę, ale niestety czułem się coraz gorzej. Chwiałem się, a anioły próbowały wdrzeć mi się do głowy, pchając do uszu i nosa. Strasznie przy tym trzepotały skrzydełkami, aż zacząłem się przed nimi opędząć.

– Co robisz, do cholery? – syknął Esteban. – Wsiadaj na konia Młodego, on już nie będzie go potrzebował.

Skinąłem głową i poklepałem po łbie chudego siwka. Udało mi się jakoś wspiąć na siodło i trafić nogami w strzemiona, choć we łbie miałem pędzącą karuzelę. Na domiar złego myśli zaczynały mi się plątać.

– Jedziemy! – rozkazał Esteban, który również znalazł się w siodle.

Strzelbę miał przełożoną przez ramię i wymierzoną prosto we mnie. Pokiwałem grzecznie głową i szturchnąłem konika nogami. Wyjechaliśmy na drogę, gdzie natychmiast otoczyli nas żołnierze. Zmarszczyłem czoło z wysiłku i udało mi się wypatrzyć ich podoficera.

– Sierzancie, cofnijcie ludzi. Zrobić nam drogę wolną. Jadę z nimi jako zakładnik, zabraniam wysyłać jeźdźców naszym tropem. Do mojego powrotu przejmujecie dowodzenie – rozkazałem, siląc się na dumny i pełen pychy ton charakterystyczny dla Krzysia.

– Rozkaz! – Sierżant nawet zasalutował, po czym wydarł się na żołnierzy.

Mieliśmy wolną drogę. Ja i pięciu *desperados*, sami na pylistym trakcie prowadzącym w ciemność. Do świtu pozostały jakieś dwie godziny, w sam raz, by odjechać w siną dal.

– Co za numer! Trzymajcie mnie. – Niespodziewanie Esteban wybuchnął śmiechem. – Powiedz, Adamie, jak to zrobiłeś? Nawet ja wziąłem cię za brata! I co z nim? Załatwiłeś go?

Spojrzałem na niego z ukosa. Na czubku jego głowy usiadł cycaty anioł i puścił do mnie oko. Parsknąłem śmiechem.

– Załatwiłem? Tak – przytaknąłem. – Wpakowałem mu nóż w oko.

– Poznałem, że to ty dopiero w stajni! – Esteban przerzucił strzelbę przez ramię. – Powiedziałem, byś wziął konia Młodego, a ty od razu podszedłeś do właściwego, w dodatku zwierzę cię poznało. Wtedy dopiero złapałem, że przebrałeś się w mundur bliźniaka. Świetny pomysł!

– Zaraz – burknął Chudy, który naprawdę nazywał się Jezus. – Skoro cały czas chciałeś nas wyprowadzić z wioski, to dlaczego mówiłeś, byśmy przed wyjściem złożyli broń?

– Bałem się, że zaczniecie strzelać i żołnierze nas po prostu rozwalą – wyjaśniłem. – A co, myślałeś, że każę im was aresztować?

– To by nie było takie głupie – wtrącił Antonio. – Mógłbyś wtedy swobodnie odjechać z naszymi końmi. Ponoć straciłeś łupy, więc chociaż zdobyłbyś wierzchowce.

– Za kogo mnie masz? – warknąłem, czując wzbierającą złość. – Wydałbym kumpli w łapy wojska dla kilku marnych szkap? Wróciłem tu po was, cymbały, i tylko dzięki mnie opuszczacie wioskę żywi. Powinniście mi dziękować, zamiast bez przerwy warczeć.

Desperados pospuszczali głowy, pochowali broń. Wszystkim chyba zrobiło się

głupio. W ciemnościach widziałem tylko ich sylwetki i pulsujące sieci układów nerwowych. Esteban, chudy Jezus, Antonio, wąsaty Metys Luis i zaspany Silvio w nieodłącznym kapeluszu z szerokim rondem. W głowie mi szumiało, usta wypełniał smak kwasów żołądkowych i przetrawionej gorzały. Czulem się podle. I skąd ja właściwie znałem ich imiona?

– Jedziemy w kierunku Abasolo? – spytał któryś.

– Tylko by zmylić ewentualny pościg – odparłem i skierowałem siwka w bok, zjeżdżając z drogi.

Anioły wskazywały mi drogę, bo ciemno tu było jak w dupie u Metysa i nie miałem pojęcia, gdzie właściwie jechałem. Zamknąłem oczy, ale zrobiło mi się jeszcze gorzej. Niemal od razu przyśnił mi się Maciej dyndający na dębowym konarze. I dobrze mu tak, mógł nie donosić na mnie Langiewiczowi. Sam się prosił o kuku.

Okazało się, że musiałem zapaść w letarg trwający ze dwie lub trzy godziny. Kiedy otworzyłem oczy, panowała szarówka, tuż przed świtem. Za chwilę na horyzoncie słońce eksploduje, zalewając pustynię palącym żarem. Moją kobyłkę prowadził za uzdę jadący przodem Luis. Pozostali *companieros* drzemali w siodłach.

Rozejrzałem się po okolicy, rozpoznałem masyw górski na północy. Wokół roztaczało się skalne rumowisko, pnące się po stokach kamienistych wzgórz. Dobrze, jechaliśmy w prawidłowym kierunku. Odebrałem wodze przewodnikowi i wysforowałem się naprzód. Teraz rozpoczęło się trwające przez godzinę kluczenie między skałami, chłopcy rozbudzili się, a ja w końcu zupełnie oprzytomniałem.

Anioły znikły, pojawił się za to potworny kac. Osuszyłem znaną przy siodle manierkę, ale wiele to nie dało. Musiałem jakoś wytrzymać do obozowiska. Trafiliśmy na nie niespodziewanie, ukryte bowiem było w niewielkiej dolinie między wzgórzami i wrosnięte w skaliste zbocze. Stanowiło je kilka drewnianych bud, będących niegdyś siedzibą górników szukających tu złota. Zamiast niego znaleźli pod ziemią węgiel, ale nie opłacało się go transportować z tego pustkowia, osada została więc porzucona.

– Tam są jacyś ludzie – zauważył Antonio.

– Banda Jose Curcuncho – powiedziałem. – Przecież mieliśmy się z nimi połączyć, prawda?

Trzech wyszło nam naprzeciw. Z daleka uniosłem rękę w pozdrowieniu, ale nie odpowiedzieli. Jose Curcuncho, czyli Garbaty, był groteskowo zdeformowanym karłem o blond czuprynie i mojej twarzy, ale z wiecznie ponurą miną. Ubrany w skórzany fartuch kowala, wyszedł akurat z szopy będącej kuźnią. W koślawych łapach trzymał

wielki młot. Obok niego szedł Andre Kulawy, powłóczyący lewą nogą olbrzym o ohydnie poparzonej połowie twarzy. Ta druga, nietknięta część była niezwykle piękna i miała moje rysy. Wielkolud niósł garłacz z rozszerzoną lufą. Ostatnim był Grzegorz Świątobliwy, w habicie z włosienicy, uzbrojony w bicz z żelaznymi zadziorami. Tylko ten ostatni nie miał blond czupryny, bo był ogolony na łyso.

– Matko Boska, oni są do ciebie kurewsko podobni – jęknął Esteban. – To też twoi bracia?

Pokiwałem w odpowiedzi głową.

– Mamy tu swój rodzinny dom – powiedziałem. – Oddajemy się w nim pokucie i czynieniu dobra. Teraz zsiądźcie z koni i złożcie broń, Jose ją zabierze.

– Co to ma znaczyć, Rubio? – wycedził Silvio i splunął na ziemię.

– No cóż, prawda jest taka, że miałem w planach wydanie was wojsku. Zostaliście osądzeni i rozstrzelani, ale pomyślałem sobie, że nic by mi z tego nie przyszło. – Uśmiechnąłem się, rozkładając ręce. Kątem oka obserwowałem zbliżających się braci. Szli niespiesznie, ale byli już niedaleko. – Skończylibyście jako karma dla sępów, poszli na zmarnowanie. A przecież to, co uczyniliście, nie naprawi się samo. Ktoś musi zapłacić ludziom, którzy przez was wycierpieli. Co z rodziną tej zgwałconej i zaszlachtowanej dziewczki? Dziecka nikt im nie zwróci, ale można jakoś inaczej stratę zrekomensować. – Cała piątka znów sięgnęła po broń, chyba nie spodobało się im to, co mówiłem. – Jest tu kopalnia i kuźnia, pracy starczy dla wszystkich. Jose skonstruował piec hutniczy, w którym można przetapiać stal. Z waszej broni da się wytworzyć narzędzia rolnicze.

– Upadłeś na głowę? – prychnął Jezus.

– I to nie jeden raz – powiedziałem, a potem skinąłem na braci.

Grzegorz trzasnął biczem, który owinął się wokół ręki Jezusa, tej, w której trzymał rewolwer. Pokutnik szarpnął mocno, wysadzając chudzielca z siodła. Pozostali *desperados* pociągnęli za cyngle, ale ich broń milczała. Zadbałem o to wcześniej, gdy jeszcze dysponowałem telekinetyczną mocą. Zamki w ich strzelbach i rewolwerach zostały precyzyjnie uszkodzone. Nie było to specjalnie trudne.

Trzasnąłem w zęby Estebana, na co miałem ochotę od dłuższego czasu. Gruchnął plecami o ziemię, wzbijając tuman pyłu. W tej samej chwili pamięć zupełnie mi wróciła. Znów byłem Adamem, złym sukinsynem. Natarłem na Antonia, chwyciłem lufę jego dwururki i wyrwałem mu ją z rąk jednym szarpnięciem. Walnąłem nią gwałciciela jak maczugą, trafiając kolbą w łeb. Rozejrzałem się za kolejnym przeciwnikiem,

ale bracia rozprawili się już z gagatkami. No cóż, nauczy się ich moresu, może przy pomocy bicia Grzegorza, a potem przydzielili stosowną pokutniczą pracę. To chyba lepsze niż zabijanie.

Z każdym dniem coraz mniej mnie ono bawiło. To oczywiście przez wydzielanie swoich kolejnych wersji. Każdy taki proces znacząco mnie odmieniał. Moja pierwotna wersja, Maciej, wielce by się uradowała takim obrotem sprawy. Zacząłem praktykować ten proceder już na meksykańskiej ziemi, jeszcze jako pełen pychy i buty, nadęty wałniak. Myślałem, że wyrzucając z siebie kolejne wersje prezentujące poszczególne słabości, udoskonalam się. I miałem rację, tylko że zamiast zamienić się w boga, stopniowo stawałem się coraz bardziej ludzki.

To nie był gwałtowny proces i właściwie zakończył się dopiero przed kilkoma dniami. Wtedy podjąłem ostateczną decyzję o zakończeniu epopei bandy Adama Rubia Dembickiego. Musiałem jeszcze tylko pozbyć się swojej najgroźniejszej wersji, ścigającego mnie żarłocznego Krzysztofa, który wchłaniał wszystkie nasze złe kopie. Wiedziałem, że dam mu radę, będąc w stanie ekstremalnej aktywności mózgowej, jaką uzyskiwałem jedynie pod wpływem śmiertelnej dawki alkaloidów i alkoholu. Efektem ubocznym tej fazy było cofnięcie się mentalne do pierwotnej postaci.

Kiedy się ostro naćpam, zawsze wydaje mi się, że jestem Pierwszym, że jestem Maciejem. Pałam wtedy nienawiścią do samego siebie, zresztą słusznie. To wszystko dlatego, że mózg osiąga stan bliski agonalnemu, połączenia nerwowe nadprzewodzą wtedy informacje i wraca mi pamięć pierwszej mojej wersji. Przykra sytuacja. Na szczęście szybko mija.

Zsiadłem z konia i poczłapałem do szopy będącej chemicznym laboratorium. Prócz aparatury służącej do ekstrakcji alkaloidów z roślin miałem tam też bimbrownię. A niczego teraz tak nie potrzebowałem jak klina. Niestety Andre Kulawy wręczył mi kubek zimnej wody, prosto ze studni, zanim zdążyłem dorwać się do gorzały. Spojrzał przy tym na mnie z przyganą. Zawsze sobie powtarzam, że za dużo piję! W każdej postaci. Dobrze, że umiem też się o siebie zatroszczyć.

Izolowałem swoje kolejne wersje kilkanaście razy, zanim się opamiętałem. Większość z nich załatwił Krzysztof, kilka musiałem sam zlikwidować, z tymi trzema za to udało mi się dogadać. Daleko im było od doskonałości, po prawdzie to najmniej udane wersje, ale chyba dzięki temu najbardziej ludzkie. Stwierdziliśmy wspólnie, że musimy zaszyć się gdzieś na pustkowiu i zająć jakąś pożyteczną robotą. Myślę, że na początek dobrze będzie zaprowadzić pokój w okolicy, wyłapując bandytów i zmuszając

ich do pracy w kopalni.

Potem się zobaczy. Raczej nie zagrzeję tu miejsca. Ciągnie mnie w dalszą drogę. Wyruszę gdzieś w świat, na poszukiwania samego siebie. I to wcale nie metaforycznie! Maciej gdzieś tam żyje. Ponoć po zwycięstwie rewolucji meksykańskiej wyjechał do Stanów. Zrezygnował z szukania mnie, postanowił rozpocząć nowe życie. Spróbuję go odnaleźć. Muszę powiedzieć mu kilka rzeczy o sobie.

O nas.

Anna Domińczyk

ZNIKNIĘCIE MOJEGO PRZYJACIELA

Mój przyjaciel zniknął pięć miesięcy i szesnaście dni temu.

Dwudziestego dziewiątego września o pierwszej w nocy rozmawiałam z Krystianem po raz ostatni. Od tamtej pory słuch o nim zaginął.

Wtedy, w nocy obudził mnie telefon. Po drugiej stronie słuchawki, gdzieś bardzo daleko usłyszałam znajomy głos, zniekształcony przez jakiś dziwny nieustanny szum w tle.

– Udało się! – prawie wykrzyczał. – Udało się, rozumiesz?!

Byłam śpiąca i nie miałam pojęcia, o co mu chodzi.

– To wspaniale – powiedziałam. – Możesz zadzwonić za jakieś siedem godzin? Zignorował tę prośbę.

– Rozumiesz, co to oznacza? Jestem we właściwym miejscu! Wszystko jest tak, jak powinno. I jestem absolutnie szczęśliwy. Życzę ci wszystkiego dobrego. Życzę ci, żeby spotkało cię to, co mnie...

Usłyszałam szereg zgrzytań i pisków, po czym w słuchawce zapadła zupełna cisza.

Zrobiło mi się nagle bardzo zimno i dopiero wtedy naprawdę się obudziłam.

* * *

Kiedy zaczęto go szukać, poprosiłam kobietę, która wynajmowała mu w Szczecinie kawalerkę, czy mogę tam wejść i obejrzeć pokój. Przystała na prośbę. Krystian opłacił czynsz z góry za pół roku, zapowiadając, że nie będzie przedłużał umowy wynajmu. Już wówczas musiał coś planować.

Pokój był wyczyszczony ze śladów jego bytności. Puste biurko, pościelone łóżko. Pod meblóścianką trzy kartony z książkami i laptop. Zabrał wszystkie ubrania (nigdy nie miał ich dużo), nie zostawił żadnych notatek (dzienniki przyszły później pocztą, nadał je z Anglii tego dnia, gdy ostatni raz rozmawialiśmy przez telefon). Powiedzia-

łam, że zabieram rzeczy Krystiana; syn gospodyni pomógł mi znieść kartony i komputer do auta. Dopiero w domu zaczęłam przeglądać książki i zauważyłam, że w trzecim kartonie, na wierzchu Krystian zostawił *Weisera Dawidka*.

Weiser Dawidek to książka Pawła Huelle, wydana w 1987 roku, obecnie trudna do znalezienia w księgarniach. Książka Krystiana nosiła stempel biblioteki – nie oddał jej w terminie, prawdopodobnie nie zamierzał oddawać w ogóle.

Okładka w kolorze sepii ukazuje zdjęcie mostu nad drogą, po ziemi pełną cienie, jest pełnia lata. Na moście widać sylwetkę chłopca, niewyraźną, jakby dorysowaną. Odwracam książkę i zostaje tylko most. Chłopiec zniknął. Pff...

Wieczór, kiedy zabrałam rzeczy Krystiana, spędziłam, czytając książkę Pawła Huelle. Szukałam w niej jakichś wskazówek – to nie był przypadek, że ktoś, kto zniknął bez śladu, zostawił w swoim pokoju *Weisera Dawidka*. Szukałam podkreśleń, zapisków na marginesach, ale książka była czysta. Przeczytałam ostatnie zdanie, odłożyłam ją i poczułam jeszcze większy niż wcześniej mętlik w głowie. Ale chyba wtedy (tak, tak, na pewno) postanowiłam, że zacznę pisać o Krystianie, jak bohater *Weisera Dawidka*, Paweł Heller, alter ego autora, musiał zacząć pisać o Weiserze.

Następnego dnia przejrzałam resztę lektur Krystiana i okazało się coś jeszcze dziwniejszego. Zgrupował razem kilka książek, w których pojawiał się podobny motyw. Odkryłam to, biorąc do ręki zbiór opowiadań Ivo Andrića. Obróciłam książkę i przeczytałam kilka zdań opisu, aż dotarłam do fragmentu: „W *Wakacjach na południu* austriacki profesor przyjechawszy z żoną nad morze na wypoczynek popada w dziwny, cudowny stan uniesienia, który kończy się jego zagadkowym zniknięciem”. Otworzyłam książkę na właściwym opowiadaniu. „Mijają dni. Jest już koniec sierpnia, najpiękniejsza pora roku na wybrzeżu. Jak dotąd poszukiwania zaginionego profesora nie dały żadnych wyników. Morze nie wyrzuciło zwłok, a na lądzie go nie ma”.

W sprawie zniknięcia Krystiana też prowadzono śledztwo – bez rezultatu.

Dlaczego zostawił te książki na wierzchu? Dlaczego „cudowny stan uniesienia” profesora z opowiadania Ivo Andrića był tak podobny do jednego z tych stanów, w które popadał czasem Krystian; nie chodzi mi o pełne lęku chwile, ale te, w których jak bohater Stachury mógł zobaczyć całą jaskrawość? I czy książki stanowiły wskazówkę? Krystian na pewno wiedział, że przyjdę po jego rzeczy.

Podniosłam następną książkę – *Sputnik Sweetheart* japońskiego pisarza Haruki Murakamiego. Tutaj z kolei znika młoda dziewczyna. Nie odnajduje się – tak jak Weiser, tak jak profesor.

Wtedy po raz pierwszy zadałam sobie pytanie, czy możliwe, że Krystian do tego stopnia utożsamił się z bohaterami tych książek, iż uwierzył w możliwość własnego zniknięcia?

Odpowiedź przyszła później. Znalazłam ją w jego dziennikach.

* * *

W trakcie studiów widywaliśmy się najczęściej. Jechaliśmy razem pociągiem, trzy godziny do Poznania, potem na zajęciach siedzieliśmy obok siebie i wymienialiśmy po cichu uwagi, czasem zapisywaliśmy je na marginesach zeszytów, ukradkiem podsuwając sobie nawzajem. Wiezorami chodziliśmy do jakiegoś pubu i spędzaliśmy parę godzin na rozmowie o wszystkim – o psychologii, o polityce i sztuce, o książkach i filmach, o problemach związanych z długimi włosami i wycieczkach, o kolegach i koleżankach z roku, którzy zawsze wydawali nam się nie dość rozbawieni, przypadkowi, bo przecież my byliśmy studentami z prawdziwego zdarzenia, mieliśmy opinie na każdy temat, czytaliśmy wszystkie teksty, lubiliśmy krytykować profesorów. Śmiało się z głupstw! Spaliśmy w akademiku, na początku w osobnych pokojach, a potem w jednym, jak brat i siostra. Rozmawialiśmy w zupełnych ciemnościach, ja na moim łóżku i pod śpiworem, on na swoim, dopóki któreś nie zasnęło. Następny dzień wyglądał podobnie, z wyjątkiem tego, że wieczorem wracaliśmy do Szczecina. I znów mijały dwa tygodnie, kiedy w ogóle Krystiana nie widywałam. Czeakałam na Poznań niecierpliwie i z każdego zjazdu wracałam z zapasem energii wystarczającym na kolejne dwa tygodnie.

Krystian był jak zastrzyk adrenaliny. Jego poczucie humoru, a czasami zbytnia powaga, zamyślenia, uwagi, które zbijały z tropu, rozmowy jak mecze ping-pongowe, kiedy z całej siły próbowałam zachować czujność, aby nie przepuścić piłki i nie złamać tempa konwersacji, odbić pytanie lub uwagę z całą błyskotliwością, na jaką było mnie stać. Te rozmowy czasami wyczerpywały, tak wielkiej wymagały koncentracji, ale wychodziłam z nich z poczuciem zadowolenia, jak po udanym treningu. Myślę, że dla Krystiana były zupełnie luźne. Słowa przychodziły mu bez wysiłku.

To zaczęło się dziać, kiedy skończyliśmy studia. Krystian rozpoczął swoje wycieczki, swój trzytygodniowy program i już tylko czasem dzwonił. Zabierał ze sobą telefon komórkowy, ale wiedziałam, że próby zadzwonienia czy wysłania SMS-a nie mają sensu – mój przyjaciel odzywał się tylko wtedy, kiedy odczuwał taką chęć i nie

umiałam nawet pogniewać się na niego; w końcu zgodziłam się akceptować go takim, jakim był. Ale urwały się nasze wielogodzinne dyskusje i tej luki nie potrafiłam niczym zappełnić.

Powiedział mi kiedyś, że nie tęskni za ludźmi. Jeśli przychodzi do rozstania, nie lubi się żegnać, bo nie może zaoferować nawet namiastki więzi.

Sądziłam, że przesadza. Po prostu nie spotkał dotąd nikogo, kto byłby wart zapisanania się w jego pamięci, ale ja na pewno zdążyłam w niej zaistnieć – studia, wieczorne rozmowy, wspólny pokój – taka relacja z kimś przeciwnej płci była całkowicie nowa zarówno dla mnie, jak i dla Krystiana.

Kiedy skończyliśmy studia, poczułam, jakby ktoś odciął mi dopływ prądu. Krystian był niczym pewnik, którego zniknięcia w ogóle nie brałam pod uwagę. Chociaż nie zdawał sobie z tego sprawy, stanowił dla mnie bardzo solidny filar. Wystarczało, bym przypomniała sobie jedną ze wspólnych rozmów, jedno ze wspólnych wyjść, pomyślała o tym, co mógł w danej chwili robić, a życie stawało się łatwiejsze.

A jednak Krystian przeobraził się w trakcie tych kilku lat. Teorie, których się uczył, znaczyły dla niego coraz mniej i pomimo wysiłków szeregu badaczy, którzy wprawiali je w ruch, poddawali próbom, zmieniali i wzbogacali, wydawały się suche, jałowe, zimne. Nie tego chciał – pozostania na uczelni, zrobienia akademickiej kariery. Nie pragnął też pracować z ludźmi w zaciszu gabinetu. Gdy uznał, że poszczególne teorie próbują go wyjaśniać i opisywać ze szczegółowością książkowego przypadku, odbierając mu niejasność, którą od lat w sobie pielęgnował, postanowił skończyć studiowanie. Z trudem przekonałam go, by dociągnął ostatni rok do końca.

Liczył wcześniej, że po skończeniu studiów będzie uformowany i gotowy. Oczekiwał tego wręcz z roszczeniowością dziecka. Tymczasem niechęć do psychologii skradała się do niego powoli, podstępnie, uzbrajała się, żeby wreszcie gwałtownie przełamać wszystkie możliwe bariery i dotrzeć do niego z okrutną jasnością.

Psychologia próbowała wyjaśniać fenomeny, przeciwko którym zrozumieniu Krystian się buntował.

I tyle.

Nie istniało już dla niego inne wyjście, jak tylko zapuścić włosy, założyć płaszcz i stać się włóczęgą, co niektórych śmieszyło, niektórych oburzało, a jeszcze innym imponowało.

Wsiadał w pociąg albo łapał autostop (to drugie zdecydowanie częściej), brał plecak, namiot, zestaw przedmiotów niezbędnych do przetrwania, minimum pieni-

dzy – wystarczyło.

Mówiono mu często, że jest odważny lub głupi, jeśli się nie boi. W istocie tym, czego naprawdę się bał, i to panicznie, tak że strach przewyższał każde inne uczucie, było znieruchomienie. Jediną drogą ratunku stawały się nieustanne podróże.

Pytałam go czasem, co takiego straszego jest w znieruchomieniu. Czy nie można znieruchomieć w dobry sposób, gdy się odpoczywa, słodko leniuchuje, przygotowuje do czegoś, śpi?

Krystian nie chciał mi tego dokładnie wyjaśnić. Dopiero potem przeczytałam w jego dzienniku, co się działo, gdy przez dłuższy czas pozostawał w miejscu.

Stukot kół pociągu, czy rozmowa z kierowcą ciężarówki, aby ten nie zasnął, przybycie, szukanie noclegu, witanie się z okolicznymi psami, osvajanie z miejscem i ludźmi, krótkoterminowa fucha, zwiedzanie, rozmowy i spacer – wszystko to, zebrane razem, sprawiało mu przyjemność jakiegoś trzy tygodnie. Pod koniec trzeciego tygodnia mgła już go odnajdowała. Na ogół pakował wtedy plecak, żegnał się i wędrował dalej. Zapisywał refleksje z podróży, które wysyłał do gazet. W jednym ze znanych magazynów podróźniczych dorobił się stałej rubryki. Czytelnicy pokochali jego lekki, potoczny styl, poczucie humoru i niedzisiejszy romantyzm, którym przesiąknięte były jego spostrzeżenia.

Zastanawiam się, czy już wtedy planował, że pewnego dnia zniknie bez śladu.

* * *

O rodzinie Krystian wspomniał może dwa razy w ciągu naszej znajomości. Wiedziała, że urodził się i wychował w niewielkiej miejscowości Zborówek, gdzie jego ojciec do tej pory uczył matematyki w szkole podstawowej. Pojechałam do Zborówka wkrótce po tym, jak gazety zaczęły trąbić o zniknięciu młodego publicyście ale ojciec Krystiana nie chciał rozmawiać. Tłumaczyłam, że jestem przyjaciółką jego syna, jednak potraktował mnie jak kolejną z dziennikarskich hien, które otoczyły jego dom i całymi dniami koczowały pod płotem. Nie udzielił ani jednego wywiadu; nagabywany rzucał tylko krótkie, telewizyjne: „Bez komentarza”.

„Co czuje pan w związku z zaginięciem syna?”

„Bez komentarza”.

„Czy myśli pan, że wciąż żyje?”

„Bez komentarza”.

„Czy kiedykolwiek zdarzyło mu się zniknąć na dłuższy czas?”

„Bez komentarza”.

Tylko sąsiedzi chętnie zgadzali się na występy w telewizji i opowiadali, jakim to Krystian był spokojnym, mądrym chłopcem, jak to uwielbiał włóczyć się po okolicznych lasach, a na wędrowni zawsze zabierał ze sobą książkę. Nie bardzo dogadywał się z ojcem i z jego drugą żoną, młodszą o piętnaście lat. O tym wiedziałam. Krystian powiedział mi przy pewnej okazji, że z ojcem nie łączyły go żadne podobieństwa i dziwił się nieraz, iż płynie w nich ta sama krew.

Kiedy skończył osiemnaście lat, wyjechał ze Zborówka i zapędził się aż do Szczecina. Chciał uciec jak najdalej od rodzinnej miejscowości, a Szczecin wydał mu się idealnym miejscem, miastem „czystym” od wspomnień. Przez dwa lata mieszkał tutaj u starszego państwa, łapał się różnych drobnych zajęć i pisał artykuły. Później rozpoczął zaoczną psychologię w Poznaniu. Pytałam go, dlaczego nie przeniósł się tam na stałe. Twierdził, że dojazdy mu nie przeszkadzają, a gdyby studiował dziennie i jednocześnie pracował, zabrakłoby mu czasu na książki i pisanie.

Ale chodziło o co innego. O miłość, która sprawiała, że z każdej podróży prędzej czy później Krystian wracał. Miłość do Szczecina.

Historię rodziny Krystiana poznałam od jednej z lepiej poinformowanych sąsiadek. Zaczynała się od pradziadka, zarządcy majątku Radziwiłłów w Słupi, w województwie kieleckim. Pradziadek Krystiana miał czterech synów, których losy potoczyły się tragicznie – jeden zginął w Katyniu; drugi zamieszkał na Ukrainie i został zamordowany przez UPA; trzeci, służąc w Armii Andersa, stracił obydwie nogi (leczono go w Anglii, po jakimś czasie przestał pisać listy i słuch o nim zaginął); czwartemu udało się przeżyć Oświęcim, jednak wrócił z poważnymi zaburzeniami psychicznymi, na niczym mu już nie zależało, nie obchodziła go ani żona, ani syn, do końca życia ciężko pracował na roli, nie odzywając się prawie do nikogo.

Synem czwartego brata był właśnie ojciec Krystiana, który ukończył szkołę w Buzku i został nauczycielem matematyki w Zborówku. Matka Krystiana umarła na raka krtani, kiedy chłopiec miał trzy lata, i wychowywał się właściwie sam. Spędzał dużo czasu, włóczęc się po okolicy, czytając i czasami tylko bawiąc się z rówieśnikami. Miał trzynaście lat, gdy jego ojciec ożenił się ponownie. Krystian i macocha nie przypadli sobie do gustu, a kiedy pojawiły się dzieci, Krystian zszedł zupełnie na dalszy plan. Pięć lat później spakował plecak i wyruszył na zachód Polski, podobno rozstawszy się z ojcem w nie najlepszej komitywie. Od tamtego dnia ani razu nie odwiedził

Zborówka. Pisał do domu krótkie, rzeczowe listy i czasami dzwonił.

Jedno jest pewne – ojciec Krystiana nie wiedział o swoim synu nic.

W opowieści sąsiadki zaintrygował mnie wątek okaleczonego krewnego, który zaginął w Anglii. Zapytałam, jak to możliwe, że nikt nie zainteresował się jego losem.

– A kto niby? – Sąsiadka wzruszyła ramionami. – Ten pokręcony? – Miała na myśli dziadka Krystiana.

Jak mógł zaginąć człowiek, który stracił obydwie nogi?

Sprawdziłam i okazało się, że osoba o tym nazwisku przebywała do 1952 roku w przytułku dla bezdomnych w Brystolu. Stamtąd pewnego dnia po prostu zniknęła.

Ze skrawków opowieści sąsiadów o Krystianie powstawał obraz chłopca, który dorastał w doświadczonej licznymi nieszczęściami, przetrzebionej przez los rodzinie i z biegiem lat stawał się coraz większym odludkiem.

Spacerowałam po Zborówku z nadzieją natrafienia na najmniejszy ślad po moim przyjacielu i wyobrażałam sobie, że musiał czuć się tutaj klaustrofobicznie. Może dlatego przypadł mu do gustu przestronny, otwarty Szczecin.

Coś jednak stało się ze mną, gdy patrzyłam na miejsca, które Krystian musiał kiedyś odwiedzać. Urosło we mnie uczucie podekscytowania i przygody. Mimo wszystko, szukając informacji o Krystianie, tropiąc jego przeszłość, odnosiłam wrażenie, że zbliżam się do przyjaciela. Jakbym była w stanie pokonać czas, zobaczyć go – małego chłopca z nosem w książce – i zabrać ze sobą. Ochronić przed tym, co miało go spotkać lata później.

To uczucie osiągnęło swój największy możliwy rozmiar, rozparło się w klatce piersiowej, a wkrótce niestety eksplodowało pod naciskiem żeber, nie zostawiając mi zupełnie nic.

* * *

W drugim tygodniu października przyszły pocztą dzienniki Krystiana – dwa ostatnie, z jego pobytu w Anglii.

Dopiero lektura dzienników ukazała mi złożoność jego świata.

Tak naprawdę wszystkie wyjazdy Krystiana były tylko wycieczkami, ciągle jeszcze wprawkami przed prawdziwą podróżą. Krystian pragnął wyjechać na zawsze, jakkolwiek dramatycznie by to nie brzmiało. Zamierzał powoli rozluźniać więzy trzymające go przy dotychczasowym życiu, by wreszcie jednego dnia odciąć przeszłość

(„jak ogon psu”).

Chciał wyjechać do kraju jak najmniej poznanego, gdzie wszystko byłoby nowe, zaskakujące i na zawsze już obce. Nie podałby nikomu nazwy miejsca i szybko sam by o niej zapomniał, tak jak o wszystkim, co wydarzyło się wcześniej. Drażyła go myśl, by wyjechać, zniknąć, nie zostać odszukanym – ten motyw pojawiał się prawie na każdej kartce jego dzienników.

Oczywiście nie był zupełnie pozbawiony poczucia realizmu. Wiedział, że wszędzie będzie musiał się legitymować i w ten sposób zostawiać ślady, które doprowadzą do niego ewentualnych poszukujących.

Istniał też inny problem, o którym wspominał. Kiedy ludzie w kwiecie wieku odczuwali nagle przejmującą chęć zerwania z dotychczasowym życiem i odnajdywali w sobie dość odwagi, żeby chęć przekształcić w czyn, to ich ucieczka do wolności jawiła się heroicznie niczym dwanaście prac Herkulesa – piękne, okupione krwią zwycięstwo nad sobą. Tacy bohaterowie ocalali resztę swoich lat. Ale Krystian był młody i nie znał motywów, jakie nim kierowały, nie wiedział, co go tak zmęczyło, a czasem nawet zapominał, od czego tak bardzo chce zwać. Ten fakt bardzo go martwił, bo odbierał planom cały dramatyzm.

Czuł, że jeśli ucieczka nie będzie dość piękna, to jego marzenie, a tym samym i on, rozbije się o skały jak fala.

No i jeszcze pewien szkopał... Filmy i książki o ucieczce przedstawiały na ogół bohatera w chwili osiągnięcia celu, nie kilka dni czy lat później. Zostawiały go w momencie największej radości, w punkcie totalnym.

Krystian chciał poczuć ten rodzaj szczęścia i nie wypuścić go nigdy z rąk, bo po takim doświadczeniu wszystko inne musiałoby się już jawić jako mdłe i nijakie. Nie miał jednak gwarancji, czy podejmując wyzwanie niczym Moraldo z *Wałkoni*, nie obudzi się po latach w skórze Marcella ze *Słodkiego życia*.

* * *

Oprócz marzeń o wielkiej ucieczce w dzienniku ciągle pojawiał się strach. Całe zdania o strachu, całe strony poświęcone strachowi przed bardziej lub mniej dziwnymi rzeczami.

Kilka razy dziennie dostrzegał jakieś zjawisko, które nie pasowało do reszty, tylko zwiastowało nadejście większego strachu; było znakiem. Znakiem mógł być po-

ciąg wjeżdżający na tor szósty przy peronie trzecim. Pojawiał się w oddali, a platforma zaczynała wibrować od stukotu kół. Krystian wstrzymywał wtedy oddech, zamykał oczy i czekał. Stukot kół rozlegał się w jego ciele, on sam był rozpędzoną lokomotywą, głowę miał pełną pary. Kiedy wrażenie ustępowało, Krystian otwierał oczy i wiedział, że niebezpieczeństwo zostało na jakiś czas zażegnane. Nawet jeśli ktoś stanął przez moment za jego plecami, już odszedł, nie zepchnął go pod koła.

Mógł spokojnie wsiąść do swojego wagonu.

Ale jeszcze tej samej nocy pojawiał się kolejny znak, gdzieś około godziny trzeciej, kiedy współpasażerowie spali, a pociąg zatrzymywał się na zupełnie pustym peronie. Krystian wiedział, że to nie jest jedna ze zwyczajnych stacji, i pocily mu się wnętrza dłoni. Gdzieś daleko otwierały się drzwi, ktoś szedł przez korytarze, stawał przed przedziałem Krystiana. A on zaciskał powieki, usiłował zniknąć. Ciężko kołysał się na zielonej zasłonce. Wreszcie wzdychał i odchodził.

Krystian bał się jeszcze dziwniej. Ogarniał go niepokój, kiedy chmura zakrywała słońce i słoneczny trakt na ziemi składał się jak wachlarz. Odczuwał wtedy zimno w środku, mróz. I kiedy wiosna przychodziła zbyt szybko, przerażał go wybuch natury, na który nie był przygotowany.

* * *

W czerwcu znalazł się w małej miejscowości na zachodzie Anglii i zaczął pracę w restauracji jako pomocnik kucharza. Kucharz cieszył się, że będzie mieć do czynienia z Polakiem. Twierdził, że jeśli Anglik chce pracować w restauracji, zazwyczaj wynika to z jego problemów osobistych – dociąga do pierwszej wypłaty i znika. Jeff miał ten kłopot z sześcioma angielskimi chłopakami i dopiero Litwin utrzymał się u niego dłużej.

Krystiana potrzebował na okres wakacji – do września.

Na początku Krystianowi zależało tylko na tym, żeby utrzymać się w Minehead, i pracował jedynie w porze lunchu, między dziesiątą rano a trzecią po południu. Później zaczął zostawać także w niektóre wieczory, bo uznał, że ta forma aktywności pozwala mu na długie godziny przestać się zastanawiać, nie wybiegać myślami w przyszłość i nie wracać do przeszłości. Wykonywał swoje obowiązki, będąc tak naprawdę nieobecny. Kroił marchewkę, mył naczynia, czasem nawet gotował. Wracał do pokoju w hotelu z dobrym zmęczeniem, które wywołuje tylko fizyczna praca.

W wolnym czasie spacerował po wzgórzach należących do parku narodowego

Exmoor. Krętą leśną ścieżką wspinał się na wzgórze, po prawej mając widok na Kanał Brystolski. Czasem spotykał spacerowiczów, którzy mówili mu „*good morning*”, „*hi*” lub „*hello*”. Kiedy znajdował się na szczycie, był doskonale spokojny. Siadał i patrzył na Walię raz mniej, raz bardziej ukrytą za mgłą. Na wzgórzach wznoszących się za jego plecami pasły się owce, dokładnie jak przed wiekami, jakby czas się w tym miejscu zatrzymał. Tak wysoko Krystian czuł wolność, zapominał, co czeka w dole. Przed jego oczami rozciągała się nieregularna szachownica Exmoor, tu i tam bieleły pojedyncze chaty. Wierzchołki sosen wydawały się z daleka ostre jak plastikowe zabawki na ma-kiecie, które można dowolnie przestawiać dwoma palcami. Ziemia miała czerwony kolor. W wielu miejscach pokrywały ją wrzosa, przetykane anonimowymi żółtymi kwiatkami.

To właśnie tam, któregoś dnia, siedząc na trawie i patrząc w niebo, Krystian poczuł, że znika. Najpierw przypisał to wrażenie stanowi relaksu, który uczynił jego ciało lekkim niczym piórko, ale potem przekręcił głowę w bok i zobaczył, że jego dłoń naprawdę jest przejrzysta.

Nie przestraszył się ani nie zdziwił. Przez jakiś czas obserwował zjawisko, ale im dłużej przyglądał się swojej dłoni, tym bardziej stawała się materialna.

Potem znowu pomagał w kuchni Jeffowi. Kucharz okazał się zawołanym podróżnikiem, który w trakcie swoich sześćdziesięciu lat życia zwiedził prawie cały świat. W kącie za metalowymi szafkami trzymał atlas i podczas dyskusji, gdy był na to czas, rozkładał go, żeby pokazać Krystianowi, jakie trasy przebył. W świat gnała go ciekawość, ze swoich podróży czuł się niesłychanie dumny. Przywoził z wypraw setki zdjęć zrobionych profesjonalnym aparatem – z karnawału w Rio, eskapad przez Stany Zjednoczone, Hiszpanii. Nie miał dzieci i bardzo szybko zaczął traktować Krystiana z ojcowską troską, odnalazłszy w nim bratnią duszę. Tak samo polubiła Krystiana żona Jeffa – Janet. Zachęcali go, by został dłużej, i zgodził się, chociaż po trzech tygodniach w Anglii musiał mocno się opierać wewnętrznemu przymusowi każącemu mu spakować manatki i uciec.

Jeff uprzyjemniał Krystianowi czas spędzany w pracy opowieściami o klientach King’s Head. Znał ich zwyczaje, śmieszności, wiedział, gdzie mieszkają, ile zarabiają, z kim sypiają. Opowiadał o nich anegdoty.

Czasami zastępowała Jeffa kucharka Sue – prosta kobieta w średnim wieku. Sue twierdziła, że mieszka w domu nawiedzonym przez duchy trzech dziewczynek, które lata temu spłonęły w tragicznym pożarze. Widywała ich cienie przesuujące się

po ścianach. W nocy słyszała, jak stukają, chroboczą i przestawiają sprzęty. Choć przeszkadzały jej te dźwięki, w nawiedzonym domu trzymał ją niski czynsz. Wierzyła, że duchy nie chcą wyrządzić nikomu krzywdy.

Okoliczne powiktoriańskie domostwa, budowle jeszcze z czasów Tudorów, stare kościoły i gotyckie katedry rozrzucone po wzgórzach, nieraz opuszczone, stwarzały dobrą pożywkę dla wyobraźni.

Ale i o Polsce Sue miała zupełnie fantastyczne wyobrażenie. Pytała na przykład: Czy są tam kosmetyki? Czy są domy wysyłkowe? Czy panuje nędza? Kiedy rozbawiony Krystian powtórzył Jeffowi jej ostatnie pytanie, Jeff poradził mu, aby następnym razem opowiedział: O tak, mieszkamy w chatkach z błota i codziennie stoimy w długich kolejkach po chleb i gorącą wodę.

Kolejnego dnia Sue pokazała Krystianowi ananasa.

– Macie takie owoce w Polsce?

Krystian obracał ananasa w rękach, wydając okrzyki zdziwienia.

Śmiałam się, czytając ten fragment dziennika. Doskonale mogłam sobie wyobrazić minę Krystiana, sposób, w jaki musiał marszczyć czoło i drapać się po głowie, udając kompletne zdumienie.

Śmiałam się, ale w głębi mnie narastało poczucie czegoś niedobrego, naciągającego cichaczem, jak cienie spalonych dziewczynek.

* * *

Mieszkał w hotelu nad restauracją, w której pracował, na drugim piętrze i płacił za pokój czterdzieści funtów tygodniowo. Janet zadbała o to, żeby pokój był bardziej przytulny, pożyczyła koldrę, dobrą lampkę do czytania, radio i żelazko. Menadżer restauracji, poproszony przez Jeffa, zainstalował nawet w tymczasowym miejscu pobytu Krystiana telewizor.

Nocami z pubu naprzeciwko przez uchylone okno słyszał wesołe śmiechy i fragmenty pijackich dialogów. Nowo wprowadzony zakaz palenia w pubach i restauracjach wyganiał grupki Anglików przed lokale. Na zewnątrz toczyły się najważniejsze dyskusje i momentami wydawało się, że tam też przeniósł się środek ciężkości życia towarzyskiego.

Czasem Krystian wstępował do pubu na piwo i rozmawiał z barmanem Tomem.

Częściej jednak zostawał w swoim pokoju i czuwał, nasłuchując głosów z ze-

wnątrz.

I myślał, myślał, albo pisał.

Widział siebie prawie jako filmową postać, która wygrywa z losem czy też przełamuje fatum, wymykając się codzienności. Już przerwał pewien łańcuch, który doprowadziłby go, ogniwo po ogniwie, rok po roku, do emerytury po czterdziestu latach „dobrej pracy” na uniwersytecie.

W dziennikach napisał:

Dobra praca. Bohater Orwella uciekał przed pułapką dobrej pracy, o której ciągle mówili mu wujkowie i ciotki. Rozumiałem jego niechęć do utknięcia za biurkiem i codziennego strachu przed utratą miejsca, na które czyha już dziesięciu chętnych. Gordon nie chciał też pracy z kuszącym, bezpiecznym, stałym dochodem, do której mógłby się przywiązać. Buntował się przeciwko pewnemu stylowi życia, a jednak wpadł w inną pułapkę. Niechęć do myślenia o pieniądzach i rezygnacja z godziwego zarobku sprawiły, że wbrew temu, co postanowił (pieniądz nie będzie nim rządził!), zaczął o pieniądzach myśleć bez przerwy, obsesyjnie, tłumacząc ich brakiem wszystkie swoje niepowodzenia, tworząc całą filozofię, religię pieniądza. Styl życia, jakie zaczął prowadzić, stał się na pokaz ubogi, do przesady ascetyczny (w końcu – abnegacki). Gordon urósł we własnych oczach do rozmiarów męczennika, ofiary kapitalizmu, jak gdyby to nie on sam wprowadził się w taki, a nie inny stan.

Właściwie przesłanie książki jest aż za proste – prędzej czy później trzeba poddać się systemowi i popłynąć z głównym nurtem. Nie można ciągle walczyć – to wyczerpujące. Człowiek musi należeć do stada. Jeśli chce przetrwać, musi upodobnić się do innych w priorytetach, celach i pragnieniach. Życie na uboczu, inne życie, jest niemożliwe, jest nastoletnim marzeniem, z którego trzeba wyrosnąć.

„Gdybym mówił językami ludzi i aniołów, a pieniędzy bym nie miał, stałbym się jak miedź brzęcząca albo cymbał brzęmiący (...) Tak więc trwają wiara, nadzieja, pieniądz – te trzy: z nich zaś największy jest pieniądz” [George Orwell *Wiwat Aspidistra!*].

* * *

W trakcie bezsennych nocy w Anglii truchlał ze strachu, licząc upływające mi-

nuty i godziny, które nie przybliżały go do absolutnie żadnego celu.

Sens jego istnienia stawał pod znakiem zapytania. Z jednej strony Krystian pragnął, aby ludzie zostawili go w spokoju. Z drugiej bał się kompletnego zapomnienia. Nie mógł się pogodzić ze świadomością, że kiedy umrze, wszystkie jego myśli zginą. Chciał uciec przed ostatecznością śmierci. Nie, nigdy nie wypiłby eliksiru wiecznego życia, wieczne życie to największy koszmar, jaki mógłby kogoś spotkać. „Udręka galopujących myśli przerywanych jedynie interwałami snów”, tak o tym napisał. Ale zupełnie przepaść? Tyle lat miotać się, ulegać nastrojom, czuć, uczyć się, myśleć, pracować – i wsiąknąć z tym wszystkim w ziemię? Kilkadziesiąt lat formowania siebie jako człowieka, rzeźbienia jak w glinie, mozolnego wysiłku ciągłego udoskonalania, stawiania hipotez, weryfikowania ich, prób integracji przeszłości z teraźniejszością, wybiegania w przyszłość, ciągła pogoń za pełnią... i koniec?

Bardzo się bał, że nikt nie będzie go pamiętał. Powtarzał w dziennikach, że jedynym sposobem uwiecznienia się jest pisanie, i to jak najczęściej, jak najwięcej, żeby próbę czasu przetrwała choć jedna publikacja, choć jeden brudnopis. To też nie wieczność, ale pewna nadzieja na przedłużenie sobie życia. Gorąco też pragnął stworzyć swój najważniejszy tekst, dzieło, które stanowiłoby jego pomnik.

Ale w niektóre bezsenne noce jakiś głos szeptał mu, że nigdy nie stworzy nic na tyle dobrego, by zostać zapamiętanym, że już teraz nikt o nim nie pamięta.

Wtedy czasem do mnie dzwonił, chociaż nie miałam jeszcze pojęcia, jaki popychał go do tego strach.

Myślałam o Krystianie, że jest niewzruszony. Silny. Podziwiałam go za te samotne, odważne podróże. Być może właśnie wiedząc o tym, chciał ze mną rozmawiać – aby uzyskać ode mnie obraz samego siebie takiego, jakim chciał być.

Tak naprawdę wcale go wtedy nie znałam.

* * *

Czy wspomniał kiedyś o swojej fascynacji znikaniem? Może opowiedział mi scenę z jakiegoś filmu czy książki... Może podczas jednej z naszych rozmów po zajęciach niczym dwójka dzieci fantazjowaliśmy, jak to byłoby świetnie móc rozplynać się w powietrzu, teleportować albo stać się człowiekiem–kameleonem.

Może gdybym była wtedy czujniejsza, pamiętałabym teraz...

Muszę mozolnie brnąć przez gąszcz nieistotnych wspomnień, zniekształceń

pamięci i to, co zostaje, jest karłowate, nieuformowane do końca. Nigdy nie będzie doskonałe. Miałam nadzieję, że w miarę pisania zdarzenia, wcześniej rozsypane, zaczną się łączyć w ciąg przyczynowo–skutkowy, ale jest coraz trudniej. Nie mogę przestać, chociaż zadaję sobie pytanie, czy nie popełniam zdrady?

Gdyby ktoś wydał mnie tak, jak ja teraz wydaję Krystiana, chciałabym tę osobę nieźle zwymyślać. Dlatego też schodzę dalej po stopniach prowadzących w głąb Krystiana. Niech się dowie, co zrobiłam, niech się na mnie wścieknie i spróbuje urwać mi głowę. Ze wszystkim poradzę sobie lepiej niż z jego nieobecnością.

* * *

Krystian opisał bardzo dokładnie jeden ze swoich ostatnich spacerów po Exmoor.

Lasy rozciągały się wszędzie jak okiem sięgnąć, pełne sosen, paproci, poskręcanych konarów i zwierząt. Ścieżki kluczyły między sosnami, błotniste, rozmokłe od deszczu, gdzie indziej wysypane kamieniami. Po wzgórzach wspinały się drzewa, kurczowo wczepione korzeniami w glebę. Im wyżej, tym stawało się jaśniej, wierzchołki drzew lizało już słońce, podczas gdy w dole panował wilgotny mrok. Żeby dotrzeć na samą górę, trzeba było poświęcić połowę dnia. Pnie drzew pokrywał mech, niektóre też oplatała siatka korzeni cieniotkich jak naczynia krwionośne.

Szli wzdłuż strumienia rwącego po gładkich kamieniach: Krystian i Jeff. Psy kucharza – dwa piękne owczarki border collie, Meg i Bracken – kąpały się z pluskiem, szukając patyków.

W Dolinie Skał Krystian wspiał się na wysoki, chybotliwy kopiec kamieni, a potem fotografował kozy z cienkimi kreszczkami źrenic. Szli wąską ścieżką wzdłuż klifu przy skalnej ścianie. Kiedy Krystian spoglądał w dół, przechylając się przez krawędź, widział, jak siwe fale rozbijają się o brzeg. Jeff kazał mu uważać. Upadek z wysokości nie byłby przyjemnością. Z urwiska wystawały ostre kamienie, a gdzieś wyrastały najeżone kolcami krzewy.

Na koniec Jeff zarządził odpoczynek w niewielkiej gospodzie i zamówił Cream Tea. Kelnerka postawiła na stole porcelanowy czajnik, przykryty materiałowym ochraniaczem trzymającym ciepło, a na srebrnej tacy dwa dzbanki – jeden z gorącą wodą, drugi z ciepłym mlekiem. Dostali małe słodkie bułki, po dwie dla każdego, w kryształowych naczynkach dżem i gęstą śmietaną ściaganą z trzymanego na ogniu

mleka. Na bułkę najpierw kładło się grubo śmietaną, a potem dżem.

Jedząc, rozmawiali o muzyce.

Jeff był otwarty na wszystkie gatunki oprócz death metalu i wczesnego jazzu. Kupował płyty ot tak, jeśli spodobała mu się usłyszana w radiu piosenka albo obejrzał w telewizji koncert, który przypadł mu do gustu. Nosił w głowie całą muzyczną encyklopedię. Na ogół wystarczyło, że włączył byle jaką radiostację, a szybko rozpoznawał wykonawcę, tytuł piosenki i albumu. W restauracji, między smażeniem kurczaka a przygotowywaniem pikantnego sosu, wtajemniczał Krystiana w historie ulubionych grup i wykonawców. W jednym z pokoi, w meblościance zamiast ubrań trzymał to, co ocalało z jego kolekcji płyt winylowych z czasów młodości. Wiele z nich pożyczyła na wieczne nieoddanie jedna z kelnerek – wyjechała do Stanów z całym zapasem białych kruków. Przy swym zamiłowaniu do gromadzenia rzeczy Jeff nie traktował pamiątek jak świętości i nie trzymał pod kluczem, zapieczętowanych i owiniętych w folię.

– *Pilgrim* to mój ulubiony album – mówił Jeff. – Eric Clapton napisał te piosenki po śmierci swojego synka. Ciekawe, że najlepsze dzieła powstają z osobistej tragedii... Wiesz, że wiele lat temu byłem w Argentynie. Wszedłem do jakiegoś baru na drinka, a tam, przy pianinie, siedział nie kto inny, tylko Eric Clapton! Nigdy tego nie zapomnę.

Wracając do restauracji, słuchali Bonnie Raitt *I can't make you love me*.

– Tekst napisał pewien sportowiec po tym, jak rzuciła go dziewczyna, i podarował Bonnie Raitt, swojej ulubionej piosenkarcze – opowiadał Jeff. – Wyszła z tego jedna z najpiękniejszych piosenek na świecie.

Potem puścił *Ready to go home* 10cc.

– A to jest piosenka, która zostanie puszczone na moim pogrzebie!

On the street below these walls

Where I used to walk

Now I can barely crawl

I nagle, podczas słuchania 10cc w samochodzie Jeffa, Krystian poczuł pewność, że pomyłką było zakładanie istnienia idealnego miejsca, które uczyni go szczęśliwym. Nie chodziło o zniknięcie w tajemniczej strefie, podobnej do Trójkąta Bermudzkiego, lecz wytworzenie w sobie pewnego intensywnego stanu emocjonalnego, stanu prze-zroczystości, który urodzi się w duszy, wyleje z niej i pochłonie ciało. W ten sposób,

dzięki gwałtownie przeżytej, totalnej błogości, Krystian stanie się transparentny dla samego siebie i innych.

Znalazł więc formułę, ale niosła ona ze sobą pewne, nie do końca akceptowalne przez niego, implikacje. Na przykład jeśli Krystian zniknie, nie będzie mógł napisać swojego wielkiego dzieła. Jednak gdy dotarł do hotelu i pożegnał się z Jeffem, pojął, że to dzieło już istnieje i jest jego największym życiowym osiągnięciem.

A były nim dzienniki.

* * *

Kilka dni później pogoda niespodziewanie się wyklarowała i Krystian został poproszony o pomoc ogrodzie. Na początek pozrywał jabłka z drzewa sąsiadów, którego gałęzie przechodziły ponad płotem do ogrodu Jeffa. Kołysząc się na drabinie, sięgał jak najwyżej, a Janet stała obok, asekurując i trzymając torbę niczym fartuszek.

Poprzycinał gałęzie wścibskiego drzewka na wysokości płotu i zabrał się za nadawanie kształtu rozczochranemu krzakowi. Mechanicznym sekatorem wyrównywał go od góry, z boków, a listki spadały wokół niego jak deszcz.

Słońce świeciło Krystianowi prosto w oczy. Był mokry od potu, ale szczęśliwy. Janet przyniosła szklanekę soku porzeczkowego, prosto z lodówki, więc przerwał pracę, stanął w cieniu i pił dużymi haustami. Smak soku, słońce złocące ogród przypomniały mu dzieciństwo – wakacje na pewnej działce, kwaśny agrest zrywany z krzaków, słodkie nicnierobienie, cienie rzucane przez sosny. To wszystko ożyło w nim nagle, zabolalo, jak potrafi boleć tylko przeszłość, którą chciałoby się jeszcze raz przeżyć. Ta przeszłość słodko-gorzka, pamięć wczesnego dzieciństwa, kiedy człowiekowi się wydaje, że jest przeznaczony do wyjątkowych celów i niepowtarzalny, że bez niego świat zamiera. Wszystko ma w tym czasie głębszy sens, intensywniejszy zapach, smak. Ludzie są cudowni albo wrody, kocha się ich albo nienawidzi całym sercem, całą duszą, całym ciałem i całym życiem.

O tym przypomniawszy sobie Krystian, stojąc w cieniu, trzymając w ręku pustą szklanekę, o godzinie drugiej po południu.

* * *

Wkrótce potem styl pisanego dziennika uległ zmianie. Ta zmiana była na po-

czątku trudna do zdefiniowania. Niecodzienny dobór słów, więcej abstrakcji, mniej chronologii. Jakies drobne dziwaczności i niekonsekwencje. Cienie na ścianach.

Potem coraz więcej niepokoju, i w dziennikach, i we mnie, gdy zorientowałam się, że Krystian zaczął nieodwołalnie ku czemuś dążyć.

* * *

Jestem jedną z nielicznych osób, które blisko go znały (istnieje mnóstwo takich, co uważają, że poznały go przez jego artykuły), ale nawet ze mną nie rozmawiał nigdy o korzeniach, o pustce. To, co dla innych stanowiło jedynie abstrakcję, on wyobrażał sobie niezwykle plastycznie. Od kiedy prowadził dziennik, co jakiś czas próbował opisać powracający stan, niepodobny do żadnego innego, wymykający się analizom.

Rzadko naprawdę się do kogoś zbliżał, wolał ukrywać się za książkowymi bohaterami. Marzył o relacjach, w których nie jest potrzebna komunikacja werbalna, bo – jak powiedział mi kiedyś – im bardziej usiłował komuś siebie przedstawić za pomocą słów, tym mniej był dla drugiej osoby zrozumiały. Czy wysyłając mi swoje dzienniki, chciał, żebym go zrozumiała? Nie dołączył do nich żadnego listu, wyglądało to jakoś groźnie, desperacko. Nie wiem, czy istnieje lepszy sposób okazania komuś zaufania, czy można mocniej się przed kimś otworzyć.

Tam w Anglii, podczas bezsennych nocy i spacerów po Exmoor, doświadczył tej pustki w sobie chyba najmocniej w życiu. Czuł, że jest w nim poważny brak. Nie potrafił utrzymywać więzi z ludźmi, dobrze radził sobie tylko z krótkotrwałymi znajomościami.

W którymś momencie przestał zupełnie spać, zapadał tylko w dziwny rodzaj letargu, czasem na siedząco, z otwartymi oczami.

* * *

Jeden z ostatnich dni, opisany przez niego w dzienniku, to poranek, gdy w takiej właśnie pozycji zastała go sprzątaczką. Przestraszona zaczęła głośno do niego mówić, a potem potrząsać nim, wrywając ze snu, który nie był snem. Zdał sobie sprawę, że pieką go oczy, których nie zamknął, i że jest zupełnie przemarznięty, chociaż noc była ciepła. Zdrętwiały mu nogi i ręce. Kobieta patrzyła na niego z lękiem, niepewnie, przestępując z nogi na nogę i mówiąc coś, czego Krystian nie potrafił zro-

zumieć; jego uwaga wracała z bardzo daleka. Powoli zbierał myśli, spróbował wstać, ale się zachwiał.

– Nic mi nie jest – powtarzał. – Tak tylko przysnąłem na siedząco ze zmęczenia.

Sprzątaczką nie dała się łatwo przekonać, ale w końcu opuściła pokój, rzucając za siebie ostatnie zaniepokojone spojrzenie. Krystian został sam.

Spojrzał na zegarek (była ósma trzydzieści). Dokładnie dziesięć godzin temu usiadł na łóżku, a potem zaczęło się dziać to, czego nienawidził. Z jego ciała wyrosły korzenie i ciasno oplótły łóżko, przywiązując go do miejsca. Słyszał głosy na korytarzu, śmiechy. Wiedział, że jedynym ratunkiem dla niego jest wstać i wyjść, wstać i wyjść, podnieść ciało, wyszarpując korzenie, otworzyć drzwi, udać się na wycieczkę ścieżką między drzewami, coraz wyżej i wyżej w głąb Exmoor.

Ale nie mógł się podnieść. Był coraz cięższy. Korzenie coraz ciasniej opinały się wokół nielicznych mebli, przenikały przez ściany, sięgały kilka pięter w dół. Na zewnątrz nie czyhało najmniejsze niebezpieczeństwo, ono kryło się tutaj, w pokoju (gdzie sprzątaczką odnajdzie go nazajutrz kompletnie przemarzniętego, siedzącego w tej samej pozycji, patrzącego w próżnię, na wpół martwego).

* * *

Co mogłabym zrobić, gdybym wiedziała o korzeniach, o pustce, o znikaniu? Czy jest coś, co mogłam zrobić?

Prześladuje mnie ta myśl. Mimo postępu nauki wciąż tak mało wiemy o sobie i o naszych przyjaciółach. „Człowiek wyruszył na spotkanie innych światów, innych cywilizacji, nie poznawszy do końca własnych zakamarków, ślepych dróg, studni, zabarykadowanych, ciemnych drzwi” [Stanisław Lem Solaris].

Tak mi przykro, że nie mogłam być przy tobie, żeby ci pomóc.

* * *

Ostatni wpis w dzienniku jest tak dokładny, że bez problemu mogę wyobrazić sobie cały spacer Krystiana.

Widzę go dobrze. Okrąża King's Head, pozdrawia znajomą kelnerkę, palącą na progu papierosa, jeszcze przed rozpoczęciem drugiej zmiany, i mija kolorowe domki stojące tuż przy ulicy. Idzie pod górę, mając po swojej prawej stronie ścianę ziemi,

przypominającą mu przekrój tortu, bo wygląda jak ucięta nożem, a kolory piasku układają się warstwami.

Skreca w uliczkę o nazwie Ball i wspina się nią, mijając domy jednorodzinne. W niektórych miejscach droga wznosi się w taki sposób, że spokojnie mógłby wskoczyć na dach jednego z nich.

Pokonuje kamienne schody bez zadyszki i wspina się dalej, aż domy pojawiają się coraz rzadziej. Przez jakiś czas spaceruje aleją, z jednej strony wyznaczoną drzewami, z drugiej wysokim żywopłotem, ukrywającym prywatne rezydencje przed spojrzami ciekawskich. Potem jeszcze kawałek asfaltu, kilka domków i prowadzące do nich podjazdy, ścieżka wijąca się między drzewami, gdzieś tam błotnista, rozmokła od deszczu, gdzie indziej kamienista.

Kanał Brytolski prześwieca między drzewami w dole. W ciszy z ciemnozielonych liści spadają krople deszczu, roślinność jest bujna. Im wyżej, tym robi się jaśniej, wierzchołki najwyższych rosnących drzew mogą jeszcze łowić słońce.

Krystian wdycha wilgotne, świeże powietrze. Szybki marsz rozgrzał go, dodał energii. Kolejne metry i drzewa rozstępują się przed nim. Stoi wśród wrzosów, na polanie i myśli o tym miejscu „dach świata”, bo stąd tak blisko jest do chmur. Może patrzeć w słońce, jeszcze ciepłe, ale słabe, nie mrużąc oczu. Znowu go mroczy, szumi mu w głowie wolność, której istoty nie umie sobie wytłumaczyć. Ta wolność jest tylko tutaj, w górze, a nie ma jej w dole. Czarodziejska góra, myśli Krystian. Zjawiłem się tu z zamiarem pozostania na krótko, jak Castorp, tymczasem moje trzy tygodnie minęły.

Przestaje czuć podmuch wiatru na skórze, jakby zniknęła cielesna powłoka, a pozostała tylko sama istota – nie dusza, nawet nie myśl – samo sedno. Nic nie krępuje jego ruchów, idzie, jakby płynął. Traci oddech, tak go przejmuje chłodna zieleń i wyniosłość krajobrazu. A więc to mu dolegało! Zastanawiał się, co tym razem w nim wzbiera, czym siebie znów zaskoczy, a to była ta porywająca jaskrawość.

Jak dobrze, jak dobrze, że jaskrawość, że nic innego! Mógł ją znieść. Sprawiała ból, bo tak głęboko go przejmowała, ale bolała rozkosznie.

Patrzy na chmury i przypomina mu się krótka, sfingowana rozmowa między Edmundem Szeruckim a chmurką ołowianą.

– *Ciężko?* – *pyta chmurka ołowiana.*

– *Ciężko* – *wzdycha Edmund.*

– *Bardzo?*

– *Dość bardzo.*

Śmieje się. Nagle w połowie śmiechu czuje zapowiedź czegoś nadchodzącego z boku, podstępnie, skradającego się w jego stronę. Zaraz przestanie mu być wesoło, rozumie to w chwili, kiedy jeszcze grzeje go śmiech, osłaniając cienką tarczą przed wtargnięciem dobrze mu znanej, niechcianej siły. Chmury nad głową Krystiana są puchowe, delikatne i białe, ale znad Walii nadciągają już chmury ołowiane, groźne. Szybko zasnuwają niebo, wiatr wzmagą się, już tylko dwa słoneczne pasma przebijają skłębioną, szarą masę.

A tak beztrosko było. Słono musi płacić za beztroskę. Żeby choć raz prawdziwie się nią nasycić, to może łatwiej dałoby się później wytrzymać, ale tak? Kiedy trzeba jak na baczość stać, ze wszystkich stron spodziewając się ataku, bo gdy tylko pozwolisz sobie na moment nieuwagi – nadejdzie, chwyci za gardło, przycisnie kark do ziemi... Czymkolwiek jest, jakąkolwiek ma nazwę, czy to siła, czy pustka, czy mgła – na pył zetrze wszystkie nadzieje.

– Jeszcze nie – prosi Krystian. – Jeszcze trochę.

Coś każe mu popatrzeć w dół. Walia ginie za mgłą, cienie chmur przesuwają się po wodzie.

Nie, nie cienie...

Patrzy uważniej.

W tym miejscu urywa się dziennik Krystiana z pobytu w Anglii.

* * *

Nie mam ani jednego jego zdjęcia. Dziwne, że tak bardzo nie chcąc zostać zapomnianym, nie pozwalał się nigdy fotografować. Kilka miesięcy to aż nadto, żeby rysy czyjejs twarzy zaczęły się zacierać w pamięci. Bez trudu rozpoznałabym go w tłumie, ale kiedy długo siedzę przed komputerem, pisząc albo bezmyślnie gapiąc się w ekran, nie potrafię przypomnieć sobie dokładnie twarzy Krystiana. Nie jest jakoś szczególnie męska czy przystojna, nie wiem, czy nazwano by ją charakterystyczną. Szczupły nos, zapadnięte policzki, łagodne oczy, ostro zarysowany podbródek. Kręcące się włosy najczęściej wiąże w kitkę. Jest chudy, co wynika z jego stylu życia – w ciągłym ruchu.

Jeff Huxley, kucharz z King's Head, tak powiedział o Krystianie w wywiadzie dla jednej z gazet: „Dawno z nikim nie pracowało mi się tak dobrze jak z Krystianem.

Niektórzy uważają, że praca w restauracji to pestka, a wszystkiego można się nauczyć w jeden dzień. To nieprawda, w każdej restauracji jest inaczej, trzeba ją poznawać od podstaw – od drobiazgów, od dekoracji na potrawach, po zwyczaje menadżerów. Wiele razy miałem problemy z kelnerami i kelnerkami, którzy tego nie rozumieli i próbowali robić wszystko po swojemu. Z Krystianem tego kłopotu nie było, wystarczyło mu raz powiedzieć i już pamiętał. Krystian to bystry chłopak, polubiłem go. Wydawał mi się otwarty i chętny do rozmowy, nigdy bym o nim nie powiedział, że jest samotnikiem. Żałowałem, że nie chciał zostać dłużej. Podjął decyzję z dnia na dzień, ale nie zmył się od razu. Znalazł zastępstwo, zachował się odpowiedzialne. Nie zauważyłem, żeby działo się z nim coś dziwnego. Nie przypominał mi osoby, która mogłaby zniknąć tak sobie dla żartu. Jeżeli coś mu się stało, będę niepokojony”.

* * *

Myślę czasem o Dolinie Skał i coś chwyta mnie za gardło, gdy wyobrażam sobie to miejsce.

Chodząc po ulicach mojego miasta, widzę je szare i puste – tak wygląda bez Krystiana. Świat jest bez niego brzydszy. Wiedzą to również jego czytelnicy. Piszą do redakcji listy o nim, proszą o nowe wiadomości.

Ostatnio jakiś dziennikarz zapytał, czy opowiem o Krystianie, bo przygotowuje się do napisania reportażu... Może właśnie nie dzienniki miały stać się jego pomnikiem, ale bazujące na nich, napisane przez innych artykuły. I moje opowieści, bo przecież będę o nim mówić wszystkim, którzy zechcą posłuchać.

Wstawanie wcześniej rano jeszcze nie jest takie złe – myję się na wpół śpiąc, ubieram, zjadam coś i wychodzę prawie po omacku. Trzeźwieję w tramwaju, powoli dochodzi do mnie fakt tego, że żyję, że wokół są ludzie, którzy tak samo oddychają, pocą się i spieszą dokądś, są podobnie zmęczeni. Strach też potrzebuje czasu, żeby się przebudzić. Jeśli wyjdę jeszcze senną, strach zdąży otworzyć dopiero jedno oko. Ale jeżeli nie wyjdę z domu do południa, około dwunastej będzie już pięknie rozwinięty, dojrzały i silny na tyle, by nie wypuścić mnie z objęć przez resztę dnia.

Próbuję go przechytrzyć, stosując różne fortele – nie wychodzi. Musiałabym jak jaszczurka odrzucić część siebie (najlepiej tułów, w którym kłębią się emocje, albo głowę ciężką od myśli) i uciec, a strach zadowoliliby się pozostawionym fragment. Ale autotomia jest niemożliwa, więc nogi i ręce, kiedy indziej sprawne, są teraz całkowicie

zahamowane, posłuszne impulsom z głowy i tułowia. Nie pomagają książki, muzyka ani filmy – wszystkie przyjemności, które dotąd wydawały się istotne, teraz nie odwracają uwagi. Myśli przewalają mi się nieustannie w głowie, często przez dłuższy czas nie potrafię złapać ani jednej z nich. Zanim zdążę się którejś przyjrzeć, jest zastępowana przez drugą, a druga przez trzecią. Myśli nie są już pełnymi zdaniami, tylko strzępami. Żeby móc pisać, muszę wchodzić na kolejny poziom, jak na wąski, niepewny mostek nad rwącą rzeką pełną drapieżnych ryb.

Pracuję i spotykam się ze znajomymi, ale nie wydaje mi się, żebym żyła naprawdę.

Ciągle pytam siebie, czy można po prostu zniknąć? Ze strachu? W uniesieniu, jak profesor z *Wakacji na południu*? Jak Weiser Dawidek, jak czarodziej, którym przecież Krystian był? Jeśli strach może wypuścić prawdziwe korzenie, które przykuwają do miejsca, to być może euforia potrafi z miejsca wyrwać i ponieść w nieznany wymiar?

Na pewno wiem tylko to, że Krystian wrócił z ostatniego spaceru, opisał go i nie dodał już niczego więcej. Parę dni później wysłał do mnie dwa swoje dzienniki. Nie dołączył do nich żadnej kartki z wyjaśnieniem.

Zadzwoił do mnie i rozpląnął się w powietrzu.

* * *

Ostatnio, gdy dłużej przebywam w jakimś pomieszczeniu, czuję słabość w rękach i nogach, jakby rozpuścił się we mnie szkielet. Wszystkie przedmioty dookoła wydają się miękkie i ja sama jestem miękka, opływowa, prawie nic nie ważę, a jednocześnie jakaś ogromna siła wbija mnie w fotel, przygniata pierś, jakby zastąpiono powietrze w pokoju duszącym gazem. Im dłużej tak trwam, tym mniej mogę uwierzyć, że ten stan kiedyś minie, a ja wyjdę na zewnątrz. Jednak na razie to się zawsze udaje.

Od zniknięcia Krystiana rzeczy nie są tym, czym były wcześniej. Jeśli można tak łatwo zaginać, to pewnie możliwe są też inne zjawiska i chyba trochę czekam, aż zaczną się dziać. W każdym razie świat stracił dawne proporcje.

Mijają dni.

Wkrótce znów nadejdzie wiosna, najpiękniejsza pora roku w Szczecinie. Jak dotąd poszukiwania mojego przyjaciela nie dały żadnych wyników.

Krystian zniknął i więcej się tu nie zjawi.

Maciek Żytowiecki

KOŁYSANKA

Podróżujemy przez kosmosy. W zasklepionej skorupie koloru rdzy, pocisku wyplutym u zarania istnienia, czekający tylko, żeby gdzieś zesłać swoje nasienie, żeby wrosnąć w życiodajną glebę i wypuścić pędy, podróżujemy. Pędzimy przez przestrzeń gwiazdną zamknięci, gotując się na kolejne sprawdziany, krótkie jak mgnienie w naszej ciągłej wędrówce.

Budzi mnie grzmot. Grzmot, który tylko ja słyszę. To moja kolej, moja i tylko moja. Ja poddany zostanę próbie.

Budzi mnie grzmot. Narzucam kaptur, chowam dłonie w przepastnych kieszeniach sukmany i pochylam głowę.

Idę powoli, ni to bóg, ni cień. Pył spowija stopy niczym szal, prawie do kolan, płacze nogi. Uparty i nieustępliwy, wciska się pod odzienie. Idę powoli, bo nie mam się do czego spieszyć. Wszystko tutaj straciło już pęd. Pełne niegdyś ulice świecą pustkami, pokryte kurzem jak nieużywane półki, jakby nikt już nimi nie chadzał. Mało nas, mniej każdego dnia.

Przecinam plac, lawiruję pomiędzy wyschłymi fontannami i wygasłymi latarniami. Szoruję sandałami wśród pogniecionych papierów, niedojedzonych kostek, rozkładających się fragmentów czegoś, co niegdyś żyło. Nade mną białe pasy reflektorów liżą jadeitowe sople zwieszzone z kamiennego stropu będącego naszym niebem.

Mijają mnie bogowie owleczeni w opończe, z głowami podobnie ukrytymi w kapturach i dłońmi splecionymi jak do modlitwy. Pogrążeni w medytacji, kumulujący swoją istotę, ziarno niezwykłości, aby kiedy przyjdzie czas, zacząć siać.

Niewielu nas. Zniknęli najwięksi i najsilniejsi. Pozostał tłum szaraków, nędzników przy olbrzymach z dawnych eonów, oczekujący szansy na opuszczenie przeklętej puszk.

Jednak dzisiaj dla mnie rozległ się grzmot.

Słyszeć go, znaczy iść. Iść do tego, który poddaje próbie.

Czeka tam, gdzie zwykł czekać. Ta sama knajpa z uwieszonymi na krzywym

zawiasie drzwiami i szyld witający wyładowaniami błękitnego światła.

Drzwi skrzypią, kiedy je uchylam. Znajome pyski odwracają się, mamroczą słowa pokrzepienia albo przekleństwa. Stojący przy wejściu próbują wyściskać albo chociaż poklepać. Wymijam ich, jakbym nie dostrzegał, i niczym topielec szukający brzegu dopadam baru.

– A więc to ciebie przywołał. – Purpurowy siada obok mnie i zamawia.

Pijemy razem, chociaż osobno. Pasażerowie zajmujący fotele pojazdu, wpatrzeni w dal, tam gdzie horyzont łamie drogę.

On nigdy nie zdejmuje kaptura, twarz obleka cieniem, a palce kryje w rękawiczkach. Jest zmorą z koszmaru, czerwonym morem i tym, który odejdzie ostatni... A może nie jest nikim nadzwyczajnym? Może znaczy nie więcej niż ja, tylko jest bardziej stuknięty?

– Tobie się nigdy nie powiedzie. – Słowa wypluwa jak pestki. – Poddajesz się nurtowi, kiedy winienesz kijem ten nurt zawracać.

– Usłyszałem grzmot, więc idę.

Mógłbym przysiąc, że się uśmiecha.

– Wielu go słyszy, kiedy Bilok odnajduje żyzny świat. – Kładzie dłoń na moim ramieniu. Igiełki chłodu przenikają ubranie, wrzynają się w skórę, przecinają mięśnie, żeby na dobre zagościć w kościach, gdzieś pośród szpiku. Kończyna nie należy już do mnie. Jest martwa. Doczepiona do ciała obca istota. – Wielu może przybyć do nowego świata, ale tylko jeden uczyni go swoim. Zgniecie w pięści góry, oddechem spopieli lasy, a miasta zmiążdży pod stopą, jeśli zajdzie potrzeba i tubylcy nie nagną się do jego woli.

– Wiem, co robić.

– To nie będziesz ty. To nigdy nie będziesz ty. – Nachyla się. Płatki kwiatów i zeschnięte zioła szumią pod jego opończę. Ich zapach prawie tłumi smród rozkładu. – Strach to wiara. Miłość to słabość.

– Nie ma we mnie miłości.

– Niczego w tobie nie ma – przerywa mi. Wznosi toast i wychyla resztę trunku jednym, długim łykiem. – Kto uwierzy w boga niczego?

– Ci, którym dobrze, jeśli niewiele od nich wymagać.

Wzdryga się i odsuwa. Przeszywa mnie wzrokiem jak szpilą.

– Powodzenia – rzuca z odrazą, po czym wstaje, opierając się o blat, i odchodzi, rosząc podłogę roślinnym suszem.

– Dolewki? – Barman materializuje się jak zjawą. W dłoniach nieodłączna ścierka, na żółtym pysku uśmiech tysiąca zębów. I nic więcej.

– Warto jeszcze pić?

– Zawsze warto. I zawsze trzeba do końca.

– On na mnie czeka.

– To poczeka. – Wzrusza ramionami. – Dolewki?

Zakrywam dłonią szyjkę dzbana i kręcę głową. Czas w drogę.

Przecinam główną salę; spojrzenia przygarbionych i połamanych bogów lgną do mnie jak lep. Głowę mam pochyloną, brodę przyciśniętą do piersi. Prę przez melasę, przez żel powietrza, trzymany mocno wątpliwościami i przepowiednią porażki. Każde ze słów Purpurowego ciąży jak kamień, bo wiem, że mówił prawdę. A nic nie ma większego ciężaru niż prawda.

Pukam delikatnie, jakbym miał nadzieję, że nie usłyszy.

– Otwarte.

Staję w cieniu na progu pokoju i wstrzymuję oddech. Siedzi rozparty na poduszce, otulony dymem z lojowych świec, lśni tłuszczem. Twarz obrana ze skóry pożerana jest zgnilizną. Kończyny zmienione w macki o tysiącach ssawek przypominających wągry z mlaskiem zasysają powietrze. Zwraca ku mnie swoje meduzie oblicze. Trzeszczy w pradawnym języku i nakazuje spocząć.

– Słyszałem grzmot – mówię. Nie wiem, który to już raz.

Bilok marszczy się, przesuwa na siedzisku. Rzędy macek płyną kaskadami i obejmują mnie, kiedy zajmuję miejsce naprzeciw. Delikatnie głaskają, sunąc po twarzy, szyi, ramionach. Rozsupłują szatę i oblepiają mnie brunatną wydzieliną.

– Nie wiem, czy jestem gotowy. Czy to, co mam do zaoferowania, wystarczy? – Zamykam oczy. – Czy ja im wystarczę?

– A wystarczysz?

– Pozbawiony jestem gniewu i miłości. Nie jestem zazdrosny i nie muszę pozostawać jedynym. Potrzebuję tylko, żeby we mnie wierzono.

– Oni zaoferują ci wiarę, a ty im wolność. Czy to nie piękna umowa?

– Nie wiem – mówię zgodnie z prawdą.

– Kto miałby wiedzieć za ciebie?

Pochylam głowę, czekając na ostatnie namaszczenie, a kiedy zapisuje znaki na moim czole, wiem, że chcę już z tym skończyć. Ogień płonie na skórze. Gorąc przegrzewa kość czaszki, rażąc umysł, łamiąc myśli jak krucho tafle. Trzecie oko otwiera się

i jestem gotowy.

– Idź – mówi. I znikam.

Znikam, a macki, którymi mnie oplótł, opadają na podłogę. Bilok trzęsie się, pozbawiony mocy, a mnie już nie ma.

Przenikam ściany, mknę niewidoczny dla braci przez główną salę naszej knajpy i tylko nieliczni przekręcają zakapturzone czerepy, jakby coś wyczuwali. Zaraz jednak nachylają się nad stołami i nad dzbanami, zmienieni w szare głązy.

Wznoszę się, przechodzę przez sufit i płynę wyżej, niesiony na obłokach kurzu. Pnę się po dymnych wstęgach. Jako szczebli używam światel reflektorów.

Dotykam granicy. Niewielki jak chusta, kawał szmaty, po którym wkrótce nie pozostanie ślad. Kurtyna pulsuje wyładowaniami. Błękitne pajęczyny pełzną z prędkością światła, żeby zagnieździć się na granitowych nitach. Przez tkaninę dostrzegam czarne płótno kosmosu, mgławice gwiazd i słońca, wokół których karleją planety. Widzę czarne dziury, skróty podczas międzygwiazdnych podróży, i zastanawiam się, jakby to było zatonać w jednej z nich.

Stawiam krok...

...Jestem po drugiej stronie. Gwiazdne wiatry poruszają mną, pchają ku pasowi asteroid, gdzie czeka już kosmiczny przemytnik ze swoją łajbą. Oplacony i gotowy udać się w jeszcze jeden, krótki rejs.

Przepływam między masztami z koralowca. Przysiadam na rei i oczekuję kapitana. Miarowe ruchy krypy i szумы statycznych wyładowań zbieranych w kikuty piorunolapów są jak kołysanka, głaszczą i tulą, wodzą do krain Morfeusza i niemalże już zasypiam, kiedy Bezoki nadchodzi.

Nie rozmawiamy. Ściskamy prawice i pochylamy głowy w oznace szacunku. Bezoki jest prawieczny. Mówią o nim, że istnieje w każdej chwili i miejscu. Nieskończony Żeglarz. Urodził się wraz ze Słowem a odejdzie, kiedy i ono zamilknie.

Prowadzi mnie na dół. Pomaga się ułożyć. Podłącza rury i przewody, nasuwa na moją głowę hełm, którego nawet trzecie oko nie potrafi przejrzeć. W ciemności znów słyszę swoją kołysankę. I mogę śnić.

Nie mam snów.

Tylko ciemność.

Budzi mnie szarpnięcie. Hełm opada z głowy, a przewody puszczają. Moje leże staje w pionie, podłoga się rozstępuje i widzę białe baranki obłoków podróżujące nad zielonymi polami.

Bezoki stoi nade mną, kiedy się zsuwam. Unosi rękę w geście pożegnania, a ja upadam w dół.

Wicher chwyta chłodnym uściskiem. Ptaki fruwią wokół, zadziwione widokiem latającego człowieka. A ja nabieram masy z każdym pokonywanym metrem. Zmieniam eteryczną strukturę potrzebną do podróży w coś bardziej namacalnego. Upodabnam się do istot, które będą we mnie wierzyć.

Spadam. Pęd powietrza puchnie w uszach i szarpie wątlým ciałem. Pasma zieleni zmieniają się w pojedyncze drzewa. Kwadratowe odbarwienia w pola użytkowe posłane złotym zbożem. Ponure kamienie w lepianki, gdzie tutejsi żyją i pracują, gdzie orzą glebę z nadzieją, że wyda owoce, nakarmi.

Jestem już blisko. Ogromne głązy dzielące pola przypominają maleńkie kamyki i jeden–dwa oddechy dzielą mnie od śmierci. Od skruszenia cienkiej powłoki, w jaką oblekłem swoją istotę.

Czas na pierwszy cud.

Zbieram boski pierwiastek, tak wątlý i jeszcze nieznaczący, malusi promyk niezwykłości – otwieram trzecie oko.

Zwalniam.

Ważę tyle co piórko niesione wiatrem.

Powietrze jest puchem, przez który ledwie mogę się przebić.

W pełni stworzony stawiam bosą stopę na ziemi. W nozdrza zasysam zapachy tego miejsca – mieszaninę obcych ziół, gleby, dymu i odchodów.

Byłem niegdyś Wielkim Ramą o tysiącu wyznawców, a jednak zostałem zamknięty na dnie jeziora, utopiony. Byłem Szymonem Magiem, aż apostoł Piotr nie połamał mi nóg, strącając z przestworzy. Byłem Grahma–Putrą o szesnastu dłoniach i dwóch obliczach, byłem Gromowładnym i Gwiezdnym Kolosem... Tubyłcy nigdy nie wierzyli dosyć, żebym przetrwał.

Znajduję rozłożyste drzewo, pod którego koroną, niczym pod parasolem, choć częściowo mogę się skryć przed promieniami słońca. Nanoszę gałęzi i wilgotnego mchu, po czym układam z nich pachnące posłanie.

Siadam, splatając nogi. I patrzę.

W oddali niebieskoskórzy, dosiadający ogromnych głowonogów, przemierzają bezkresne pola, pozostawiając po sobie barwne kobierce kwiatów.

Patrzę.

Przy górach ostrych jak zęby lewiatana rozpościera się romboidalna warownia,

o którą walczą zakuci w czarne pancerze woje.

Patrzę dalej, na wschód.

Tam, gdzie plemiona nomadów, ludzi spojonych ze swoimi gibkimi wierzchowcami, pędzą przez stepy.

Wstaję z łoża. Przeciagam się i wybieram czwartą ze stron świata. Tę, której nie widziałem.

Idę, a dni zmieniają się w tygodnie, tygodnie w miesiące. Pory roku przemijają. Smaga mnie wiatr, ale grzeją słońca. Mrożą śniegi i skuwa lód, ale gorąc rozpalanych ognisk dodaje sił. Krok za krokiem zmieniają się pejzaże. Kilim świata sunie pod moimi stopami, ukazując wciąż nowe obrazy. Mijam ludzi, ale nie kuszę ich, pozwalam przeznaczeniu ciągnąć losy. Nie próbuję niczego zmieniać.

Poproszony, lecę chromego w Mieście Tysiąca Czaszek, gdzie śmierć czeka na każdym rogu. Kiedy biedacy przygarniają mnie pod swój dach, zmieniam glinę w chleb, a błotne bajoro w źródło boskiego nektaru. Bicze łowców niewolników przemieniam w węże, ośleplą nieszczęśnikom przywracam wzrok. I idę, a oni podążają za mną.

Kiedy następuje nowy sezon, jest ich już pół tysiąca.

Modlą się do mnie. Co noc, kiedy odpoczywam w jedwabnym namiocie, który dla mnie uszyli, słyszę ich zawodzenie. Nie uczyłem tego. Nie prosiłem. Słowa ich charczącego, prymitywnego języka pędzą w noc, sięgają gwiazd, mkną na skrzydłach przypowieści i dają mi siłę.

To najdoskonalszy narkotyk. Pyszniejszy niż nektar i manna, bo wypełniający pierś ogniem, krzeszący iskry we włosach, sprawiający, że bratam się z wiatrem i z niebem. Że docieram do prawdziwej istoty swojej boskości.

Pewnej nocy wychodzę z namiotu i pozdrawiam ich. Unoszę prawicę w kierunku lśniących kropek ognisk, całego pola wiernych mi ludzi, a oni krzyczą z radości. Słyszę płacz dziecka i krzyki niewiast. Wiem, że oddaliby za mnie życie i przez jedną krótką chwilę myślę – tym razem się powiedzie. Zostanę bogiem tej planety na krańcu kosmosu i przetrwam eony, aż tubylcy wymrą i cykl dobiegnie końca.

Tak, jest we mnie nadzieja. Goreje, jakbym wetknął w pierś żywą gwiazdę.

Żegnam ich i powracam do namiotu, a on już na mnie czeka.

Nosi czerwone szaty, twarz skrywa w cieniu kaptura. Skórę ma czerwoną. Popija wino z mojego kielicha.

– Niezłe – mówi.

– Myślałem, że mam więcej czasu...

Namiot wypełnia wiatr. Stół, łoże, kufer z daniną, wszystko sunie po ziemi, byle dalej od niego. Jest silny. Zbyt silny.

– Czasu zawsze brak.

– To spory świat...

– Spory świat o niewielkim potencjale. Wiele prymitywnych zwierząt, podłych bestii, a mało istot rozumnych. Za mało, żeby się dzielić.

– Wystarczy.

– Jestem bogiem zazdrosnym. – Kręci głową. – Zachłannym.

– Moglibyśmy się dogadać.

– I bogiem silniejszym.

Zbliża się. Idzie krokiem zdobywcy, pana na włościach. Lorda, którego słowo stanowi o życiu i śmierci.

– Na początku zawsze jest nas wielu, a z biegiem czasu pozostaje jeden. Całe mnóstwo maleńkich religii umiera, żeby inne rosły w siłę. Taka jest kolej rzeczy.

Czyni gest, jakby odganiał muchę, i opadam na kolana. Coś ulatnia się ze mnie i wiedzę niczym przejrzały owoc. Nie mogę poruszyć nawet palcem. Oglądam własne dłonie i paznokcie wryte w ziemię.

– Na końcu zostanie ten, który jest najbardziej bezwzględny. Przystępny dla motłochu, a jednak wymagający.

Chwyta moją głowę. Kciukami zamyka oczy i widzę jeszcze tylko tym trzecim, którego nie może sięgnąć. Naciska...

Coś przerywa i uścisk maleje, a ja opadam. Widzę ludzi, moich silnych i dumnych ludzi, wbijających oszczepy we wrogie bóstwo. Aż ono kurczy się, maleje i wreszcie znika, pozostawiając tylko zapach kwiatów, korzeni oraz zgnilizny.

Jestem bezpieczny i chcę odpocząć. Odprawiam ich gestem... Nie wychodzą.

Tubylcy patrzą na mnie wyczekująco. Oczekują słów, którymi ich pokieruję. Słów, dzięki którym pomogę rozróżnić dobro od zła. Czekają na moje przykazania. Pomarszczony starzec, co za odzienie ma jedynie gęstą brodę, trzyma kamienne tablice, gładkie i czyste. Pokazuje na nie.

Ale ja nie mam czego zapisać. Tablice kolą mnie w oczy i oddałbym wszystko, żeby odwrócić wzrok.

Nie potrafię.

Przyciągają. Zdają się pulsować wewnętrznym blaskiem. Hipnotyzują i kuszą.

To wyzwanie, któremu żaden bóg nie potrafi się oprzeć. To nasza natura, immanentna część każdego bóstwa. Muszę je zapisać, chociaż brakuje mi słów, brakuje przykazań. Muszę zapisać te tablice. I zapisuję...

Wierście, ryję pierwsze przykazanie.

Wierście, wykuwam kolejne.

Wierście, kończę.

Kiedy wychodzą, wiem, że ich zawiodłem.

Tej nocy śnię. Śnię o kulistej asteroidzie, której jestem jedynym mieszkańcem. Tak małej, że patrząc poza horyzont, widzę tylko siebie i swoją samotność. Widzę małą istotę pośrodku królestwa, które jest pustką.

Wkrótce ruszamy w dalszą podróż, a ja czynię cuda, kiedy tylko ich potrzebują. Zasklepiam rany, mnożę mannę, a wody zamieniam w nektar. Dodaję sił, wybawiam ze znoju, chronię od gorąca i chłodu.

Zmieniają się pory roku, a ja słabnę, bo wiem, że chociaż są liczniejsi, to wierzą słabiej niż na początku. Oczekują więcej i więcej. Są nienasyceń, jak stwory z koszmaru, które muszą jeść i jeść.

W ich oczach nie ma wdzięczności, kiedy ich karmię ani kiedy uzdrawiam. Każdy z cudów przyjmują jako im należny i to ja jestem już sługą, a nie oni. Aż pewnego dnia, na czarnym wzgórzu królującym nad światem, umieram. Rozpływam się w dym, już im niepotrzebny.

I nikt mnie tym razem nie morduje.

Po prostu

Znikam

i

Budzi mnie grzmot. Grzmot, który tylko ja słyszę.

Wciągam do płuc pył i smród, kurz z tysiąca tysięcy sandałów i ze zmarłych fontann, pochłaniam dym z przepalonych pieców. Zbieram się w sobie, żeby wstać, żeby iść i znaleźć Biloka... Nie potrafię. Leżę więc i oddycham swoim miastem, upadły i zmęczony, głuchy na kolejne wezwania.

Słyszę szum materiału. Ktoś przysiadł się obok i podaje dzban, który przyjmuję z wdzięcznością. Nektar wypełnia mnie, wymywa pył i kurz z gardła, napędza nową nadzieją. Szumią kwiaty, pachną zioła.

– Nie pójdą za bogiem niczego – słyszę głos Purpurowego.

Bartłomiej Dzik

BRUSSELS CITY

Eurowestern w trzech aktach

I. „Stary Donald farmę miał...”

Słońce muskało prerię pierwszymi promieniami, kiedy Sam wracał z chlewa. Buciory grzęzły po kostki w błocie, skórzany kaftan tak przemókł, że równie dobrze można go było założyć na drugą stronę. Tylko kapelusz jakoś opierał się szturmom jesieni: deszczówka spływała po nim jak po kościelnych schodach, a i porywisty wiatr mógł mu co najwyżej nagwizdać. Gdyby nie ten kapelusz, droga do obory byłaby piekłem. A tak, była tylko gorszym kręgiem czyśćca.

Betty i Elma muczały niespokojnie, czekając, aż gospodarz ulży napęczniałym wymionom. Nawet muchy, odganiane ogonem i zaraz wracające na krowie zadki, zdały się patrzeć na Sama z wyrzutem, że tyle musiały czekać. Sam stęknął cicho, przysiadając na zydelku, i zabrał się za dojenie. Betty wzdrygnęła się z początku, gdy przemarznięte palce złapały za strzyki; omal nie przewróciła kopytem wiadra. Mężczyzna przerwał dojenie, zanim na dobre zaczął, zajęty przez jakąś mglistą refleksję o tychże palcach, które przecież gdzieś, kiedyś... Przeciągle „muuuu!” kazało jednak wrócić na ziemię, a raczej na siano i gnój.

Wydoiwszy krowy, Sam odstawił mleko – nieco po drodze rozcieńczone deszczówką – do komórki, więc do oporządzenia została już tylko szkapa. Ale ona mogła poczekać; w międzyczasie trzeba było rozgrzać się kubkiem kawy. Ogień pod kuchenką tańczył już żwawo, bo starowinka Eliach może nie lubił wstawać bladym świtem, ale jeszcze bardziej nie lubił gryzącego w kości zimna, toteż grzał od jakiegoś czasu łapy nad fajerkami.

– Pieruńsko zimno dzisiaj, młody – przywitał Sama. – Nawet moja Luiza, niech ją diabeł widłami kole, nie była taka zimna jak ta pieruńska jesień.

Sam uśmiechnął się pod nosem, nie wiadomo, czy bardziej na wspomnienie

wdowca o zmarłej dawno temu żonie, czy za to, że Eliach nazywał go – sześćdziesięciolatka – młodym. No bo po prawdzie był te ćwierć wieku młodszy od starego zrządy.

– Ponoć dlatego jest tak zimno, bo jest cieplej – odparł, stawiając czajnik na fajerki. – To znaczy, tak ogólnie cieplej. Tak mówił burmistrz, a jemu mówili ci z Waszyngtonu...

– Co ty chrzanisz, młody!? – Eliach aż się zagotował. – Zaczynasz gadać pokrętnie jak Luiza, niech ją diabeł widłami kole, co to z własnym mężem nie mogła, bo grzech, ale już z pastorem, niech go diabeł... – Tak się zapluł, że stracił język w gębie.

– Ja tylko powtarzam, co usłyszałem – westchnął Sam i od razu poczuł się głupio. „Powtarzam, co usłyszałem”, wybrzmiały mu w głowie własne słowa. Nie gadałby tak jeszcze dziesięć lat temu. Może nawet jeszcze pięć...

Eliach tymczasem ostygł, za to zagotowała się woda. Sam zaparzył kawę, posłodził, rozlał do kubków, sobie dolał naparstek whiskey, staruszkowi sześć naparstków. Siorbnął parę łyków i zamarł z trzymanym oburącz kubkiem, czekając, aż rozgrzeją się wciąż zmarznięte paluchy.

Dopili kawę, zjedli z chlebem resztki przedwczorajszej kury. Eliach wziął się za nabijanie fajki, Sam podreptał do stodoły. Deszcz zelżał nieco, słońce coraz śmiejiej przebijało się przez chmurzyska, niemniej aby błoto w obejściu trochę stężało, potrzeba było jeszcze tygodnia bez kropli z nieba. Raczej niemożliwe.

Szkapa Dolores trzymała się nieźle, właśnie tak na granicy między szkapą a klaczą, jakby ktoś wyrozumiale oceniał. „Z naszej trójki to chyba ona wygląda najlepiej”, skonstatował Sam, zamiatając posadzkę. Uzupelniał wodę w poidle i doniósł owsa, bardziej z rutyny niż rzeczywistej potrzeby wyszczotkował sierść, grzywę i ogon, na koniec czule poklepał Dolores i wyżałił się jej głośno na pogodę, łupanie w krzyżu, współczesną młodzież... Klacz smętnie przytaknęła łbem, po czym zabrała się za posiłek.

Będąc w połowie drogi – czy bardziej przeprawy – do chałupy, Sam usłyszał tętent – czy bardziej chlupot – kopyt. Najpewniej ktoś skracał sobie drogę do górniczej osady Green Creek, ale nie zaszkodziło sprawdzić, kto zacz, nawet kosztem dłuższego brodzenia w błocie. Gdy zasapany mężczyzna doczłapał do ogrodzenia i oparł się o furkę, jeździec akurat przecinał punkt najbliższy farmie, przed odbiciem na północ, do górniczej osady. Ku zdumieniu Sama galopujący wierzchowiec zwolnił, skręcił z głównej drogi i począł zbliżać się stępa do ogrodzenia. Jeździec, młody Michael Cox – chłopak na posyłki pana Whitcomba z miasta – miał wypisaną na twarzy tę specy-

ficzną mieszankę wpojonego pasem szacunku dla starszych z nabytą niewiele później krnąbrnością i politowaniem.

– Co tam słyhać, panie Johnson? – zapytał tonem wskazującym, że nic go to nie obchodzi.

– Po staremu, Michael, po staremu – odparł życzliwie Sam.

– Aha... No to, do widzenia... – Młodzik spiął lejce i już miał zawrócić konia, ale znać było po minie, że ma coś jeszcze do powiedzenia, tylko się waha.

– Co tam w szerokim świecie słyhać, Michael? – Sam pociągnął chłopaka za język.

– No, ten tego – wybrzmiało jakieś niepodobne do zadziornego młokosa zmieszanie. – Panie Johnson, ludzie gadają... że znał pan Richarda Ormsville'a, tego rewolwerowca.

Nadpróchniałe deski zatrzeszczały, gdy Sam mocniej, mimowolnie, naparł na furtę.

– Znałem... kiedyś – wychrypiął raczej, niż odrzekł, bo nagle zaschło mu w gardle. – A co tam?

Młodzik począł zawracać wierzchowca i spuścił wzrok, jakby nie chciał gadać twarzą w twarz.

– Dwa tygodnie temu został zastrzelony...

– Richard?!

Deski furty omal nie pękły, posypało się próchno.

– Ponoć ktoś wpakował mu kulkę w plecy. – Chłopak już stępem wracał na główną drogę. – W Brussels City...

Dobłą minutę Sam odprowadzał wzrokiem jeźdźca, po czym spojrział w niebo, zaklął siarczyście i poczłapał do chałupy.

* * *

Proporcje w spożywanych napitkach uległy zamianie – teraz płukali kubki po kawie wodą ognistą.

– Nie było lepszych od Richarda... – westchnął Sam i pociągnął whiskey.

– Ty byleś.

– Może...

Eliach uzupełnił kubki. Dłoń mu drżała jak osika na wietrze, ale jakimś cudem

ani kropla trunku się nie zmarnowała. Sam wpatrywał się przez moment w taflę złocistego napoju, jakby szukając tam podpowiedzi. Nie dostawszy jej, w końcu siorbnął i rzekł:

- Powiniennem tam pojechać... wyjaśnić, co się stało. Jestem mu to winien.
- Wyjaśnić, powiadasz... Ano powinienes.
- Zajmiesz się farmą?
- Zajmę.
- Poradzisz sobie?
- Poradzę.

Jakby na poparcie własnych słów Eliach żwawo poderwał się z zydła, zamarł jednak z wygiętym w pałąk kręgosłupem, a gębę wykrzywił mu grymas bólu.

- Poradzę sobie – powtórzył starszek przez zęby. – A nawet jak sobie nie poradzę, to i tak powinienes jechać.
- Ano powiniennem...

* * *

Zdrapał warstwę ubitego łąjna, podważył deski i wyciągnął owinięty szmatami pakunek. Odwijał delikatnie, niespiesznie, z jakąś czułością matki zmieniającej pieluchy niemowlęciu. Okuta mosiądzem skrzynka świetnie zniosła próbę czasu, więc i o zawartość nie należało się kłopotać. Obliznął spierzchnięte wargi, dotknął wieka i powoli je uniośł, przymykając oczy – pierwsza od ćwierć wieku schadzka z demonem przeszłości miała pozory młodzieńczego wstydu.

Kolty lśniły, jakby wypolerowano je wczoraj. Broń jeszcze z czasów sprzed zjednoczenia, dzieło najlepszego rusznikarza na zachód od Missisipi. Grawer na lufach i wokół bębenków zrobiony fikuśną, kwiecistą czcionką; kurek rzeźbiony w głowę orła; gryf obłożony macicą perłową – to akurat późniejsza przeróbka, pierwotnie był róg bizona, tak w końcu zryty nacięciami, że wymagał wymiany. Świetnie zachowały się kabury, niemal poczerniałe od oliwienia, podobnież pas nabojów. Kolty, kabury, pas... kolty, kabury, pas i jakieś dwa zapełnione pod sam płót cmentarze...

Gwałtownie zatrzasnął wieko, potrząsnął głową niczym obudzony z koszmaru i wytarł pot z czoła. Dyszał ciężko, jakby pół dnia przerzucał obornik. Niedbale owinął skrzynkę w szmaty i upchnął z powrotem do schowka. Tylko desek już nie zakładał, wyszedł prędko, niemal wybiegł z chlewu, żegnany chrumkaniem głodnych świń.

* * *

Spakował się w kwadrans, bo cóż niby miał do zabrania? Błąkał się potem po farmie, zaglądając po dziesięć razy w to samo miejsce i mieszając buciorami błoto w obejściu, jakby chciał je jeszcze dodatkowo rozrzedzić. Unikał Eliacha, który poczuł się już gospodarzem i z perspektywy fotela przy kominku zarządzał farmą w ogólności, a zapasami whiskey z piwniczki w szczególności. Zjedli wczesny obiad, przesolony krępującym milczeniem.

– Pamiętaj, żeby do Elmy nie zachodzić od lewej, bo będzie kopać – rzekł jeszcze na odchodnym Sam.

– Nie ucz mnie, jak krowy doić – odburknął podpity starzec. – Ja cię nie pouczam, jak masz tych sukinsynów pozabijać.

Sam westchnął ciężko.

– Nie jadę tam nikogo zabić...

– Ach, zapomniałem. – Sarkazm w głosie Eliacha był nie mniej szorstki niż ordynarne przekleństwo. – Jedziesz wyjaśniać. Bo na tym się znasz najlepiej.

– Idź do diabła, Eliach.

– Nawzajem, Sam, nawzajem... Ale o jedno cię tylko proszę, jak już tak bardzo chcesz wyjaśniać, to rób to nie gębą, ale ołowiem...

Sam zacisnął zęby i wyszedł, trzaskając drzwiami. Osiodłał Dolores, zajrzał jeszcze raz do chlewu, obory, potem do stodoły, potem jeszcze raz do chlewu, zapiął sakwy i odjechał.

* * *

Deszcz siąpił cały czas, acz coraz słabiej. Do miasta była godzina drogi. Sam planował tylko uzupełnić zapasy i zaraz ruszyć dalej. Noc zamierzał spędzić na prerii; w ten sposób oszczędzi trochę centów i szybciej dotrze na miejsce. Mijał kolejne farmy, ze świeżo postawionym ogrodzeniem, z zabudową, jakiej nie powstydziliby się w mieście, z utwardzoną drogą od wjazdu do obejścia, z obowiązkową niebieską tabliczką przy furcie. Wszędzie czysto, schludnie, tylko tak jakoś... pusto?

Gdy przejeżdżał koło gospodarstwa Thomasa Brooke'a, tamten akurat zamykał furkę, przez którą dopiero co wjechała otwarta fura załadowana żelastwem. W zębach

Thomas trzymał jakieś dziwaczne ustrojstwo, podobne z kształtu do cygara, ale wytoczone z drewna i z jakimś dziwnym niebieskim ni-to-płomykiem-ni-to-ognikiem na czubku.

– Co słyhać, sąsiedzie? – zagadał młodszy farmer, opierając o płot swoje obłe brzuszysko. – Tytoń się skończył, że już w poniedziałek jedziesz do miasta?

– Nie. Mam jeszcze. – Sam wzruszył ramionami.

– Ja już tytoniu nie potrzebuję... – Brooke wyjął z ust walec i pomachał nim w tę i w tę, kreśląc białym dymkiem esy-floresy. – To jest e-cygaro, prosto ze stolicy. Całych pięć uniodolców za sztukę, ale za to można palić w saloonach...

– Że co?

– No możesz palić w saloonie.

– Że jak?

Thomas zaśmiał się dobrotliwie, jakby konwersował z wioskowym głupkiem.

– Zwykłego cygara w saloonie od miesiąca nie zapalisz, nie wolno.

– Znaczy co, Pearson zabronił? Ocipiał?

– Sam, z jakiego drzewa ty się, człowieku, urwałeś? To jest nowe prawo federalne, Pearson nie ma tu nic do gadania. Wszyscy o tym wiedzą.

– Ja nie, dawno nie byłem w saloonie...

Na chwilę zapadła nieprzyjemna cisza.

– Jak ci się podoba nowa stodoła? – Thomas zmienił temat, wskazując na wypucowany budynek, który pomieściłby wszystkie zabudowania Sama i jeszcze pewnie jakiś mały kościółek.

– Robi wrażenie.

– Nieprawdaż?

– Sporo pomieści. Co zasiejiesz?

– Nie zasieję kukurydzy.

– Więc jęczmień...

– Nie. Nie zasieję kukurydzy.

– No ale co zasiejiesz?

– Sam, litości, kto teraz coś sieje?! A, przepraszam, zapomniałem o takich jak ty. – Złośliwie zazgrzytał zębami, omal nie przegryzając e-cygara. – Przecież teraz największy zarobek jest na niesianiu.

– Jak można zarobić na niesianiu?

– Dopłaty, Sam, dopłaty! Oczywiście trzeba wiedzieć, czego nie siać. W tym

roku za niesianie jęczmienia jest marna kasa, ale już za niesianie kukurydzy... Stary, nawet z tymi swoimi marnymi paroma akrami mógłbyś żyć jak panisko, jakbyś tylko nie siał i nie hodował. Daj znać któregoś dnia, to podeślę młodego, pomożemy ci wypełnić papiery.

– Dzięki. Pomyślę...

Sam rzucił jeszcze raz okiem na bezkresny ugór, spał lejce i pokłusował do miasta. Wjeżdżając od południa, mijalo się najpierw budynek szkółki. Zdziwił się nieco, że jeszcze po obiedzie odbywają się zajęcia, ale z drugiej strony, co dzieciaki miały dziś do roboty? Trwała akurat lekcja muzyki, a przez uchylone okno sączyły się słowa dobrze znanej piosnki. Przynajmniej na pierwszy rzut ucha...

*Stary Donald farmę miał,
ija, ija – o!,
Na tę farmę dopłaty brał,
ija, ija...*

II. W samo południe

Kupił jakiś porządny koc, bo nie miał serca zabierać tych domowych Eliachowi. Wziął też whiskey, naftę i jednak tytoń, na zapas, bo cholera wie, czy następnym razem będzie jeszcze dostępny. Sklepikarz skrzywił się, widząc złoto. Ostatecznie przyjął, ale pouczył Sama, by jak najszybciej wymienił kruszec na uniodolary.

Do zmierzchu zostało jeszcze sporo czasu. Sam wyliczył, że nawet bez forsowania Dolores pokona dwadzieścia mil i przenocuje gdzieś w cieniu Booker's Rock. Pogoda poprawiała się z każdą godziną, więc i w kościach ciut mniej łupało. Po drodze minęło go paru posłańców, jakiś konwojowany przez wojskowych wóz niewiadomego przeznaczenia, wreszcie grupa młodych osadników. Z wyłowionych rozmów Sam wywnioskował, że wszyscy zmierzają do pracy w Green Creek, choć nie wyglądali na górników, raczej na miejskich gogusiów w przyciasnych surdutach, co to więcej czasu spędzają u golibrody i krawca niż z własnymi żonami. „Z drugiej strony”, sześćdziesięciolatek skarcił się w duchu, „co ty właściwie wiesz o pracy w kopa... tfu, zakopalni, tak to się przecież teraz nazywa”.

Dotarłszy do Booker's Rock, zatrzymał się pod skalnym nawisem, rozpałił ogień i podgrzał kolację. Zapowiadała się zimna noc, więc dogrzał się dodatkowo łykiem whiskey i począł nabijać fajkę. Akurat wyciągnął nową paczkę, tę świeżo kupioną w mieście, gdzie oprócz nazwy producenta stało jeszcze na banderoли *TYTOŃ ZABIJA*.

– No to żeśmy się, zabijaki, dobrali. – Sam zarechotał pod nosem i pociągnął z cybucha.

* * *

Wstał bladym świtem, ale nie siodłał od razu Dolores, tylko dał jej poskubać trawę, sam zaś wgramolił się na szczyt skały, by rzucić okiem na czekającą ich drogę, tak na wszelki wypadek. Ostatni raz był tam... no, lata temu. Skała jak skała – stała, jak stała, ale... ktoś zadał sobie sporo trudu, by przy krawędzi wkuć żelazne słupki i rozwiesić łańcuch. W pierwszej chwili Sam pomyślał, że to bardzo niegłupia suszarka dla wędrowców, słońce tu w mig wysuszy mokre majtasy, ale... nie, chyba nie taki był zamiśl, bo oprócz słupków wisiała jeszcze na patyku tabliczka. Na górze napis *UWAGA, PRZEPAŚĆ!*, a pod spodem, dla Indian czy niepiśmiennych, jeszcze domalowana ludzka sylwetka spadająca z urwiska.

„Że też się komuś chciało”, wzruszył ramionami, podszedł jak najbliżej krawędzi, i pokontemplował zalaną porannym złotem prerię. Widoczność miał dobrą, bo gdzieś od północy już nie padało. Jak sięgnąć okiem pustka, nic podejrzanego, żadnego dymu czy krążących sępów. Możliwe, że do nocy przez całą drogę nikogo nie spotka. Nawet mu to pasowało.

Późnym południem trafił na pieszy patrol kawalerzystów z Fort Anderson. Trochę dziwnie na niego patrzyli, gdy zapytał, gdzie zgubili konie.

– Cha, cha, staruszk, dowcip masz ciut przyciężkawy – skomentował jakiś kapral.

– Dobra, śmichy–chichy mamy za sobą, ale gdzie latarnia? – dopytał drugi.

– No tu. – Zaskoczony nieco pytaniem Sam poklepał w sakwę.

– A czemu nie zapalona, żeby nas było widać? – Kawalerzysta aż pluł sarkazmem.

– Przecież jest dzień...

Patrol zarechotał jak jeden mąż.

– Panie... – zaczął sierżant, który najprędzej się pozbierał i skarcił wzrokiem

podwładnych, by zachowali należytą powagę.

– Sam.

– Sam... jaki?

– Jon... – zaczął, gdy nagle jakiś wewnętrzny impuls, całkiem niespodziewany i irracjonalny, wyszarpnął z płuc to drugie, prawdziwe: – Wildcock. Sam Wildcock.

Wstrzymał oddech.

Nic.

Nie słyszeli?

– Panie Wildcock, dziesięć mil wokół osad proszę podróżować z zapaloną latarnią – sierżant przemówił tonem bufonowatego belfra. – Również w dzień. – Podkreślił każde słowo z osobna, jakby sądził, że rozmówca nie dosłyszy. – Czy ten koń...

– To klacz.

Sierżant chrząknął.

– Czy ta klacz jest zabytkowa?

– Że co? No, Dolores pierwszą młodość ma już za sobą...

Kawalerzysta stęknął i wytarł mokre czoło. Rozmowa najwyraźniej go męczyła.

– Ma pan papiery, że ko... że klacz jest zabytkowa?

– Nie, a skąd?!

– Jeśli nie, klacz musi nosić certyfikat emisji, bo nie wypuszczą pana poza Fort na drogę krajową. Proszę się zgłosić do rejenta stajennego.

– Certyfikat... rejent stajenny? Może zapamiętam – mruknął Sam i musnął palcem rondo kapelusza na pożegnanie.

Gdy miał kawalerzystów za plecami, ale jeszcze w zasięgu uszu, tyle zdołał usłyszeć:

– Sam Wildcock... Do diaska, na pewno gdzieś o gościu słyszałem.

– Niby gdzie? Przecież to jakiś zakiszony burak z prowincji.

– ...chyba ojciec mi coś kiedyś odpowiadał.

– ...więc to ktoś znany?

– ...celebryta?

* * *

Wartownik przy bramie Fortu powtórzy to samo co sierżant. Chcąc nie chcąc, Sam udał się do stajen wojskowych i odnalazł rejenta, ale tamten nie chciał złota i

trzeba było je wymienić w oddziale Rezerwy Zjednoczonej na uniodylary. Rejent zabrał Dolores do weterynarza i powiedział, że certyfikat będzie gotowy pojutrze w samo południe. Sam kłął na czym świat stoi, ale nic nie wskórał. Opłata za certyfikat i dwa noclegi poważnie nadwyrężą jego zaskórniaki, ale pocieszał się, że droga powrotna powinna już być pozbawiona niespodzianek.

Fortowy saloon pamiętał jeszcze stare, dobre czasy. Przynajmniej z zewnątrz, bowiem w przepastnym wnętrzu było pustawo, a właściwe może nawet nie pustawo, ale tak jakoś... spokojnie. Niby goście siedzieli przy stolikach, młodzi w większości i trochę starszawych, ale tylko palili te swoje e-cygara, pili – nie, raczej wolno siorbali – whiskey oraz insze jakieś zamorskie trunki i rozmawiali sobie, bo już nawet nie gadali.

„Gdzie karty”, dumał Sam, „gdzie pianino, a... tam jest, faktycznie, przykurzone w rogu. Gdzie panienki...”.

Panienska była, jedna i taka jakaś zmizerniała, jakby po suchotach. „Choć całkiem ładna”, przyznał w duchu Sam i zarumienił się, jakby mu czterdzieści pięć lat ubyło. Dziewczyna snuła się między stolikami jak duch i jak duch była ignorowana – żadne oczy nie podążały za jej wąską talią, a co dopiero łapsko za jędrnym pośladkiem. W akcie desperacji przycupnęła w końcu przy jednym stoliku, zamigotała rzęsami do zajętego rozmową młodzieniaszka i szepnęła słodko:

– Kochaniutki, wiesz, co to miłość po francusku?

– Miłość po francusku... – Skupiony młodzieniec nawet nie obrócił głowy. – „Amour”.

– A po niemiecku „*liebe*” – wtrącił od czapy jego towarzysz.

Dziewczyna westchnęła cicho, powstała i poszła za bar. Młodzieńcy kontynuowali konwersację:

– Premiera *Romea i Juliana* w Brussels City była wydarzeniem roku!

– Tak, trudno się nie zgodzić, że to najlepszy współczesny dramat od *Powrotu do Brokeback Mountain*...

Sam zamówił potrójną whiskey. Gdy zajrzał do szklanki, zastanowił się, czy pojedynczą by w ogóle na dnie dojrzał. Wypił kolejną potrójną i kolejną, potem już nawet poszóstną, ale jakoś nie chciało w głowie zaszumieć. A może to jakaś e-whiskey była, podobnie fikuśna jak te e-cygara?

Przy stoliku niedaleko baru usiadło trzech młodych kowbojów, wyróżniających się na tle klientów strojem surowszym – choć czystym, jakby prosto z magła – oraz rewolwerami przy pasach, co było w tutejszym saloonie raczej wyjątkiem niż regułą.

Gadać zaczęli, ku wielkiej radości Sama, o tym, o czym mężczyźni zwykli kiedyś gadać, czyli o koniach:

– ...wcale nie uważam, że za niego przepłaciłem, bo drogę stąd do Miller's Cross zrobię w cztery i pół godziny.

– Jak stać cię za każdym razem na mandat, to może i tak. Przecież tam od miasta jest odcinkowy pomiar prędkości z limitem dziesięć mil na godzinę.

– No dobra, tam może nie, ale już do Afroamerican Valley...

– A klasę emisji jaką masz?

– Zielony znaczek, się wie! Trzy koma sześć uncji łańna na milę, więc duży margines nawet na euro–siedem od przyszłego roku.

– Nieźle, u mnie trzy koma osiem przy ostatnim badaniu stajennym. A jak trawienie?

– W cyklu mieszanym siedem i pół mili na porcję owsa, jak lekko używasz ostrogi, to nawet do ośmiu dojdiesz. W papierach sprzedawca miał dziewięć, ale to nierealne.

– W papierach to zawsze bajki wypisują.

Sam począł obracać się do szynkarza, planując zamówić podwunastną whiskey – taką gdzieś do pół szklanki. Lecz zamarł nagle, zmrożony uroczą głębią pewnego dekoltu.

– Pierwszy raz tutaj? – zagałała panienka.

– Nie, to znaczy tak, to znaczy... – Przeklął się w myślach za to, że na widok półodsloniętych cycków język mu się płacze jak młokosowi. – Znaczy, jak tu byłem ostatnio, to w tym miejscu jeszcze nie było fortu.

– Ojej. – Chyba nawet nie udawała zdziwienia. – To musiało być z ćwierć wieku temu – powiedziała to takim tonem, jakby mówiła o czasach Mojżesza.

– Jakoś tak... – westchnął. – Spokojnie tutaj...

– Bo to misja pokojowa, chronią trakt przed Siuksami.

– Ale przecież Siuksów wybito do nogi przed trzydziestu laty.

– No właśnie, dlatego tak tu spokojnie. Ponoć każdemu urzędnikowi ze wschodniego wybrzeża się marzy, by trafić do Fort Anderson.

Sam przypomniał sobie, co miał zrobić. Barman odpowiedział, że podwunastnej whisky się nie da, mogą być co najwyżej dwie poszóstne, bo paragraf coś tam... Panienka tymczasem uświadomiła sobie, że oczy starszego mężczyzny wciąż błędzą po jej dekolcie. Zdawała się tym co nieco zaskoczona.

– Jeśli tęsknisz za odrobiną niepokoju – zaczęła z nutką nadziei w głosie – to właśnie znalazłeś...

Sam poczuł suchość w gardle, wcale nie od whiskey. Suchość i ciepło, tu i ówdzie.

– Słodkaś, dziecinko – wyszeptał nieswoim, ale poniekąd bardziej swoim głosem. – Tylko... ja jestem już prawie splukany.

– Proszę... – W jej oczach zaszklili się desperacja. – Dostaniesz zniżkę dla seniorów...

– Co dostanę?!

Spuściła oczy jak uczennica szkółki niedzielnej.

– Dobrą cenę. – Niemal się poryczała.

– Nie traćmy więc tutaj czasu. – Jedną ręką dopijał już whiskey, drugą łapał dziewczynę w tali. Minę zrobiła taką, jakby porywał ją diabeł.

* * *

„Umarłem”, to była jego pierwsza refleksja, gdy się obudził. Pomyślał tak, bo nic go nie bolało, nie strzykało, nie łupało... Poza tym ta biel wokół i anioł zakładający skrzydła... a nie, gorset. „No tak”, już sobie wszystko przypomniał, „wybacz, Heleno, ale sama rozumiesz...”, zagadał w myślach do zmarłej żony.

– To cud, że łóżko jest całe. – Dziewczyna zaśmiała się perliście, walcząc z ostatnimi sznurkami gorsetu. Rumieniec radości zdecydowanie dodawał jej urody. – Cholernie cię przepraszam za tego seniora...

Przeciągnął się na pościeli. Coś zatrzeszczało. Nie, tym razem nie kości. Rama łóżka.

– Nie ma sprawy – odrzekł. – Nie ma sprawy... – Zmarszczył brwi.

– Susan – przedstawiła się. – Susan Miles.

– Sam Wildcock.

– *Wild i cock*, to by się nawet zgadzało. – Znów się zaśmiała. – Sam Wildcock... zaraz, to zupełnie jak ten słynny rew... – Pobladła. – Przenajświętsza Panienko!

Sam usiadł na łóżku i począł rozglądać się za spodniami. Trochę to trwało, bo wisiwały zaczepione krokiem na ramieniu żyrandola. A to ciekawe.

– Myślałam, że nie żyjesz.

– Też tak myślałem.

– Sam Wildcock, no coś takiego...

Ściągnął spodnie z żyrandola, wygrzebał z kieszeni garść uni dolarów. Susan wzięła tylko dwa banknoty, podeszła do toaletki i zaczęła kręcić korbką przy czymś, co wyglądało na przerośniętą pozytywkę. Z podłużnego otworu na górze wysunął się kawałek dziurkowanego papieru – dziewczyna oderwała go i dała Samowi.

– A to co? – Mężczyzna zrobił wielkie oczy.

– Rachunek. Muszę trzymać kasę fiskalną. – Westchnęła ciężko. – Płacę od wszystkiego czterdzieści procent podatku.

Mężczyzna zrobił jeszcze większe oczy.

– Inni mieli gorzej – mówiła dalej. – A jak myślisz, czemu nikt na dole nie gra w karty?

Nie bardzo wiedział, co właściwie myśleć, bo z trudem ogarniał takie sprawy. Dekolt w nie do końca zasznurowanym gorsecie nie ułatwiał zadania.

– W ogóle to okropnie mi głupio, że od ciebie coś biorę. – Pełny usprawiedliwienia ton zaczął balansować na granicy hysterii. – Ale za darmo to byłaby darowizna, jakby ci z ratusza się dowiedzieli, to byś...

– Dziecko, spokojnie... – uciszył ją ojcowskim głosem. Wydłubał z kieszeni bryłkę złota, wcisnął dziewczynie w rozdygotaną dłoń i delikatnie zamknął wokół palce.

* * *

Cały dzień błąkał się po forcie, próbując znaleźć dla siebie miejsce. Whiskey, gdzie by nie spróbować, była tak samo wodnista, a gdy zapalił fajkę na przystanku dylizansowym, wywołał panikę większą, niż gdyby przyłożył jakiemuś dziecięciu nóż do gardła.

Na szczęście wyłowił na słupie przy głównym placu ogłoszenie o egzekucji, która miała się odbyć przed ratuszem. Oczywiście w samo południe. „Przynajmniej koniokradów wciąż wieszają”, pocieszył się w myślach i zabił pozostający czas, szukając miejsca, gdzie na otwartym powietrzu można zapalić fajkę.

Za pięć dwunasta tłum przed ratuszem był raczej mały, w zasadzie to ledwo zasługiwał na miano tłumku. „Chyba nie wieszają teraz tak często, żeby to tutaj spowszedniało”, myślał Sam, „ale może po prostu ludzie mają co innego do roboty”. W ogóle to jakoś wszystko się spóźniało, nawet belka szubienicy tęskno trzeszczała, by

ktoś zamocował sznur.

Wreszcie przyszły władze – szeryf, sędzia, ławnicy i jeszcze pół tuzina jakichś urzędników z papierami pod pachą. Tylko głównego aktora dramatu brakowało; najpewniej rzucał się w celi i trzeba go było najpierw utemperować, a potem znów doprowadzić do używalności.

– Egzekucja numer dwieście czterdzieści cztery, łamane na sześć, łamane na tysiąc osiemset osiemdziesiąt pięć. Jorge Ramirez, lat trzydzieści jeden, oskarżony z artykułu tysiąc trzysta siedemnaście, punktu sześć–a o kradzież organicznego środka transportu, odpowiada z wolnej stopy.

Któryś z gapiów wystąpił dwa kroki przed tłum i z grzeczności zdjął kapelusz. Sędzia wgramolił się na podest szafotu, wyciągnął kartkę i odczytał:

– Z uwagi na trudną sytuację rodzinną, majątkową i etniczną oskarżonego i niewielki operat szacunkowy rzeczono organicznego środka transportu w formie konia, sąd postanawia odstąpić od egzekucji z majątku Jorge Ramireza, sprawę umorzyć, a kosztami procesu obciążyć Skarb Unii.

Ramirez obrócił się na pięcie, a pozostali gapie – najwyraźniej znajomi – zaczęli go klepać po plecach i gratulować.

– Stawiam wszystkim! – obwieścił jeszcze koniokrad, po czym udał się ze znajomymi do saloonu. Sędzia, szeryf i reszta urzędników poczłapali do ratusza.

„Panie”, Sam uniósł oczy ku niebu, „spraw, by w sakwach zachachmęciła się jeszcze jedna flaszka prawdziwej whiskey”.

Opatrzność okazała się łaskawa dla syna marnotrawnego, więc miał czym zalać czas między południem a wieczorną wizytą u Susan. Dziewczyna na przywitanie dała Samowi gorącego całusa oraz młotek i gwoździe:

– Trzeba wzmocnić łóżko – poleciała – bo jak się rozpadnie, to już na pewno zbankrutuję.

* * *

Łóżko wytrzymało, choć jedną nogą zapadło się w nadwyreżoną podłogę. Sam czuł, jakby mu znowu ubyło dobrych dziesięć lat, więc gdyby miał tu siedzieć jeszcze parę dni, to musiałby chyba zacząć rozglądać się za guwernantką.

Rejent stajenny nie był tak punktualny jak poprzedniego dnia sędzia i z „samego południa” zrobiło się wpół do trzeciej. Dobrych wieści też tym razem zabrakło:

– Jak pięć lat tu pracuję, jeszcze nie widziałem takiej chabety. Właściwie to w ogóle nie powinienem jej dać certyfikatu, tylko...

Zawiesił głos, na coś najwyraźniej czekając. Skruchę lub łapówkę, albo jedno i drugie. Nie doczekawszy się, machnął ręką i mówił dalej:

– Emisja łąjna jest koszmarna. – Przypiął do uprzęży krwistoczerwony znaczek. – Nie mówiąc już o trawieniu, tu nie ma nawet czterech mil na porcję. Przecież pójdzie pan z torbami, jak od nowego roku znów wzrośnie akcyza na owies.

Sam wzruszył ramionami.

– Mam własny owies.

– No ale chyba nie paliwowy, bo przecież musiałby pan prowadzić skład celny...

– Że co? – Urzędnik aż się za głowę złapał. – Dobra, ja nic nie słyszałem. – Obwieścił z nutką przestרחu w głosie.

Sam zapłacił, zabrał Dolores, rzucił oschłe pożegnanie i opuścił stajnię. W bramie dogonił go rejent, bo coś sobie najwyraźniej przypomniał:

– Jakoś mi to z głowy wyleciało, bo wszyscy tutaj już dawno skorzystali. Jeszcze miesiąc obowiązuje rządowy program utylizacji starych szkap. Jak odda pan swoją do odstrzału, to władze dadzą sto pięćdziesiąt uniodolarów zniżki na zakup nowej. Wiem, co pan powie: że z gotówką krucho, ale mogę załatwić dobry leasing...

– Uważaj, żebyś ty nie trafił do odstrzału – wycedził przez zęby Sam. Coś w chrapliwym głosie starszego mężczyzny sprawiło, że rejent pobladł i zaraz musiał dziękować żonie, że mu dziś przyszykowała brązowe spodnie.

Wartownik przy północnej bramie obejrzał uważnie certyfikat emisji, jeźdźcowi poświęcił tylko przelotne spojrzenie, po czym mruknął pod nosem:

– Czerwony znaczek jest ważny trzy miesiące, można przedłużyć o kolejne trzy w delegaturach szlaków krajowych, ale tylko raz, potem trzeba powtórzy badanie stajenne.

– Chrzanić to. Potrzebuję tylko na tydzień.

– Ekhem... Jedzie pan do Miller's Cross czy Mount Equality?

– Do Brussels City przez Miller's Cross.

– No to ma pan mały problem, bo z takim certyfikatem nie wjedzie pan do Brussels City, będzie trzeba zostawić konia...

– To klacz.

– ...zostawić klacz w stajni „Uwiąż i idź” na przedmieściach. W Miller's Cross proszę dołączyć do codwutygodniowego konwoju, bo w Peace Valley znowu grasują

Czejeni.

– A nie mam tam patroli kawalerii?

– No co pan, to zbyt niebezpieczna okolica!

Sam tylko cicho westchnął.

– Nie wiem, czy będzie mi się chciało czekać na konwój...

– Ojej, po co tak ryzykować!? Warto też wykupić u multirejenta ubezpieczenie na życie. Oczywiście są wyłączenia, jak choćby susza na pustyni czy najazd Indian. Ale już za złamaną nogę...

– Nie, chyba nie skorzystam. – Sam spał leżce. – Coś jeszcze?

– Nie. A! Tak. Proszę zapalić latarnię.

III. Brussels City

Parę mil dalej, w miejscu, gdzie trakt przechodził przez bardzo wąski przesmyk skalny, stały płot i niewielka strażnica. Sierżant zatrzymał Sama przy furcie, po czym zaczął spisywać coś z certyfikatu na świstek papieru, potem wyciągnął zza pazuchy chronometr na łańcuszku i coś jeszcze dopisawszy, dopiero uchylił furtę, oznajmiając:

– Stąd do Miller's Cross obowiązuje odcinkowy pomiar prędkości z limitem dziesięciu mil na godzinę. Numer certyfikatu oraz czas wjazdu zostaną spisane po wtórnie na rogatkach osady, a potem na podstawie porównania obu dokumentów w ciągu miesiąca może zostać wystawiony mandat. Pouczam, że zrobienie przestoju tuż przed drugą strażnicą w celu zbitcia średniej prędkości przejazdu jest wykroczeniem federalnym.

– Synu, to że matka z ojcem cię spółdzili, to jest dopiero wykroczenie federalne... – Sam zarechotał, a w stalowoszarych oczach zatańczyły lodowe iskry.

Sierżant skulił ramiona, spuścił wzrok i jeszcze trochę uchylił furtę. Dolores pogalopowała co sił w kopytach, na linii furty pozostawiając wielką – adekwatnie do certyfikatu emisji – kupę łajna.

* * *

Spędził noc pod gołym niebem, parę mil przed osadą, bo nie wierzył, że w Mil-

ler's Cross znajdzie jakąś drugą Susan, a w innym przypadku nocleg w saloonie był stratą czasu i pieniędzy. Wartownik na rogatkach patrzył krzywo na wjeżdżającego z rana jeźdźca, mrużąc coś pod nosem o zafałszowaniu statystyk.

Okazało się, że do najbliższego konwoju zostało aż osiem dni, więc Sam bez namysłu uzupełnił zapasy i ruszył w dalszą stronę, dając Dolores tylko chwilę na złapanie tchu. Czekają go cztery noce na prerii, jeśli nic się po drodze nie wydarzy. Potem Brussels City. A potem...

Pierwsze dwa dni w Peace Valley upłynęły bez incydentów, jeśli nie liczyć spotkania z patrolem pieszej kawalerii tuż za osadą, który już nawet nie zwracał uwagi na niezapaloną latarnię, tak bardzo był zaaferowany faktem, że jeździec rusza w niebezpieczne rejony bez eskorty i ubezpieczenia. Trzeciego dnia wąski słup dymu gdzieś za załomem kotliny zapowiedział kłopoty. Przejechawszy jakieś pół mili, Sam dotarł do dymiących jeszcze szczątków karawany jadącej z przeciwnego kierunku – powywracane i spalone wozy, bydło i konie ubite bądź zabrane; mężczyźni wymordowani i oskalpowani; kobiety wymordowane, zgwałcone i oskalpowane; dzieci tak gdzieś pół-na-pół...

Krzętałi się tam już jacyś wojskowi – ale w innych mundurach niż kawaleria, elegantszych i bardziej surdutowych z kroju. Towarzyszyła im eskorta kilkunastu dobrze uzbrojonych cywilów. Wszyscy rzecz jasna – choć może teraz i niejasna – konno. Cywilna eskorta rzuciła Samowi ciekawskie, acz tylko przelotne spojrzenie, wojskowi go całkiem zignorowali, zajęci swoimi sprawami – jeden przez lunetę obserwował okolice, dwóch zeszło z wierzchowców i pochylało się nad martwą... nie, jednak jeszcze żywą niewiastą.

– Skalpy są zdjęte bardzo czysto. Widać, że Czejeni używają już ostrzy z krzywizną według ostatniej dyrektywy nożowej – skomentował beznamiętnie pierwszy.

– Tylko trupów posortować zapomnieli. – Drugi zmarszczył brwi, coś gryzmołąc piórem w kieszonkowej książeczce. – Niemniej, fakt faktem, odkąd rządzi nimi Zrównoważony Bawół, wskaźniki zgodności oscylują powyżej osiemdziesięciu pięciu procent. Ot, choćby tutaj... – Wskazał na jęczącą z bólu kobietę. – Myślałem z początku, że przekroczyli kwartalne kwoty mordy, ale nie, zgadza się co do jednego, bo tę tylko zgwałcili.

Pierwszy przykucnął przy kobiecie, podziwiając najwyraźniej linię oskalpowania.

– Czer... czerw... – wycharczała niewiasta.

– Proszę się nie denerwować, wypiszemy pani receptę na refundowane środki antydepresyjne.

– Czerw... czerwone diabły! Niech ich piekło...

Plask!

Wojskowy trzasnął na odlew kobietę w twarz, aż głowa poleciała jej na bok, stukając o dyszel wywróconego wozu.

– Jak śmiesz, ty głupia suko! – Mężczyzna zadygotał z oburzenia. – Nie będziemy tu tolerować mowy nienawiści.

– Zaprotokołowałem to – wtrącił ten z książeczką. – Okoliczności okolicznościami, ale ździra przeholowała i zapłaci karę porządkową.

Dolores chrapnęła i zrobiła dwa kroki w stronę wojskowych. Sam odchylił rondo kapelusza, by ich lepiej widzieć. Jeden z ochroniarzy zajechał mu drogę i wymownie położył dłoń na kolbie trzymanego przy strzemienu karabinu.

– Gdzie się pchasz, dziadku? – syknął.

– Sięgnij po ten karabin, niedoruchany kundelku – Sam niespiesznie cedził każde słowo – a będziesz musiał go sobie z dupy wyciągać.

Zabijaka zawahał się przez sekundę, najwyraźniej zaskoczony ripostą, potem wysunął broń z uchwytu o dwa cale, ale zobaczywszy, że na twarzy starszego mężczyzny nie drgnęła nawet jedna zmarszczka, nagle stracił rezon.

– Spokój, panowie – odezwał się wojskowy z książeczką. – Proszę nie przeskadzać w oględzinach przeprowadzanych przez komisję do spraw dialogu multikulturowego – zwrócił się do Sama. – Jeśli ma pan uwagi do pracy komisarzy bądź naszej firmy ochroniarskiej, proszę zgłosić je do delegatury w Fort Anderson lub centrali stanowej w Brussels City.

Sam splunął przez lewe ramię.

– O ile dojedziesz tam żywy – dodał jeden z zabijaków, profilaktycznie schowany za plecami innego. – Bo trochę Pierwszych Obywateli pewnie się tu kręci.

– Złego diabli nie biorą – odparł Sam.

– Proszę ważyć słowa, na litość Unii! – W głosie komisarza błąkało się zakłopotanie. – A co racja, to racja, jest tu bardzo niebezpiecznie. Jak już wspomnieliśmy, Czejeni mają wyczerpane kwoty mordy na ten kwartał, ale jeśli zabiją samotnego jeźdźca i ukryją ciało, wówczas nic nie możemy zrobić i w sprawozdaniu statystycznym musimy to zapisać jako po prostu zaginięcie. Jeśli nie ma pan palących spraw w Brussels City, to polecam wracać z nami do Miller's Cross.

- Mam palącą sprawę. Zabili mi tam przyjaciela.
- Och, wymiar sprawiedliwości na pewno się tym zajął.
- Tak jakoś wątpię.
- Doprawdy?
- Nazywał się Richard Ormsville.

Przez grupę ochroniarzy przemknął szmer, jak przez koronę drzewa targniętą porywem wiatru. Komisarze chrząknęli, nawet ten z lunetą w końcu przerwał lustrowanie okolicy, obrócił się do Sama i rzekł:

- Ma pan złe informacje, Richard Ormsville zginął z pojedynku.
- Doprawdy?
- Oczywiście, widziałem to na własne oczy. W pojedynku z Sally Epstein, najlepszą rewolwerowniczą na zachód od Missisipi.
- Re–wol–we–co...? – Sam przeżuł nieznane słówko. – A to dziwne... bo słyszałem, że jednak został zamordowany.

– Proszę nam wierzyć – dodał wojskowy z książeczką. – To był sprawiedliwy pojedynek. Nie ma sensu...

– Nie wierzę wam – warknął Sam i ruszył przed siebie, a ochroniarze rozstąpili się przed nim w te pędy, niemal tratując jeden drugiego.

Gdy dwie godziny później pomarańczowe słońce chyliło się za górami, zatrzymał Dolores, rozpakował sakwę i wyciągnął szare zawiniątko. Choć dłonie postarzały się o ćwierć wieku, rewolwery pasowały jak za dawnych lat. I choć o zmierzchu ustawiona na kamieniu puszka była ledwie widoczna z trzydziestu kroków, to pierwsza kula wyrzuciła ją w górę, a w powietrzu dopadły trzy kolejne. Dobrze powiadają, że pewnych rzeczy się nie zapomina.

Przez dwa kolejne dni drogi do Brussels City gdzieś na horyzoncie mignęły pióropusze Czejenów, którzy jednak preferowali zachowanie bezpiecznego dystansu. Bynajmniej nie dlatego, że nie chcieli przekroczyć kwartalnej kwoty mordu – prędzej jakiś diabeł im podpowiedział, że to jedzie ten Sam Wildcock i już z daleka robili w skórzane portki.

* * *

Brussels City miało się tak do Fort Anderson jak cała dupa do pryszcza na dupie. Prawdziwa metropolia, innymi słowy. Sam miał zignorować fakt, że z wysokoe-

misyjną kłaczą nie wolno wjechać do miasta, ale nijak się nie dało – ilość bramek i wartowników po drodze była zbyt duża, a nie planował na ten moment nikogo postronnego zabijać. Zostawił więc Dolores w stajni „Uwiąż i idź” i dalej szedł piechotą, choć za niewielką opłatą można było się wcisnąć na jakiś wóz drabiniasty kursujący do śródmieścia i z powrotem.

W sumie nie miał czego żałować, bowiem Brussels City było dla konnych prawdziwym koszmarem, z jakimiś płotami co chwila w poprzek drogi – tak wysokimi, że nie dało się ich przeskoczyć, ale trzeba było zwolnić do stępu, aby je ominąć. Jakby tego było mało, co chwilę ruch konny wstrzymywały trójkolorowe semafony. Gwoli ścisłości, piesi też całkiem lekko nie mieli, bo musieli non stop baczyć, by nie wpaść na pędzących na bicyklach pstrokato odzianych młodzieńców.

Jeśli owa Epstein – Sam wciąż nie mógł uwierzyć – była tak naj–naj–naj, to znalezienie jej nie powinno nastroczać problemu, wystarczy popytać w saloonach. Drobnym problemem polegało na tym, że w Brussels City nie było już saloonów, tylko restauracje i kluby. W tych pierwszych na fikuśnych talerzach podawano jakieś niewielkie porcje paszy dla bydła – znaczy się, ludziom podawano. W tych drugich damsko–męskie towarzystwo namiętnie dysputowało, używając dziwnych słów i sącząc z dużych kubaśków mleko zabarwione paroma ziarnami kawy.

A jednak... na horyzoncie mignął lokal przypominający może ciut za pstrokato ozdobiony saloon. Szylid wskazywał co prawda, że to klub, a dokładnie jakiś „Gay Club”, ale skoro w nazwie stało „wesół”, to może coś w starym stylu. Niestety w środku było jeszcze gorzej niż w innych przybytkach, bo całkiem zbrakło niewiast, a jak w lokalu ma być wesoło bez panienek?! Na dodatek ci goście... żeby chociaż różni w karty, ale nie, oni byli tacy jacyś dziwni, trochę jak znani dotąd tylko z opowieści – aż głupio się zrobiło starszemu mężczyźnie na tak krzywdzące skojarzenie – sodomici!

Gdy tak gapił się zdumiony, do przedsionka weszła trójka przebranych cuda-ków: dwóch młodych gogusiów i jedna niewiasta. Faceci byli odziani w ślubne surduty, z tym wszak wyjątkiem, że w miejsce fularu ziała wydarta dziura, odsłaniająca gołą klatkę piersiową. Niewiasta natomiast, nie dość, że w spodniach, to jeszcze miała koloratkę w kołnierzu czarnej koszuli, czyli całkiem jak u pastora! W dłoni zaś trzymała opasłą księgę z obwolutą pomazaną pasami we wszystkich kolorach tęczy. Gdy mijali Wildcocka, jeden z mężczyzn rzekł z nieskrywanym uznaniem:

– O, nie wiedziałem, że są jakieś występy grupy rekonstrukcyjnej. Świetne przebranie!

– A te rewolwery... – zachwyił się drugi – całkiem jak prawdziwe!

Zawróciwszy w drzwiach, Wildcock przyuważył stosik ulotek na różowym podście, a tam zaproszenie na wykład z udziałem niejkiej... Sally Epstein. Dziś o szesnastej, czyli za kwadrans, w klubie „Pod czerwoną generałką”! To mógł być wyjątkowo szczęśliwy zbieg okoliczności – tak z początku pomyślał Sam – albo fałszywy trop – tak pomyślał sekundę później, gdy doczytywał ulotkę:

...Sally Epstein, działaczka społeczna, pierwsza afroamerykańska absolwentka Ecole d'Egalite w Luizjanie i aktywistka safonistyczna z dyplomem Queer Academy w Bostonie (...)

Ki diabeł?

Już miał wyrzucić świstek, gdy jednak rozpędem oczu doczytał kolejnych parę słów:

...znana z akcji antyprzemocowych i antyszowinistycznych, jako wybitna rewolwerowczyni wyeliminowała w swej karierze (...)

Dwadzieścia nazwiska, a ostatnie Richard Ormsville. Więc jednak!

* * *

Odnalezienie klubu „Pod czerwoną generałką” nie nastroczało problemu, wystarczyło zapytać pierwszego z brzegu wymuskanego mieszczucha. Lokal mieścił się w samym centrum, przy przystanku wozów drabiniastych. Tam jednak, przed drzwiami, na Sama czekała niespodzianka w postaci zagradzającego przejście młodego człowieka w przyciasnej koszuli.

– Ja do pani Sally Epstein. – Wildcock wykrzesał z jasnego zakamarka duszy odrobinę uprzejmości.

Młodzieniec zlustrował Sama wzdłuż i wszerz, zatrzymując dłużej wzrok na pasie z rewolwerami.

– To jest wykład o takich jak ty, a nie dla takich jak ty – wycedził, nadęty jak indor. – Spadaj, bo zawiadomię policję municypalną.

– Kogo zawiadomisz? – Sam zaczął ostentacyjnie dłubać w zębie.

– Policję municypalną.

– A ktoś ty w ogóle?

– Selekcjoner.

Te nowe słówka przytłaczały.

– Znaczy się, wykidajło?

Teraz to młodzieniaszka dopadła konfuzja.

– Jeśli chciałeś mnie obrazić...

* * *

– Szkoła Frankfurcka argumentowała, że społeczeństwo postagresywne jest tak naprawdę społeczeństwem zdominowanym przez przemoc symboliczną... – Sally Epstein zrobiła pauzę, by nasycić się widokiem wpatrzonych w nią jak w obrazek słuchaczy. – Zatem potrzebujemy kolejnej dekonstrukcji, kolejnej reparadygmatyzacji, by trwale usunąć dziedzictwo patriarchy. Inaczej może nawet nastąpić regres do poprzedniej epoki, eskalacja przemocy, która, jak wiemy, niczego nie rozwiązuje...

Łubudu!

Rozważać, co wleciało do środka pierwsze: czy wyrwane z zawiasów drewniane skrzydło, czy rosły młodzieniec, byłoby – jak to się modnie mówiło w Brussels City – kwestią akademicką. Ważne, że przerwany został wykład, a oczy wszystkich zwróciły się ku drzwiom, czy już raczej ku futrynie. Sam wszedł niespiesznie, znów dłubiąc w zębie, a drzazgi zachręściły pod butami.

– Dzień dobry. – Zdjął kapelusz. – To znaczy... dla kogo dobry, dla tego dobry.

Ktoś zaczął piszczeć, większość się rozszeptala, ktoś czmychnął na zaplecze. Ktoś nawet, jakiś studencina w binoklach, w niezmierzonej głupocie zapytał:

– Eeee... yyy... czy to nie jakaś pomyłka?

– Synu, to miasto to jedno wielka pomyłka! – Wildcock zarechotał donośnie. – Ale ja chyba dobrze trafiłem...

„Szalenciec!”, szeptali co śmielsi, „on ma brrroń!”, jęczeli co bardziej ogarnięci. Sam tymczasem zlustrował wzrokiem zgromadzonych i zmarszczył brwi.

– Nic od was nie chcę, szukam tylko niejakiej Epstein.

– To ja!

Sprawy się nieco skomplikowały, więc przerwał dłubanie w zębach.

– Sally Epstein?

– Tak.

– Rewole... rewolwera... rewolwerówka Sally Epstein?

– Tak, aczkolwiek zasadniczo sprzeci...

– Jasny szlag – bardziej westchnął, niż zaklął, wpatrzony w spoconą grubaśną Murzynkę, której drżące łapsko ledwie trzymało kubek.

Stał tak przez moment jak słup soli, a sala w tym czasie milczała. W końcu wydusił z siebie:

– To TY zabiłaś Richarda Ormsville’a?

– Proszę się wyrażać w sposób cywilizowany – rzekła hardo, podsiorbując kawę. – Przeprowadziłam zabieg prospołecznej eutanazji metodą pojedynku.

– Strzeliłaś mu w plecy, tłusta dziwko.

– Nieprawda! – Omal nie zakrztusiła się kawą. – Walczę uczciwie!

Publika, która odzyskała nieco animuszu, szmerem wsparła wzburzenie aktywistki.

– Łziesz jak suka. – Sam splunął i zaczął powoli obracać się ku drzwiom. – Wszyscy tu łzecie i wszystko przekręcacie. Nie jesteście nawet warci, by marnować na was ołów...

Kubek trzasnął o blat.

– Proszę nie wychodzić! – Sally warknęła histerycznie. – Pan mnie obraził, pan obraził nas wszystkich i wartości, na których ufundowana jest Unia. – Omal się nie zapłula. – Żądam przeprosin, panie...

– Wildcock.

Szepty zgasły.

– Wildcock? – dopytała. – Sam „Kopacz grobów” Wildcock?

– Ano. Acz, po prawdzie, kopali to inni...

Szepty wróciły, dwakroć intensywniejsze. „Nie może być, tak młodo wygląda...”, „wezwijcie ochronę, gwardię unijną, służby specjalne...”, „zaraz nas wszystkich pozabija!”.

– To naprawdę ty, pamiętam rycinę z annałów psychopatologii społecznej... – rzekła Epstein, nie bez jakiejś dziwacznej fascynacji, po czym stęknęła z wysiłku i uniosła wielki zadek z kanapy. – Żywa skamielina, dinozaur agresji, istny *Agresjozaurus Rex*.

– Jak mówisz do mnie, mów po ludzku – syknął, wracając do dłubania w zębie.

– Chcesz po ludzku, ty spróchniały relikcie szowinizmu. – Znów się zapłula. –

To, dobrze, masz po ludzku: wyzywam cię!

Strzelił.

Śmiechem.

– A jednak nie wiesz, kim byłem. – Przetarł łezkę z oka. – Ja nie jestem wielorybnikiem, nie ubijam kaszalotów.

– A więc tchórzysz! – Trzęsła się z wściekłości. – W swym przeżartym seksizmem mózdzku boisz się afroamerykańskiej safonistki, która wyeliminowała już dwadzieścia takich jak ty wrzodów na zdrowej tkance społeczeństwa obywatelskiego.

– Ze mną miałabyś oczko.

– Co?

– Oczko, dwadzieścia jeden. W kartach.

– Aha... Od wprowadzenia ustawy o przeciwdziałaniu uzależnieniom...

– Posłuchaj, głupia jędzo, dwudziestu chłopu zdarzało mi się zabijać od piątku wieczorem do niedzielnego *Te Deum*. – Znów obracał się ku wyjściu.

– Ormsville gadał tak jak ty! – krzyknęła desperacko. – Gadał tak jak ty, a teraz gryzie ziemię po kulce, którą tam na ulicy dostał ode mnie! W uczciwym pojedynku!

Publika, mrucząc, jednogłośnie przytaknęła. Sam zatrzymał się z dłonią na futrynie i nie odwracając się, zapytał:

– Kiedy?

– Choćby dziś.

– Zaraz?

– Nie, tak to się nie da. Trzeba zamknąć ulice dla ruchu, przestawić szykany spowalniające, wypełnić wniosek w trybie przyspieszonym dla ratusza i lazaretu publicznego... Trzy godziny.

– Dobra. Diabeł będzie miał czas poszukać kotła na twoje wielkie dupsko.

* * *

Brussels City to był zdecydowanie Cywilizowany Zachód – nawet mierniczego ściągnięto z ratusza do oznaczenia na ulicy stanowisk dla pojedynkujących. Z okolicznych okien wyglądać zaś mogli tylko ci, którzy mieli świstki od rejenta z potwierdzeniem wykupu ubezpieczenia. Gorzej sprawa wyglądała z tłumkiem ciekawskich w bocznych uliczkach – mimo usilnych starań Policji Muncypalnej nie dawali się odgonić w bezpieczne miejsce parę przecznic dalej.

– Nie odrobuję lekcji, ale muszę to zobaczyć! – oznajmił kolegom jakiś śmielszy dwunastolatek.

– Eee, mnie rodzic A zabroniła oglądać takich rzeczy – westchnął drugi. – Poza tym jutro sprawdzian z herstorii...

– Ja też wracam do domu, pograć w „Europoly” – powiedział trzeci. – Tu nie ma nic ciekawego, Sally załatwi go jak tamtych dwudziestu.

Sam tymczasem otworzył cudem zachowaną do tej chwili ostatnią butelkę prawdziwej whiskey i sączył ją powoli na schodkach saloonu, to znaczy klubu. Pykał z fajeczki i uśmiechał się głupio do krążących niedaleko jak głodne psy, ale bojących się zbliżyć policjantów.

Kiedy wszystko było gotowe, pogwizdując pod nosem, ruszył równie prężnym, co wyluzowanym krokiem i zatrzymał się w wyznaczonym miejscu na ubitej ziemi. Jak ćwierć wieku temu, jak zawsze, przyglądał się twarzom gapiów po prawej i lewej... i pierwszy raz od paru dni poczuł ukłucie w sercu, bo więcej niż strachu widział pogardy, jakiegoś wręcz obrzydzenia. Ludzie patrzyli na niego krzywo, kręcili nosami i fukali między kęsami popcornu. Tylko jeden wyglądający zza kolumny piegowaty nastolatek miał w oczach szczenięcą fascynację...

Pomruki pogardy przeszły w westchnienia entuzjazmu, gdy ku swoim pozycjom jęła się zbliżać Sally. Sapała jak lokomotywa, jedną ręką przecierając spoconą twarz, drugą podtrzymując opadający poniżej fałdów brzucha pas z fikuśnymi rewolwerami o tęczowych kolbach. Przebrała się od wykładu w klubie, zastępując przyciasną, czarną kieckę „na szyneczkę” fioletowymi spodniami i koszulką z wyhaftowaną sentencją „kowboju, jestem profesorką, nie patrz na moje cycki” – tak jakby dało się je gdzieś wypatrzeć...

Gapie zamilkli. Słyszalny był tylko wiatr, który nawiał między pojedynkujących kłębek biodegradowalnych reklamówek. „Wybacz mi, Panie”, westchnął w myślach Sam, po czym dodał już na głos, uśmiechając się szelmowsko:

– Damy mają pierwszeństwo.

Bum!!!

Kula karabinowa trafiła Wildcocka centralnie w kręgosłup, zabijając na miejscu i darowując mniej niż sekundę na przebłysk zdumienia. Sally uniosła ręce w geście tryumfu, a zbędny pas z tęczowymi rewolwerami opadł na ziemię. Gapie nagrodzili owacjami rewolwerowczynię oraz wychodzącego zza węgła mężczyznę z karabinem – Pata Donaldsona, starszego komisarza do spraw wyrównywania szans i dyskryminacji

pozytywnej. Donaldson oddał broń asystentowi, ominął łukiem ciało Sama, podszedł do Sally i wyciągnął zza pazuchy plik kartek.

– Świetna akcja afirmatywna, panie komisarzu – skomplementowała rewolwerowczyni. – Szkoda, że chyba już ostatnia.

– Ja tam się nie martwię, jest tyle ciekawych rzeczy do zrobienia na wcześniejszej emeryturze. – Podał aktywistce formularz. – Jeszcze tylko odrobina papierkowej roboty, jak zwykle.

– Już podpisuję, tylko gdzie podziałam okulary...

Marek Ścieszek

DOM

Jakże ponure wrażenie sprawiają mijane krajobrazy. Pokryte połaciami śniegu czarne pola, upstrzone dodatkowo kraterami lejów oraz urozmaicone nasypami transei. Zniszczona ciągnącymi na zachód wojskowymi taborami droga, wijąca się pośród gołych pól niczym martwa żmija. A jeszcze przed chwilą zdawało się, że to miasto, które zostawili za sobą wraz z przechyloną tablicą z napisem *SOLDIN*, stanowiło obraz nędzy i rozpacz. Lecz gdy znikło za wzgórzem, przed nimi zaś rozpostarły się owe przerażające przestrzenie, którymi wszak mogli się napatrzyć po uszy w ciągu minionych miesięcy przez szczeliny między deskami wagonu, piersi na powrót wezbrały im smutkiem.

Henryk nie zamierzał skazywać rodziny na życie w labiryncie ciasnych ulic oraz zamienionych w gruzowiska kamienic. Czy jednak te bezkresne pola i gęste lasy подарują im miejsce, które będą mogli nazwać domem?

Nie mógł teraz powiedzieć Rosjanom, wiozącym ich wraz z dobytkiem na pakach dwóch GAZ-ów, że ogarnęły go wątpliwości. Wieś za wsią zachowywał je dla siebie. Starszyna siedzący w kabinie co jakiś czas odwracał się i patrząc we wsteczną szybę, kręcił głową z dezaprobatą. Nie potrafiło się pomieścić w jego wielkomiejskim leningradzkim łbie, że wybrali wieś zamiast miasta.

Ano wybrali. Henryk wybrał i przyglądając się ponurym wyludnionym miścinom, czując na sobie wzrok tubylców, ludzkich widm ukrytych za pozbawionymi szyb oknami, sam zachodził w głowę, czy nie uczynił tego pochopnie. Tam, w mieście, przez coraz liczniejszych Polaków już nazywanym Myślborzem, mogliby żyć w poczuciu bezpieczeństwa, słysząc wokół śpiewną kresową melodię mowy dziadków. Nieznane jeszcze miejsce, do którego na własne życzenie zmierzali, przywita ich ordynarnym germańskim szwargotem. Piekło i wieża Babel w jednym. Tego właśnie chce? Dopóki nie zostanie skierowany w tamte rejony pierwszy transport z repatriantami, być może właśnie oni będą jedynymi polskimi osadnikami. Nie w każdej tutejszej wsi za Niemca mieszkali jacyś Polacy. Ciężko będzie przyznać przed samym sobą, że znów obrońcą

przed Germaninem stanie się bolszewik – natarczywy sąsiad, co od wieków wpraszał się bez pytania i jeszcze oczekiwał za to podziękowań.

Na pace pierwszego samochodu, prócz Henryka, siedziała cała jego rodzina, łącznie jedenaścioro osób. Dziadkowie, ponuro zapatrzeni w przestrzeń niczym dwa wiekowe puszczyki, które znają życie od podszewki i mogłyby wiele o nim powiedzieć, tylko że nic dobrego, oraz żona z dziećmi. Aż tylu i tylko tylu. Powinno być ich tutaj o trzech więcej. Powinno, ale nie było. Bo najstarszego syna zabrano do robót gdzieś na ziemię Teutonów, dwaj kolejni zaś zostali na zawsze za Bugiem, martwi, opłakiwani przez matkę. Henryk widzi ich twarze za każdym razem, gdy zamyka oczy, i tych zabitych przez Niemców, i tego przezeń uprowadzonego. Kto teraz położy kwiaty na grobach Marcina, Mietka i wyszczypie z kopczyków młodą trawę? Kogo Maurycy zapyta o drogę do nowego domu?

Wieś, przez którą przejeżdżali teraz, zwała się Brugge, nie Nienborg. Kilkanaście murowanych domów z licznymi otworami po kulach. Kościół, nieduży raczej. Tuż przed otaczającym go murem droga rozwidlała się na wschód oraz południowy wschód. Ciężarówki zaczęły zwalniać już wcześniej, a na samym rozwidleniu się zatrzymały. Okienko z tyłu kabiny otwarło się z lekkim skrzypem, pojawiła się w nim wąsata, czerwona twarz starszyny.

– *Zdes budżet choroszo?*

Henryk powiódł dookoła wzrokiem. Pustka. Kompletne bezludzie, wyjałowione odwieczną nienawiścią, jaką jeden człowiek od zarania wieków żywił do drugiego człowieka. Szukał nowego miejsca, cichego i mało ludnego, lecz nie pragnął śmierci. Brak obecności choćby Rosjan, którzy by roztoczyli nad Brugge opiekę, dopóki nie przejmą jej władze polskie, nie zachęcał chwilowo do osiedlenia. Bo przecież mogli tu nadal się chować Niemcy, a ci, choć wybito im niemal wszystkie zęby, wciąż jeszcze potrafili drapać. Werwolf. Tak, to słowo obilo się Henrykowi o uszy podczas licznych przystanków w Kraju nad Wartą, gdy ich pociąg czasami nawet trzy dni oczekiwał na swoją kolej, a tuż obok przemykały na zachód wojskowe transporty z uzbrojeniem i zaopatrzeniem. Henrykowi przypominały one młodsze i bardziej łase krwi wilki w zmierzającej w jednym kierunku watasze, przebiegające obok starych i wynędzniałych, pozbawionych sił sztuk.

Ileż po drodze nasłuchiwał się opowieści o Werwolfie. Czy byli to prawdziwi ludzie, z krwi i kości? Ich pełne okrucieństwa akcje nie różniły się niczym od tego, co za sprawą band UPA działo się bliżej ujścia Dniepru, nad Dniestrem i Prutem. Henryk

niemało się nasłuchał z ust podróżujących tym samym pociągiem repatriantów. Czy zrobił dobrze, uciekając z miejsca, wolnego od bandytów ukraińskich, prosto w łapy bandytów niemieckich?

– Nie tutaj – burknął, oczekując po Rosjaninie przejawu zniecierpliwienia. Przecież to nawet nie ta miejscowość, o której mówiono im w Soldin. Ten jednak skinął tylko głową i szturchnął w ramię kierowcę.

Trzasnęły drzwiczki GAZ-a od strony kierowcy. Henryk usłyszał chrzęst kroków. Obok, ponad burtą, wyłoniła się twarz za grosz nieprzypominająca szczerego słowiańskiego oblicza, jakaś taka pyzata jak księżyc w pełni, ze skośnymi oczami ukrytymi w fałdach skóry niczym dwa zakalce w razowym cieście.

– *Sojditie. Zdes my goworim do swidania.*

Czego od niego chcą? Każą im zsiadać? Starszyna dostrzegł bezradne spojrzenie Henryka, jego oblicze rozciągnął przepraszający uśmiech.

– *My sobirajemsja k' Landsbergu. Wam dołżny pojti na wostok.*

Wschód. Tamten Nowogródek też był na wschodzie, ale pewnego ranka w ich domu pojawiło się kilku odzianych w mundury Sowietów i wyznaczyło termin do zachodu słońca na zabranie najniezbędniejszych rzeczy. Pojedziecie na zachód, mówili. Na nowe, tam, gdzie wasze miejsce. A teraz znów idą do Nowogródka, i choć to zupełnie inna miejscowość, to zmuszeni są wracać w tym samym kierunku, z którego przybyli.

Wychodzi na to, że od teraz pieszo.

Starszyna opuścił szoferkę. Przechodząc po stronie przeciwnej od skośnookiego żołdata, poklepał burtę. Ta załomotała w odpowiedzi głucho i ponuro niczym wieko trumienne.

– *Spakojna* – rzekł tylko i jał lustrować okoliczne zabudowania.

Gdy Henryk szykował się, by zeskoczyć na ziemię, czerwonoarmiejcy w liczbie czterech rozbiegli się po opłotkach. Znać było, że mają wprawę. Dowódca grupy tymczasem wyciągnął fajkę z kieszeni na piersi. Obserwowany przez Henryka, stuknął cybuchem kilkukrotnie o wnętrze lewej dłoni, patrząc w zamyśleniu w bure niebo. Znów się rozpada śnieg? – zdawał się mówić wyraz jego poznaczonej drobinami nie-spalonego prochu twarzy. Luty dopiero się zaczął i naiwnością było oglądać się już za wiosną. Starszyna zacisnął wargi na ustniku fajki, klepnął się po obu bokach. Czyżby zapomniał gdzie trzyma tytoń i zapalniczkę? – pomyślał Henryk. Nie. Nie zapomniał; z tej samej kieszeni, w której trzymał fajkę, wydobył szmaciany woreczek. Umieścił

szczyptę wijącego się zielska wewnątrz cybucha, po czym z prawej kieszeni szerokich spodni wyłowił zapalniczkę i odpalił ją jednym uderzeniem grzbietem dłoni. Henryk nie uważał, aby był to jakiś składak z łuski po naboju czy korpusu granatu; z daleka wyglądał jak Lumet, zapewne *trofiejnyj*, jak wiele innych drobnych przedmiotów, które wraz z przesuwaną się nieustannie na zachód linią frontu przechodziły na własność dzielnych wojów Batiuszki Josifa. Te większych gabarytów uwożone były przez ciężarówki oraz pociągi, w przeciwnym kierunku, tam, gdzie słońce się rodziło, czerwone jak serce proletariusza oraz gorące jak jego wierność komunistycznym ideałom.

Zapachniało tytoniem.

Z jednej z zagród podniósł się krzyk. W bramce pojawił się żołdat, popychający przed sobą szczupłego jegomościa w białej koszuli wywleczonej ze spodni i w poprzecieranej czarnej kamizelce. Chudzielec opierał się, ale słabo i jakoś bez przekonania. Zapewne nie tylko z powodu pepeszy, którą żołnierz trzymał, przewieszoną przez szyję, na brzuchu, oparłszy zawadiacko na kolbie dłoni. Armia wyzwoleńcza zdołała już dawno wpoić tubylczym ludom, tak polskim, jak i niemieckim, że *nietzja s nieju szutit*.

Przywiedziony przed oblicze dowódcy, stał drżący, rozglądając się lękliwie po otaczających go obcych. W szkiełkach okrągłych okularów w zwykłej drucianej oprawie odbijały się słoneczne refleksy przedzierające się zza chmur. Henryk nie miał wątpliwości, że ma przed sobą Szkopa, przedstawiciela plemienia, które zabiło mu dwóch synów, a jednego uprowadziło na koniec świata. Do niedawna niemiaszek patrzyłby na nich niczym wielmoża na swoich poddanych. Teraz kulił się, starając zajmować jak najmniejszą powierzchnię ziemi, którą wszak uważał za swoją.

– *Paljak?* – Głos starszyny stracił całą swą łagodność. Można by nim teraz szlifować zardzewiałe powierzchnie.

Henryk zaprzeczył ruchem głowy, zupełnie jakby pytanie było skierowane do niego.

– *Wot, Germaniec. Aloszka.* – Starszyna przyciągnął ku sobie żołdata, bodaj jedyne z oddziału, wyglądającego na Słowianina. – *Ty znajesz germańskij. Skazij jemu, szto my triebujem teljegu.*

Żołnierz z zapalem zabrał się za przepytywanie chudzielca. Dało się słyszeć powtarzane nieustannie: „*Wagen. Wo ist ein wagen?*”. Odpowiedzią było niepodobne do ludzkiego mamrotanie, z którego nie dało się wyodrębnić choćby jednego zrozumiałego słowa. Popchnięty w kierunku zagrody, z której uprzednio go wypędzono, tubylec

truchtał przed żołnierzem, kręcąc głową i mamrocząc.

Henryk już dawno zrozumiał, co się święci. Nie chciał odbierać niemiaszkowi jego własności, ale jeszcze większą niechęcią przejmowała go myśl, że miałby się wyklócać ze starszyną. Skinął dłonią na dziatwę. Ta opadła ze wszech stron obu ciężarówek niczym gruszki z targanych wiatrem grusz. Obu płci i najróżniejszego wieku, otoczyła ojca na podobieństwo własnego, prywatnego plutonu wojów, którym należy wydać rozkazy. Najstarszy, szesnastoletni Pietia, trzymał w dłoni otwarty kozik. Henryk odebrał mu go, złożył i wcisnął w kieszeń w jego pocerowanych portkach, po czym otwartą dłonią pacnął syna w łeb.

– Wieprzka będziesz szlachtował?

Pietia nie wyglądał na skruszonego.

– Co się szczerzysz? – Pytanie skierowane zostało do jednego z młodszych, Witka. – Pomóżcie zsiąść mamie i dziadkom.

Dziadek Paweł odtrącił pomocne dłonie wnucząt. Mlaskając i cmokając pod nosem, szedł z trudem na ziemię i sam pomógł zejść babci Maryni. Widać było, że się zasapał, ale obciągnął poły kozucha, głębiej nasadził na uszy czapę uszanke i podreptał w kierunku syna.

– Czego od nas chcą? – odezwał się zrzędliwie. – Nie mamy żadnych zegarków. *U nas niet czasy. Dieŋgi toże niet* – rzucił w kierunku Rosjan.

Henryk westchnął; na szczęście starszyna zaśmiał się i poklepał dziadka po ramieniu.

– *Spokojna, dieduszka. Uważenije dychanie. Was źdjet dolgij put’.*

– Nie pierwsza i nie ostatnia – zauważył starzec.

Henryk syknął na dziadka. Szczęśliwie rozległy się znajome dźwięki i oczom rodziny przesiedleńców ukazał się zaprzężony w brudnego siwka wóz drabiniasty. Jeden z żołdatów otworzył bramę, inny siedział na koźle. Pojazd wytoczył się z hurkotem na ulicę i podskakując na kocich łbach, podjechał chyżo burta w burtę z zamykającą transport ciężarówką, zupełnie jakby się szykował do abordażu. Nie było to dalekie od prawdy.

Za wozem podążał Niemiec w okularach. Zatrzymał się na skraju drogi, przyglądając się w ponurym milczeniu, jak graty przybyszy metodycznie zmieniają lokalizację, przenoszone przez polską rodzinę oraz trzech żołnierzy z ciężarówek na jego wóz. Jeden z żołdatów obserwował otoczenie, nie ściągając dłoni z kolby pepeszy. Dwaj pozostali, w tym starszyna, któremu znudziło się całe to zamieszanie, czekali w

kabinie prowadzącego GAZ-a. Henryk czuł na sobie palące, nienawistne spojrzenie Niemca. Gdyby wzrok mógł zabijać, wiliby się teraz wszyscy na brudnym bruku w niewyobrażalnych męczarniach. Zdało mu się jednocześnie, że obserwowani są ze wsząd, z każdego okolicznego budynku. A nawet z wieży kościelnej. Zapewne niewiele było w tym przesady – wieś z pewnością nie wyludniła się całkowicie wraz z nadejściem frontu.

W obecnych realiach, gdy narody wzajemnie się zabijały, a inicjatywa przechodziła z jednej strony na drugą, zabór wozu wraz z koniem zakłamać można było konfiskatą mienia. Skutecznie tłumilo to poczucie winy. W każdym innym momencie dziejów ludzkości była to zwykła kradzież. Chociaż od Niemców nic dobrego ich nie spotkało, Henryk złożył sobie samemu solenne przyrzeczenie, że wszystko, co wziął okularnikowi, zwróci. Jak tylko rozsiądzie się na nowym i wrośnie weń należycie, zapuści korzenie, poczuje pod nogami stały, solidny grunt. Gdy tylko glob przestanie się pod nimi przetaczać niczym dmuchana piłka pod psem cyrkowym.

Póki co potrzeba silniejsza była od poczucia winy. Ładował więc wraz z dziećmi graty, starając się nie myśleć o dziesiątkach par oczu, wlepiających się weń zza poznaczonych otworami po kulach czy wręcz całkowicie pozbawionych szyb okiennic. Na koniec przywiązał solidnie starannie wybrane elementy stosu rupieci i dla pewności brzdęknął sznurkiem, sprawdzając jego naciąg.

Odszedł kilka kroków w tył. Dziadkowie, siedzący na koźle, okutani w futra i nakrycia głów, czekali cierpliwie. Reszta tałatajstwa otaczała wóz na podobieństwo hordy Tatarów.

Idąc pod górę śliskim, mokrym brukiem, widzieli jeszcze ciężarówkę. Rosjanie czekali, aż wyjdą z wioski. Na szczycie wzniesienia, na które wspinała się droga, dobiegł ich długi pożegnalny klakson oraz oddalający się warkot silników. Zostali sami.

Ilu mogło być jeszcze Niemców w Brugge?

Henryk pozwolił wysforować się rodzinie kilka metrów na przód, by odwrócić się i otaksować spojrzeniem ostatnie domostwa wsi. Wyglądały na opuszczone. Droga również nikt za nimi nie podążał. Bezpieczeństwo mogło się wydawać złudne. Jak długą mieli jeszcze przed sobą drogę? Ile minie godzin mozolnej wędrówki wśród pól i samotnych gospodarstw, równie niebezpiecznych jak nie do końca opustoszałe Brugge, nim dotrą do celu?

Nienborg – wszak nie inaczej jak Nowogródek po ichniemu. *Nienborg, Landkreis Soldin, Regierungsbezirk Frankfurt* czyli Nowogródek w powiecie myślibor-

skim. Z tym, że już nie w rejencji frankfurckiej.

Tak im powiedziano w Soldin.

Podobno są tam Rosjanie. Działa komendantura radziecka. I są inni Polacy, tam z dawien dawna osiadli. Niewielu, którym udało się przetrwać przesiedlenia hitlerowskie, ale jednak. Może dwie albo trzy rodziny. Oraz mnóstwo pustych mieszkań, domów i gospodarstw. Dowiedzieli się również, że to nie dalej jak piętnaście kilometrów ze stolicy powiatu, co w przeliczeniu na wiorsty daje jedną mniej. Więcej jak połowę przebyli sowieckimi ciężarówkami, więc ile mogło jeszcze pozostać? Pięć wiorst?

Otaczały ich pola. Po lewej na odległość ćwierci kilometra podchodziła ściana lasu. Daleko przed nimi, ledwie widoczne poprzez pofałdowany teren, widniały czerwone dachy pojedynczych zabudowań. Samotne gospodarstwo. Zapewne będą przechodzić tuż obok.

Kopyta wybijały niemrawy rytm na kocich łbach drogi. Repatrianci nieśpiesznie wspięli się na jedno wzniesienie. Dalej było kolejne. I jeszcze jedno. Lewą stroną rzeczywiście minęli zabudowania, które widzieli od samego Brugge. Potem inne, prawą stroną. Wdrapali się na dwa kolejne wzgórza. Pomału, aby nie pojechać w dół na zadkach, dotarli do samego odnoża następnego, gdzie droga zakręcała na przecięciu głębokiego rowu melioracyjnego w lewo. Przekroczyli linię drzew, porastających skraj rowu. Pokonali jeszcze jedno wzniesienie, coraz bardziej zmęczeni, dyszący parą spod chust oraz szalików niczym stadko ożywionych parowozów.

– Tata, popatrz.

Gromadka repatriantów zatrzymała się wraz z wozem. Nawet koń zapatrzył się w dal i poruszył w zadumaniu łbem.

Daleko przed nimi, ledwie widoczna w zamgleniu, rozpościerała się wieś. Liczne skupisko dachów. Jej najwyższy punkt stanowiła wieża kościoła. Wszystko odległe i niedostępne niczym fatamorgana.

– To tam?

Henryk nie miał pojęcia. Wieś wyglądała na dużą, większą niż Brugge, i bez porównania rozleglejszą niż całkiem mały Schlegelsburg. Nic prostszego, jak się przekonać samemu.

– Zobaczymy – mruknął. – Nie stójmy tak. To nie więcej jak dwie wiorsty.

Tylko że im bliżej celu, tym droga jakby bardziej się dłużyła. Z pustych pól po obu stronach traktu leciały silne podmuchy zimnego wiatru, wciskającego się w najmniejsze zakamarki odzienia. Wieś przed nimi wydawała się jakimś szarym, nieod-

gadnionym Rajem, do którego zmierzają błędzące w półmroku dusze. Kiedy zbliżyli się na tyle, by widzieć więcej, dostrzegli coś wyróżniającego tę miejscowość od tamtych, które pozostawili za sobą – dymy z kominów, ulotną, lecz wyraźną metaforę ludzkiej obecności. Więcej niż dziesięć dymów. Dużo więcej. Wieś żyła nadal, na przekór fali zniszczenia, jaka się przez nią przetoczyła.

Najmłodsze córki dawno już dołączyły do dziadków na koźle, zbyt małe, by wytrwać w marszu. Michajło, jeden ze średnich, jechał na oklep na siwej chabecie, niczym ledwie odrosły od ziemi foryś. Dwaj najstarsi z przychówku, Pietia i Witek, wysforowali się naprzód, obojętni na napomnienia matki. Pierwsi dotarli do tablicy z nazwą wsi, przechylonej pod sporym kątem ku ziemi.

Henryk musiał przekrzywić głowę, by przeczytać napis.

– Nienborg. – Byli na miejscu. – Trzymajcie się blisko wozu – przestrzegł, zwłaszcza tych najstarszych, którym wbrew kolejnym zdobywanym w pocie czoła guzom i sińcom nieustannie się wydawało, że brawura to dokładnie to samo co odwaga.

Pierwszych ludzi zobaczyli już w opłotkach najbliższych zabudowań. Stali za ogrodzeniami, przyglądając się w milczeniu obcym. Trudno było orzec, jaki mieli stosunek do nowych mieszkańców; ich pozbawione wyrazu oczy nie wyrażały zainteresowania, kim są przybysze.

Mężczyzna, kobieta i dwoje dzieci, stojący na ganku domu, odprowadzający ich wzrokiem. Dobywający się z komina dym. Kilka kolejnych opłotków. Dalej tylko mężczyzna w kufajce, zastygły w pół ruchu z siekierą w dłoni, brodaty jak pop, odziany w grube futro, niczym udomowiony niedźwiedź potrafiący wykonywać najprostsze sztuczki, lecz po wykonaniu każdej czekający potulnie na nowe polecenie. Po drugiej stronie brukowanej ulicy gospodarstwo ukryte za wysokim płotem z niemal szczelnie zbitych dech. W szczelinach jakiś ruch, ślepia błyskające jak latarki, szepty, niepodobna stwierdzić w jakiej mowie. Uliczki odchodzące na boki względem głównej, a dalej: mały rynek. Wieś rozlokowana na podobieństwo miasteczka. Taki był ten ich nowy Nowogródek, w pierwszym okresie po wyzwoleniu nie całkiem inny od starego.

Na placu, niemal przy samym wjeździe, tuż obok rozłożystego dębu, siedziało na murku dwóch żołnierzy w sowieckich mundurach. Patrzyli na ich toczący się po kocich łbach majdan w ten dziwny, charakterystyczny dla wschodnich Słowian sposób, na poły filozoficzny, sentymentalny, lecz przede wszystkim tuż pod powierzchnią postrzegania dziki i nieodgadniony. Kiedy karawana złożona z ludzi oraz jednego wozu się zbliżyła, obaj wstali, a jeden ujął końskie wędzidło i zmusił pochod repatriantów do

zatrzymania się. Drugi, podparłszy się pod boki, otaksował ich władczy spojrzeniem, przewiercającym na wylot niczym świder miękką lipową deskę albo żarzący się węgiel rzucony w hałdę śniegu. W tym wschodnim społeczeństwie każdy czuł się władcą i carem, dopóki wydawało mu się, że ma do czynienia z mniejszym od siebie. Prawdziwa władza sprawiała, że z miejsca stawał się niewolnikiem, gotowym paść na kolana i bić czołem o ziemię jak przed Bożym majestatem.

– Skąd idiecie? – Posługiwał się łamanym polskim. Może nauczył się w czasie dzikiego gonu za Niemcem, a może płynęła w nim jakaś rozwodniona domieszka tu-tejszej krwi. Na oko równie dobrze mógł pochodzić z Moskwy, jak z Kowna czy Tarnopola. A nawet, dopóki nie otworzył ust, z Warszawy.

– Z Nowogródka w *horodienskoj wobłasci*.

– Nie o to pytam. Wysładili was w Tempelhof czy w Soldin?

– W Soldin.

Zza konia wyłonił się drugi żołdat. Tego w żaden sposób nie można było posądzić o związek z jakimkolwiek europejskim krajem. Widok mongoloidalnego oblicza kazał się zastanawiać, czy jego właściciel jeszcze przed miesiącem czy dwoma nie polował na foki gdzieś pod kołem podbiegunowym. Stał za plecami Henryka. Pepeszę nosił przewieszoną niedbale za plecami. Poklepał po kolanie siedzącego na siwku Michajłę, uśmiechnął się do dziewczynek wciśniętych między babcię a dziadka, czym wcale sobie nie przysporzył u nich sympatii.

– Dokument jakiś – ozwał się sowiecki poliglota. – Karta repatrianta.

Przeczytał podany mu świstek, podkładając niemal pod same oczy. Krótkowidz. Wargi bezgłośnie się poruszały, sylabizując bezcielesne słowa.

Henryk czekał cierpliwie, zmuszając się niezwykłym wysiłkiem woli, by nie odwrócić się ku temu drugiemu, nabrzniałemu na twarzy, przywodzącej na myśl ciasto rosnące w dzieży. Słyszał tylko zirytowane posapywanie konia.

Uczony żołdat odczytał kolejno ich imiona. Odnalazł na karcie poprzednie miejsce zamieszkania. Pokiwał głową z głębokim namysłem.

– Wy musicie iść z tym do dowódcy komendantury wojennej. Samowolnie nie można się osiedlać.

– A gdzie go szukać, tego komendanta?

– Kirsan was zaprowadi. Kirsan.

Żołdat wyłonił się bezszelestnie przed Henrykiem niczym księżyc zza oczeretów. Równie jak miesiąc pucołowaty i niepojęty. Rzucił kilka słów, skinął ręką i nie czekając

na nich, ruszył w kierunku lewej odnogi rynku. Henryk złożył odebrany dokument i schował na powrót do kieszeni. Gdzieś za nim dziadek Paweł cmoknął na konia i trzepnął lejcami.

Nienborg, niegdyś, w zamierzchłej przeszłości musiał być miastem; świadczyła o tym sieć uliczek odchodzących od centralnego rynku, łącząca się z innymi w kwartały. Każdą z nich można było dotrzeć z powrotem na plac rynkowy z co najmniej dwóch stron. Repatriantów poprowadzono w lewo, potem w prawo, a po stu pięćdziesięciu arszynach, czyli nieco ponad stu metrach, ponownie w lewo. Weszli w olbrzymi podwórzec z trzech stron niemal szczelnie otoczony długimi budynkami. Dwa z nich były gospodarcze, jeden bez wątplenia mieszkalny. Na dziedzińcu zobaczyli wojskowe ciężarówki. Najwięcej stało tu ZiS-ów „Piątek W”, z drewnianymi kabinami, bo aż trzy. Był też jeden GAZ AA, identyczny jak te, na których pakach opuścili Soldin. Wokół kręciło się kilkunastu Rosjan w zimowych mundurach.

Kirsan, posługując się gestami oraz zabawnym cmokaniem, nakazał im zatrzymać się bliżej niskich zabudowań, tuż na lewo od bramy, po czym skinął dłonią na Henryka. Przed drzwiami wejściowymi zatrzymał się jednak, poprawił czapkę i obciągnął mundur; pepeszę już znacznie wcześniej przełożył na piersi. Kiwnął kilkakroć palcami, a widząc, że jest niezrozumiany, westchnął dramatycznie i palcem postukał kieszeń na piersi Henryka. Papiery. Chodziło mu o kartę repatrianta. Odebrawszy ją, gestem nakazał Polakowi pozostać na zewnątrz, po czym zniknął za drzwiami.

Henryk na powrót założył czapę, którą zdjął, idąc za żołdatem w przekonaniu, że wraz z nim już za chwilę stanie przed obliczem wyższego oficera, kto wie, może nawet samego komendanta. Zamiast tego, blisko pięć minut później, drzwi się otwarły i stanął w nich człowiek w cywilnym odzieniu. Podeszedł doń szparkim krokiem, z wyciągniętą już z daleka dłonią. Henrykowi nie pozostało nic innego, jak ją uścisnąć. Uścisk był mocny, męski.

– Nazywam się Konrad Leonowski. Jestem zastępcą do spraw gospodarczych komendanta radzieckiej komendantury wojskowej w Nienborgu. – Rozejrzał się. Wskazał głową wóz, stojący opodal bramy. – To pańska rodzina? Dołączmy może do niej, powiem, co i jak.

Pietia z Witkiem kręcili się przy ciężarówkach, zaglądając do kabin. Przywołani przez ojca, podeszli doń z widocznym oporem.

Na miejscu nowy znajomy przywitał się kolejno z każdym członkiem rodziny, po starszeństwie zaczynając od dziadka, kończąc na małym Michałku, którego w mię-

dzyczasie zdjęto z siwka. Kobietom skinął głową, zdjąwszy uprzednio czapę, do dziewczynek się uśmiechnął. Henryk przyglądał mu się, zachodząc w głowę, czy jest to jedynie pokaz, czy też emanacja faktycznego charakteru mężczyzny. Akcent, pełen miękkich, śpiewnych głosek, wskazywał, iż był to człowiek ze wschodu, znad Niemna lub Dźwiny. Bez wątpienia krajan – może stąd ta wylewna zażyłość.

Leonowski ujął go za łokieć i razem podeszli bliżej dziadka.

– Miło mi spotkać rodaków spod Grodna – rzekł, zamykając wszelkie domysły.
– Jesteście pierwszą rodziną repatriantów w naszej miejscowości. W dalszym czasie spodziewamy się następnych, wraz z kolejnymi transportami ze wschodu. Mamy tu również trzy inne rodziny polskie, łatwiej więc będzie się wam zaaklimatyzować. Więcej, póki co, jest rodzin niemieckich, to prawda, ale nie ma się czego obawiać z ich strony.

– Každy Niemiec to bandyta.

Leonowski zaśmiał się na wtret dziadka.

– Ci, którzy tu zostali, wybrali Polskę.

– Werwolf też tu został.

Tym razem śmiech zastępcy komendanta, na słowa Henryka, wyraźnie dźwięczał sztuczną nutą.

– Na naszym obszarze nie stwierdzono działań Werwolfu. Możecie spać spokojnie, Armia Radziecka nas strzeże.

Dziadek otworzył usta, ale na widok spojrzenia syna zamknął je natychmiast.

Leonowski poprawił czapę i powoli ruszył w kierunku bramy. Przesiedleńcy prowadzili go wzrokiem jak na sznurku. Wyszedł na ulicę, odwrócił się i rozpostarł ramiona niczym prorok błogosławiący wiernych.

– To teraz również wasza wieś – zawołał. – Większość domów jest pusta, możecie wybrać ten, który wam się najbardziej spodoba. Te niezamieszkane oznaczone są na płotach, bramach lub drzwiach czerwonym iksem.

Zamilkłszy, włożył dłonie w kieszenie. Przygarbił się, plecy wystawił na wiatr, wyraźnie czekając, aż postanowią się ruszyć. Henryk poklepał siwka po boku, skinął głową dziadkowi. Nestor rodu poruszył lejcami i cmoknął, wprawiając ponownie w ruch cały ich majdan.

Henryk zrównał się z Leonowskim; szli razem.

– Dostanę z powrotem swoje papiery?

– Razem z nowymi, dokumentującymi przydział nowego mieszkania oraz pa-

roma innymi. Czeka was mnóstwo spraw formalnych. Ale o tym jeszcze nie dzisiaj.

Kopyta końskie wygrywały na kocich łbach klekoczącą serenadę. Widownią byli obserwujący ich zza opłotków miejscowi. Tu i ówdzie w oknie poruszyła się zasłona, załśniło blade ludzkie oblicze. Z jednej z bram wytoczyła się szmaciana piłka, w krok za nią, nie dalej jak dwadzieścia metrów przed koniem wypadł chłopiec, może ośmioletni. Pochylił się, złapał swoją własność, wyprostował się i... zobaczył przybyszy. Zastygł w bezruchu, z otwartymi szeroko ustami, jakby dostrzegł kordon widm. Skądś rozbrzmiał krzyk. Imię. Nie polskie. Chwilę później pojawiła się kobieta otulona wielką wełnianą chustą, spowijającą głowę i ramiona. Machnęła kilkakroć na dzieciaka, a gdy podbiegł, popchnęła go i odgrodziła się od ulicy furtą.

– Czym zajmowaliście się w Nowogródku?

Henryk wlepił wzrok w pomocnika komendanta. Czemu dopytuje? Choć Polak, służy Rosjanom, należy ważyć słowa.

– Przed trzydziestym dziewiątym prowadziliśmy małą aptekę. Jestem z zawodu farmaceutą. Tak samo jak moja żona. Potem, za Niemca, wszystko straciliśmy. Zostały nam dwa pokoje nad apteką.

– W jedenaście osób?

– Czternaścioro nas było przed tamtym wrześniem. Trzech synów straciliśmy na wojnie. Ojcowie opuścili swoją wieś ładnych parę lat wcześniej i zamieszkali z nami. Wieś zwała się Przewoże.

– A tutaj czego się spodziewacie po nowej własności? Pytam, bo łatwiej się będzie na coś zdecydować, gdy wiadomo, czego się szuka. Co to ma być? Mieszkanie w wielorodzinnym domu? A może własne gospodarstwo?

– Wszystko jedno. Byle było nasze.

Mężczyzna skinął głową. Zatrzymali się na rozwidleniu dróg. Leonowski wskazał ruchem głowy.

– Ta droga prowadzi do Gut, czyli poniemieckiego dworu i stawów rybnych. To duże mieszkanie. W sam raz dla tak licznej rodziny. Gdyby jechać dalej na wschód, drogą polepszającą się już w Kienitz, najbliższym dużym miastem jest Berlinchen. Tam bądź też w Soldin moglibyście wrócić do zawodu.

– To, co było, minęło i nie chcemy już do tego wracać.

– A czym chcielibyście się zajmować? Własnym gospodarstwem? W Nowogródku raczej nie posiadaliście żadnych ziem.

– Mam kilka umiejętności.

– Jesteście farmaceutą, to może, póki się nie dorobimy lekarza, zajęlibyście się felczerką?

– Czemu nie? W ostatnich latach wojny liznąłem tego trochę. Umiem nastawiać kości, zszywać rany i usuwać z ludzkich ciał wszystko to, co inni ludzie uparli się w nie upychać: kule, szrapnele, ostrza noży, bagnatów, widel, odłamki kos...

– Dobrze więc. Idźcie w kierunku Gut. Nie dalej jak kilometr stąd będę na was czekał.

Klepnął Henryka poufale w ramię i wrócił żywo tą samą drogą do siedziby komendantury.

Rzeczywiście, ledwie minęli połowę drogi, gazik z Leonowskim na fotelu dla pasażera wyprzedził ich z donośnym trąbieniem i znikł między zabudowaniami folwarku. Zobaczyli, jak zjeżdża z drogi w lewo oraz wzbija chmurę pyłu z pobocza. Pięć minut później sami byli już na miejscu.

Zastępca komendanta stał podparty pod boki, taksując wzrokiem budynek dworku, jakby widział go po raz pierwszy. Kilkanaście metrów dalej wznosił się wysoki komin gorzelni, a naprzeciwko dworu, oddzielony odeń brukowaną drogą, dziedziniec, zamknięty z trzech stron budynkami. Prawdziwy, opuszczony przez germańskich właścicieli, folwark. Dobrze utrzymany, ze stawami rybnymi, o których wspomniał Leonowski, oraz gorzelnią, zniszczoną wskutek działań wojennych, z pozostałościami w postaci komina – niemego, podziurawionego kulami świadka wydarzeń.

Kierowca gazika zaciągnął się z grzbietu dłoni tabaką, kichnął siarczyście, otarł nos o rękaw wojskowej kufajki. Ktoś podszedł, wtulił się w bok Henryka, położył głowę na jego ramieniu. Katarzyna, jego żona.

Henryk patrzył na dom. Wokół działo się tyle, że nie sposób było ogarnąć. Leonowski się uśmiechał, stojąc podparty pod boki jak turecki basza. Starsze dzieciaki już wbiegały na schody prowadzące do środka. Dziadek ścigał z wozu babcię Marynię, sapiąc i utyskując na lenistwo młodych. Dziewczynki siedziały na koźle jak trusie. Gdzieś z oddali echo niosło szczekanie psa. A może to był wilk? Wiatr trąbił przez pustą tubę komina. Zaczynał z lekka sypać śnieg.

A na wprost, jak już zostało powiedziane, stał dom. Duży. Murowany, kryty dachówką. Bez kilku szyb, ale ich własny. Nowy.

Grzegorz Piórkowski

STRACHY

Każdy z nas ma jakieś strachy. Walczymy z nimi przez całe życie. Po trochu, bitwa po bitwie, potyczka po potyczce, strach mówi, że nie zrobisz, ty mówisz, że zrobisz. Potem zazwyczaj nie robisz. Bo on wygrywa w takich sytuacjach, gdy się go bierze po kawałku. Bo jak się nie ma wiele do stracenia, to łatwiej się poddać. Inaczej jest, gdy się walczy o wszystko. Żeby pokonać strach, trzeba się bić na serio. Teraz albo nigdy, stoczyć potyczkę z własnym strachem.

Albo cudzym.

Tym razem jeden skoczył za mną w podróż. Nie wiem, jak to było możliwe – nagle całą rzeczywistość wywróciło do góry nogami i znalazłem się z nim sam na sam w lesie, na mokrych liściach, w ciemności rozpraszanej tylko nieznacznie przez światło księżyca, którego tarcza spoglądała spomiędzy iglastych konarów.

Nie miałem czasu się przyglądać.

Strach nie był mój. Przypominał posturą Bigfoota – długie, mocarne łapska, chodził zgarbiony, warczał wściekle. Chciałem się podnieść, ale podróż zawsze łapie nieoczekiwanie, więc to on podbiegł do mnie – jakoś otrząsnął się z tego szybciej, nie musiał się pewnie zastanawiać nad tym, dlaczego w ogóle przeniosło go ze mną, dlaczego w ogóle się nie rozpląnął, tylko tak został – złapał za fraki i rzucił o pobliskie drzewo. Wyrznąłem w pień, przed oczami rozbłysło mi purpurowo, jęknąłem przeciągle.

On też zawarczał i ruszył w moją stronę. Wtedy zaczynałem już kontaktować, sięgnąłem po pistolet; nie zdążyłem go wyjąć, zanim mnie porwało.

Ten Bigfoot był czarny, ledwo co widziałem kontury – jedyną moją szansą na trafienie były jego rozmiary, miał ze trzy metry. Wyszarpnąłem pistolet, wypaliłem na oślep.

Trafiłem go w ramię.

Niebieski błysk pofrunął między drzewami, przez chwilę oświetlił wszystko bardzo wyraźnie, błękit odbił się w mokrych liściach, przysłonił księżyc w kałuży, odbił

się w czarnym ślepiu zdziwionego stwora, który zaraz zaryczał, gdy rozlało się po nim światło; niewystarczające, żeby go zabić.

Był już przy mnie, zanim zdążyłem wypalić drugi raz.

W chwili przed śmiercią pomyślałem, że mnie po prostu rozszarpie, złapie za głowę i wyrwie razem z kręgosłupem, coś takiego. Ale nic z tego. Złapał mnie za ramię, przydusił do ziemi, twarzą w te mokre liście, czułem, jak gałęzie wbijają mi się w policzek, jak trzesczą stawy, jak zaczynają pękać kości. Ostatnim wysiłkiem, rycząc z bólu, próbowałem wycelować w górę, żeby w niego trafić.

Wtedy pofrunął następny niebieski promień, stwór dostał po raz kolejny, teraz zapalił się purpurowo, potem przeszło to w czerwień, żółć, aż w końcu mnie puścił, rzucił się na jedno drzewo – huknęło, pniem zatrzęsło – przewrócił drugie, mniejsze, a potem padł na ziemię i zdechł.

Nabrałem powietrza, zrobiło mi się ciemno w oczach, ale ostatkiem sił przekreśliłem się na plecy i obróciłem głowę w kierunku, skąd padł strzał.

Sapałem głośno, nasłuchiwałem, ktoś deptał mokre liście i szedł w moją stronę. Postać stanęła nade mną, nie widziałem twarzy, widziałem pistolet w dłoni, którego lufa jeszcze żarzyła się błękitem.

Niemożliwe, pomyślałem. Chyba że rzuciło mnie tak samo, tylko gdzie indziej. Może dlatego ten cień nie zniknął.

Albo mogę ze sobą je zabierać. Strachy. Bo strachy są wieczne.

Zakaszlałem, gdy mój wybawca się nade mną nachylił.

Wyjął karbidową lampkę, zaświecił mi w oczy.

Zamknąłem je szybko, na powiekach został tylko rozmazany powidok, zielone pozostałości po liściach i drzewach, zawirowało to wszystko, padłem na ziemię, od podróży kręciło mi się w głowie, może nawet dostałem wstrząsu mózgu, gdy tak mną rzucił o drzewo; usłyszałem jeszcze tylko, jak kobieta powiedziała:

– A niech cię.

Odwróciłem głowę na bok, zwymiotowałem i straciłem przytomność.

* * *

Obudziłem się na łóżku; po prawej okno, świeciło słońce, ciężkie zasłony odsunięte, promienie słońca rysowały negatyw okien na podłodze, w tych promieniach tańczyły drobiny kurzu. Uniosłem się, rozkaszałem, pierwszą myślą resztką wspo-

mnień: straciłem przytomność, potwór, pistolet. Miałem na sobie tylko gacie i jakąś koszulę, nie moją, więc druga myśl: gdzie moje rzeczy? Moje rzeczy leżały obok, na krześle, na blacie biurka nieco dalej pistolet i skrzynka.

Gdy je zobaczyłem, opadłem na poduszkę.

Kobieta.

Zastrzeliła to wielkie monstrum.

Nie wywiało mnie daleko.

Karbidowa lampka – pomyślałem nagle. Karbidowa lampka w czasie, gdy odległości przestały mieć znaczenie? Spróbowałem wywołać cokolwiek, jakiś kontakt, najprostszy algorytm. Powinienem móc to zrobić w każdym miejscu na świecie.

Nic. Nic mi nie wyskoczyło przed oczyma. Gdyby to był koniec świata, to nie lampka, co najwyżej jakaś latarka. Ale nie aż takie starocie.

Zero sygnału. Żadnego kontaktu, opaska nie działała, dioda czerwieniła się, gdy ją obróciłem, podstawiłem pod oczy. Założyłem, że znaczy to brak sygnału. Jeszcze nigdy nie widziałem czerwonej diody.

A ta kobieta wypaliła w niego z kołysanki. Ciekawe, czy wiedzą tu, co to jest silnik Diesla.

Zwlokłem się z łóżka, walcząc jeszcze z zaspaniem, z sennością, mówiącą, że wszystko może poczekać. Złapałem pistolet, złapałem katalizator, wróciłem do łóżka, gapilem się w sufit, trzymając je w rękach. W moim przypadku nic nie może poczekać. Mogę iść w podróż w samych gaciach, ale tych przedmiotów wołałbym się nie pozbywać.

Zasnąłem; obudziły mnie otwierane drzwi.

Wniosła dzbanek i tacę z jedzeniem, postawiła obok mnie, stanęła w nogach łóżka, patrząc z góry. Nic nie mówiła, i ja też nie, leżałem tak tylko z pistoletem w jednej i katalizatorem w drugiej ręce, co musiała uznać za dość śmieszne, ale oczywiście nie chciało mi się tego tłumaczyć. Nic zresztą nie mówiła.

Rzeczywiście byłem głodny. Położyłem sobie katalizator na brzuchu i sięgnąłem po kanapkę.

Mogłem się teraz uważniej przyjrzeć kobiecie. Zmarszczki – bruzdy przy oczach, wysunięty podbródek, spracowane ręce z guzami na paliczkach. Sztywne ruchy. Ręce drżały lekko, chociaż bardzo chciała, żebym tego nie zauważył. Zadbane włosy. Kiedyś była całkiem ładna.

Patrzyła się na mnie uciążliwie, nie mogła oderwać wzroku, co chwila tylko

przekrzywiła głowę, w tę i we w tę, wzdychała ciężko, mrugała, i uśmiechała się.

– Miałaś szczęście, że akurat byłam niedaleko – powiedziała w końcu.

– Skąd wiedziałas co...

– Mam – pokazała palcem – ten pistolet. I wiem, co to było, ten potwór. Jest tu ich dużo. Przez mojego ojca.

– Tu?

– O tak. Tu. Przyłazą czasem pod dom, z miasta. Ale zastrzeliłam kilka, uczą się, wiedzą już, że je to zabija. Nie boję się ich.

To niemożliwe. Skąd mogłaby mieć taką broń, jak ja...

– I wiesz, czym one są?

Spojrzała w górę, wciągnęła powietrze, pomyślała przez chwilę.

– To są strachy, tak? Potwory wzięte z ludzkich głów. To, czego się boimy.

Prawda?

– Prawda.

Żadnego komputera, telewizora, normalnej lampki, niczego, co mogłoby wskazywać, że ten świat jest w jakimkolwiek stopniu rozwinięty. Nie mogli sobie tego wymyślić sami. Może ktoś z Etherdome skoczył kilka wymiarów w bok i przeniósł ze sobą trochę tej technologii? Rozdał parę pistoletów i katalizatorów?

Może tak jest też w moim przypadku? Może to żadna klątwa, może po prostu mam w sobie coś, co mnie rzuca po sąsiednich wymiarach? W jakimś określonym porządku?

Zamyśliła się, nadal uśmiechnięta, podeszła do okna, odsłoniła firankę, wyjrzała. Spytała, równie zamyślonym głosem:

– Czyj był?

– Słucham?

– Ten strach, który zastrzeliłam. Do kogo należał? Kto bał się tego potwora? Co on symbolizował?

Spojrzałem na katalizator.

– Tym je łapiemy. Wyciągamy.

– Wiem.

– Wyciągnąłem go z pewnej dziewczyny.

– Dziewczyny?

– Tak. Annmarie. Bała się...

Tak naprawdę co to było? Czego bała się Annmarie? Ten wielki stwór – ktoś

prawdziwy, tylko przez perspektywę zniekształcony siłą? Jej porażka, nemezis, odwieczny wróg, który zawsze czaił się gdzieś za nią?

Przeżyła tam w ogóle? W momencie, w którym zaczęło mnie przenosić, sądziłem, że przejdę sam, że ona tam zostanie z tymi wszystkimi monstrami – na czele z wielkoludem – i ją zaraz rozszarpia. Miała kołysankę, to prawda.

Lepiej się nad tym nie zastanawiać. Kobieta zmrużyła oczy, ściągnęła usta w cienką kreskę.

– Nie mogłem jej uratować. Ten potwór...

– Milcz – przerwała kobieta. – Dokończ jedzenie. I wynoś się stąd.

Po tych słowach wyszła. Patrzyłem jeszcze chwilę na drzwi, po czym zjadłem, ubrałem się i wyniosłem stamtąd.

Nie szła za mną, nie patrzyła, nie wyjrzała z żadnego pokoju, z żadnego kąta się nie wychyliła. Rozejrzałem się jeszcze w holu, otworzyłem wysokie drzwi, skrzypnęły lekko, szczęknął zamek.

Wczesna jesień? Liście pod drzewami, ale słońce jeszcze grzeje, jeszcze mruczę przed nim oczy.

Długa, zwirowana droga, ładnie tu. Stałem tak przez chwilę, nie patrząc na dom, ale na drzewa wokół niego, na te nagie gałęzie, drapiące słońce zawieszona na bezchmurnym niebie. Poprzednio były tylko spaliny i ciemne chmury, tylko blask neonów, reflektorów, ciągły ryk maszyn.

Odchodząc, odwróciłem się jeszcze. Dom był całkiem duży, trzy piętra – leżałem na najwyższym, musiała mnie tam wtaszczyć sama – w oknach firanki, patrzyłem, czy się któraś nie porusza, czy kobieta nie wygląda za mną.

Nie wyglądała, albo robiła to tak, że nie widziałem.

Nie miałem pojęcia, o co jej chodziło.

Ale nauczyłem się już, że lepiej po prostu odejść. W różne miejsca mnie rzucało. Tutaj jest jak na razie całkiem nieźle. Przynajmniej coś zjadłem.

Ruszyłem przed siebie zwirowaną dróżką; dochodziła do przeoranej koleinami, szerokiej leśnej drogi, którą zaścielały liście. Szedłem środkiem, nasłuchując, ale nie sądziłem, żeby często ktoś tędy jeździł. Jednak były to koleiny po oponach, nie po drewnianych kołach od wozu, więc może nie trafiłem do jakiegoś średniowiecza.

Powiedziała, że jest ich tu dużo. Strachów. Z tego, co wiedziałem, nieczęsto atakowały w dzień. Ale to był inny świat, inny wymiar, inne cokolwiek. Równie dobrze mogły się na mnie w każdym momencie rzucić.

Nic się jednak nie rzucało, po pewnym czasie schowałem nawet kołysankę; rozglądałem się za ptakami, które krzyczały do siebie gdzieś nade mną.

Skończył się las, zaczęły się pola. Na poboczu zniszczona ciężarówka.

Leży tak już trochę czasu – rdza ją pożera, jest niemal cała pokryta marchewkowymi wykwitami, do tego nie ma opon, szyby pobite, cienki, tępy nos pojazdu zgnieciony jak harmonijka, bok jakby rozerwany pazurami.

Przyglądałem się jej chwilę, potem rozejrzałem wokół – w okolicy ani śladu żywej duszy, przede mną znowu las.

Sprawdziłem, czy jest coś w szoferce – tylko resztki szkła i pogiętego metalu, jakieś szmaty. Zostawiłem wrak za sobą.

Przed miastem były okopy, druty kolczaste, ale porozrzucane bezładnie, zwinęte w wielkie kłęby, zupełnie bez sensu.

Na ten widok schowałem się z powrotem w gąszcz, obserwowałem z daleka, nasłuchując. Nad miastem może z pięć dymiących kominów, nie więcej. Ktoś tam na pewno jest.

Na drodze dwa duże leje po bombach.

Potem zobaczyłem ludzi, ubranych w łachmany, przełazili za tymi barykadami. Zdecydowanie żadni z nich żołnierze. Postanowiłem, że nie będę omijał tego miasta. Tu wszędzie mogło być tak samo, gdzieś musiałem zrobić zapasy albo po prostu czekać do następnej podróży.

Ludzie, których widziałem wcześniej, nagle gdzieś zniknęli. Umykali, gdy tylko mnie zobaczyli, ruszały się zasłony w nielicznych oknach – większość została zabita deskami – ale byłem pewien, że mnie obserwowali. Jakaś baba uciekła, zgarbiona, schowała się w mrocznej sieni.

Może myśleli, że jestem żołnierzem, albo czymś takim.

Ktoś mnie też śledził.

Bez trudu się połapałem. Starał się oczywiście kryć za podziurawionymi resztkami domów, za tym, co zostało z murów, ale go zauważyłem. Chłopak, umorusany i obdarty tak samo jak oni wszyscy.

Potem natknąłem się na żołnierzy.

Podeszli do mnie pierwsi; ubrani w zielone moro, z długimi karabinami przewieszonymi przez ramiona. Nie wycelowali we mnie od razu, ja też przed nimi nie uciekałem, czekałem, aż się zbliżą.

– Kim jesteś? – spytał jeden.

– Jestem Albert Lock. Wędruję tylko.

– Skąd?

Pokazałem ręką. Prychnął.

– Nie zgrywaj durnia.

– Nie wiem, co tam jest. Zgubiłem się.

– My już cię przepytamy.

Poszturchując mnie w plecy karabinami, zaprowadzili na duży plac, gdzie było ich więcej, ze trzydziestu, razem z nimi kilka ciężarówek sprzętu; tu też stały gdzieś niby zbite grupki mieszkańców, przestraszonych, zerkających na lewo i prawo – na lufy pistoletów, na obojętne gęby żołnierzy.

Przyprowadzili mnie do jednego, niskiego, z dziwnymi odznaczeniami, których nie potrafiłem rozpoznać, nie kojarzyły mi się z żadnym wcześniejszym światem.

– Znaleźliśmy go, jak się włóczył, panie majorze. Mówił, że wędruje.

– Wędruje...

– I że się zgubił.

Major popatrzył na nich, a potem na mnie.

– Jak się nazywasz?

– Albert Lock.

– Co tu robisz?

– Zgubiłem się.

– Zgubiłeś?

– Tak.

– To cień jest, majorze, pomaga im. Jak oni wszyscy. – Ruchem głowy wskazał, że ma na myśli mieszkańców.

Major mruknął tylko.

– Nie wyglądasz na kogoś stąd. Musiałeś wędrować bardzo daleko.

– Bardzo.

– A powiedz, nie widziałeś czegoś dziwnego po drodze?

– Zniszczoną ciężarówkę.

– Wiesz, kto to cienie?

– Nie mam pojęcia.

– Słyszałeś o kimś, kto używa imienia Markus?

– Nigdy.

– No każdy szpieg by tak powiedział – wtrącił znowu żołnierz, ale major go zi-

gnorował.

– A tak dokładnie to... skąd jesteś?

I uśmiechnął się.

Nic nie odpowiedziałem. On patrzył tak trochę nieprzytomnie, trochę jakby nic go nie obchodziło, a trochę jakby wiedział, ale nie robiło mu to najmniejszej różnicy.

– Na pewno nie słyszeliście – powiedziałem w końcu.

– Na pewno nie.

– I co z nim robimy? To jeden z nich, gołym okiem widać, że szpieg. Bierzem go i raz dwa powie, gdzie się tamci ukrywają.

Major pokręcił głową, machnął ręką i uśmiechnął się samymi ustami.

– Zostawcie.

– Panie majo...

– Zostawić.

– Tak jest.

I zostawili mnie, tak jak stałem, po prostu się rozeszli. Padło jeszcze parę rozkazów, powiadali do ciężarówek, załadowali jeszcze parę skrzynek ze sprzętem, pokrzyżowali coś do mieszkańców miasta, zbitych teraz w jedną ciasną gromadę. Powymachiwali bronią, postraszyli, pokrzyżowali. Potem rozkaszały się wszystkie ciężarówki i odjechali w chmurze smrodliwych, czarnych spalin.

Stałem tylko i patrzyłem. Wszystkie podróże mnie do tego przyzwyczyły. Często wystarczy tylko patrzeć.

Odjechali w stronę, z której przybyłem. W stronę domu tej dziwnej kobiety, która ocaliła mnie od strachu Annmarie.

Gdy zniknęli żołnierze, zaraz z jakichś zakamarków powyłazili następni łachmaniarze. Ale ci już byli groźniejsi niż mieszkańcy miasta, uzbrojeni w pordzewiałe noże, w grube, drewniane pały nabijane gwoździami. Śmierdzący i brodaci. Mieszkańcy nadal stali strwożeni, tylko tym razem inna grupa ich otoczyła, kto inny wymachiwał bronią.

Kilku podeszło też do mnie.

Ten, który mnie śledził, gdzieś zniknął.

– My jesteśmy cienie – powiedział ten, który miał najdłuższą brodę, czarną, z pasmami siwizny. – A ty pójdiesz z nami.

– Nie wydaje mi się – powiedziałem i już miałem sięgać po broń, spodziewałem się bowiem, że cienie będą nieco bardziej gwałtowni niż żołnierze.

Jednak zamiast rzucić się na mnie z pałkami, jak oczekiwałem, brodaty powiedział tylko, nachylając się do mnie (gryzący smród cebuli spomiędzy jego brudnych zębów):

– Ja się spodziewałem, że ty tak powiesz. Ale widzisz, ty jednak będziesz chciał z nami iść. Nie, nie po groźbie, nie patrz tak. I nie masz po co sięgać po tego wielkiego gnata. Ty pójdziesz z nami, bo jesteś ciekawy, skąd tu strachy. Tak, nie rób takich oczu, chcesz wiedzieć, skąd tu strachy, prawda? Chcesz. Ty się nazywasz Albert Lock. I my wiemy o tobie strasznie dużo. To jak?

Imię mógł usłyszeć wcześniej, choćby od żołnierzy, mógł im je przekazać ktoś z mieszkańców, jeśli usłyszał cokolwiek. Ale o strachach, o tym, że byłbym nimi zainteresowany...

– Prowadź.

I zszedłem z nimi do wilgotnych, ciemnych piwnic, oświetlanych jedynie słabymi lampkami. Musieliśmy się tam bardzo ścisnąć w wąskich korytarzach, iść jeden za drugim; wszyscy okropnie cuchnęli, ale w półmroku nie widzieli chyba, jak się krzywię.

Potem ktoś coś uruchomił, zaczęło terkotać głośno, na suficie pokazały się mdłe żarówki, zamigotały brudną pomarańczą, widać było, przez co przechodziliśmy: tu korytarz nieco szerszy, trzy osoby mogły iść obok siebie, a przy ścianach, z jednej i z drugiej strony, cztery duże klatki, z prętami grubymi jak mój nadgarstek. Dodatkowo okręcone cienkimi drutami, w to wszystko wmontowane jakieś dziwne ustrojstwa, cewki, uzwojenia, dynamy, generatory – jedna z klatek była rozerwana od środka, pręty drugiej zostały stopione w jednym miejscu, trzecia i czwarta były nietknięte.

Patrzyłem na nie, przekrzywiając głowę, i wtedy odezwał się ktoś nadchodzący z drugiej strony pomieszczenia.

– Oto kolejny triumf nauki, tym razem nad naszym małym strachem, nad gadzim mózgiem, który tam gdzieś w nas siedzi, panie Lock.

Odwrociłem się. Mężczyzna był już stary, pomarszczony, niemal zupełnie łysy, na czole grube fałdy masywnych zmarszczek, spływające nad oczodoły – stał oto przede mną neandertalczyk intelektu.

– Pan tak nie patrzy – mówił mężczyzna. – Wszystko się wyjaśni, już niedługo. Teraz po prostu proszę podziwiać.

– To jest na strachy – powiedziałem. – Próbowaliście je w tym trzymać, tak?

– I udałoby się, gdyby nie tamci. – Pokazał głową w górę; miał na myśli żołnie-

rzy, którzy wyjechali z miasta. – Jakiś odłamek od tych ich bomb uszkodził generator. Uciekły.

– Uciekły?

– Tak. Cztery. Są bardzo różne. Trzeba je będzie zabić, zanim te trepy się do nich dobiorą.

Patrzyłem po prostu, to na niego, to na te klatki. Uśmiechał się.

– Ja jestem Marcus Ebenlietz i wiem, kim pan jest. Albert Lock. Oczywiście wie pan, o czym mówimy. Dla pana to są właśnie strachy, rzeczy wyciągane z ludzi, to, czego się boimy najbardziej. Pan umie sobie z tym radzić, widzę pana pistolet, do tego on służy, prawda? Więc taką właśnie mamy do pana prośbę. Żeby pan poszedł na górę i pozabijał strachy, zanim dobiorą się do nich ci, z którymi miał już pan okazję porozmawiać. Są nimi niezdrowo zainteresowani i jeśli jakiegoś złapią, kto wie, co z tego będzie.

– Nic mnie to nie interesuje – powiedziałem.

W istocie chętnie bym się dowiedział, skąd wiedzą o strachach, jak się nauczyli wyjmować je z ludzi, albo łapać, skąd kołysanka u tej kobiety z lasu, co zrobili, żeby one rzeczywiście nie opuściły swoich klatek. Doświadczenie setek poprzednich podróży nauczyło mnie jednak, żeby nie angażować się w jakiegokolwiek tubylcze konflikty, odpowiedzi musiałem poznać w inny sposób.

– Kiedyś się tym interesowałem, panie Lock. Znaczący zanim się dowiedziałem, że można to z ludzi wyciągać, kondensować. Strachem, mam na myśli strach. Byłem naukowcem. Ale coś takiego, takie mistyczne podejście... wyśmiałem to wtedy, och, przynajmniej na początku, ale potem, gdy rzeczywiście ujrzałem na własne oczy... To też był swego rodzaju strach. Ludzie się boją. Boją się przywiązać. Boją się stracić.

Podszedł trochę bliżej.

– Nie obchodzi pana. Nigdy to pana nie obchodzi, prawda? – powiedział, ale już cicho, tak żeby nie usłyszeli ludzie stojący kilka metrów od nas. Ciągłe patrzyli, ciągle głaskali swoje wyslizgane drewniane pałki. – Nie – mówił dalej Marcus. – Tak jest najprościej, nie angażować się, przejść obojętnie, bo wtedy nic nie będzie się śniło po nocach, wtedy nie trzeba rozpamiętywać tego wszystkiego, co stało się tygodnie, miesiące wcześniej, prawda? Podróż po podróży, założę się, że jeszcze pamiętasz tę pierwszą, co?

Patrzyłem, nic nie rozumiejąc. Wie. Wie o wszystkim, co się ze mną dzieje.

– A Annmarie? Też cię nie obchodziła? Właśnie od niej tu wskoczyłeś, tak? Al-

bercie. Przejrzałem cię na wylot. Przecież to ważne, te strachy. Pomyśl o niej, o wielu innych takich jak ona, do których strachy mogą się właśnie teraz dobrać. O wielu, którzy mogą ucierpieć, jeśli strachy wpadną w ręce nieodpowiednich ludzi. Tych, których widziałeś.

Nabrałem powietrza.

– Pomyśl o odpowiedziach, których mogę ci udzielić. Z pewnością jesteś ciekawy. Idź, masz swoje sposoby, idź, pozabijaj te strachy, i wróć, a ja ci wszystko opowiem.

Przygryzłem wargi.

– Kim jesteś? – spytałem, również cicho. – Skąd wiesz to wszystko?

– Wszystkie odpowiedzi otrzymasz, gdy już do mnie wrócisz. No, nie patrz tak. Nie jesteś przecież takim człowiekiem... tamci chłopcy są blisko, na tyle blisko, by nie udało ci się uciec, nawet jak we mnie strzelisz ze swojej kołysanki... A tak w ogóle, jak ona działa na ludzi? Zresztą to potem, naprawdę, musimy się śpieszyć, kto wie, co oni kombinują...

– Kim są? Co to za ludzie?

– Nie jestem pewien. – Zmrużył oczy; jakby lawina głazów z brwi osunęła mu się na powieki. – Być może przybyli tu tak jak ty... A może nie. Nie widziałem u nich zbyt wiele sprzętów niepasujących do tej epoki... ale ten ich major... Tak go tytułują... o tym też będzie czas porozmawiać. Może nawet wysłała ich tu wiedźma?

I uśmiechnął się, a ja pożałowałem, że rzeczywiście nie jestem taką osobą, bo powinienem rozkwasić mu tę starą gębę. Może byłoby łatwiej iść przez te wszystkie podróże... ale wtedy pewnie nie byłaby to żadna klątwa.

– Wróć tu, jak skończysz, postaraj się też ich nie pozabijać, może jeśli weźmiesz je żywcem...

– Przyniosę ci – wycodziłem – te strachy... ale lepiej, żebyś mi wtedy wszystko wyjaśnił...

– Och, z pewnością, z pewnością.

Odprowadził mnie do wyjścia w towarzystwie śmierdzącej zgrai, znowu przez ciasne, ciemne zaułki. Światło słoneczne raziło w oczy, stałem przez chwilę i patrzyłem w niebo, z ręką przy skroni.

Gdy wyruszałem, nikt mnie nie śledził.

* * *

Strachy były dwa.

Nie musiałem wcale długo szukać. Otwarty katalizator to dla nich jak wspomnienie o domu, jak obietnica powrotu do łona matki, jak sobotni, słoneczny poranek za oknem.

Poszedłem do lasu, gdzieś na odludzie, za leje po wybuchach, i za zniszczone zasieki. Jednak tutaj też musiałem najpierw się upewnić.

Przyszło dziecko.

Na początku myślałem, że rzeczywiście było z tego miasta. Ubrane bardzo podobnie, w zniszczone spodnie i dziurawą, szarą koszulę. Potargane włosy, całe umorusane, jakby wpadło do komina. Ale to, jak dzieciak stał i patrzył, z lekko rozchyłonymi ustami, jak przekrzywił głowę, jak się potem oblizał, jak nie mógł oderwać wzroku od otwartego w moich rękach katalizatora...

– Zgubiłeś się? – spytałem, bo chciałem się upewnić.

Chłopak pokręcił głową.

– Nie. Wydaje mi się, że nie. Co ma pan w rękach?

– Chodź, zobacz sam.

Był bardzo szybki. Kołysankę miałem w drugiej ręce, schowaną za plecami, ale gdy w niego wycelowałem i rzygnęło błękitne światło, zdążył się uchylić, obryzgało mu tylko ramię, syknął dziko, rozmyły się kontury, zobaczyłem, że z pleców wystaje mu nóż.

– Jak moja matka... – Potwór, wyciągnięty kiedyś z czyjejś głowy, schował się za drzewem. – Jesteś zupełnie jak moja matka... wy wszyscy...

Wyskoczył, długie łapska miał już jak szpony, ale zdążyłem; część niebieskiego promienia wypaliła głowę upiora, padł przede mną w mokre liście, zamigotał, rozmył się jeszcze bardziej.

Wtedy pojawił się ten drugi.

Kobieta.

Nie starała się ukryć. Zamknąłem katalizator i nachylałem się właśnie nad truchłem potwora, gdy usłyszałem jej głos:

– A więc przyszedłeś.

W chwilach zagrożenia czas płynie wolniej. To dlatego, że działamy na wyższych obrotach, myślimy o wiele szybciej, mózg mobilizuje się do wyczerpanej pracy. Mój na początku zaczął przeklinać nieuwagę i nieostrożność, potem zmusił całe ciało, by wy-

konało obrót, bym wycelował kołysanką w opierającą się plecami o drzewo kobietę–stracha. To trwało dłużej niż wieczność.

– Albert Lock – powiedziała wtedy, nie patrząc na mnie. I chyba to przeważało. Nie strzeliłem.

Czekałem tylko, w ciszy, patrząc, nadal spięty, nadal przygarbiony, nadal z pistoletem wycelowanym w eteryczną dziewczynę. Była nieco niewyraźna, suknia do ziemi migotała czernią, długie włosy rozmywały twarz, ledwo dało się rozróżnić rysy, widziałem z profilu ostry nos, wysunięty podbródek.

Czasem tak było, czasem nie rzucały się od razu na człowieka. Czasem rozmawiały. Różne są strachy.

– Nie bój się. Nic ci nie zrobię. Chcę pomóc.

– Akurat.

Pokręciła głową.

– To wszystko, co tu widzisz, co widziałeś, ja, przez ciebie. To wszystko przez ciebie.

Prychnąłem.

– Wiem, że jesteś przeklęty. Że przeklęła cię wiedźma, masz na sobie jej odór, odór zaklęcia, które cię gnębi. Nie wiem za co, ale przecież wcale nie trzeba dać jej zbyt wielu powodów, prawda?

– Skąd? Skąd wy wszyscy to wiecie?

– Ale to wiedźmie zaklęcie – zignorowała moje pytanie – można złamać. Próbowaleś? Na pewno. I wiesz już pewnie, że nie da się tego zrobić byle magią, byle skanami, żadna technika, żadne gusła. Ale ja wiem. Strachy wiedzą. Nasz świat wygląda o wiele inaczej niż wasz. Pomogę ci.

– Ty? Pomożesz?

– Tak.

– I sądzisz, że ci zaufam?

Są strachy i strachy. Im dłużej dany strach żyje, tym jest niebezpieczniejszy, tym groźniejszy i bardzo ciężko jest go ubić. Nie spędziłem dużo czasu z Annmarie. Ten chłopak, którego zastrzeliłem, miał może kilka miesięcy, a i tak nie było to łatwe, prawie mnie dopadł.

Dziewczyna w jednej chwili opierała się plecami o drzewo, w następnej była za mną.

– Chyba nie masz wyjścia. To takie zabawne.

- Co z ciebie za strach? – powiedziałem po chwili, przełykając ślinę.
- Różne są strachy. Wiesz przecież.
- Jak tylko schowam broń, rozszarpiesz...
- A co mnie powstrzymuje...

I rzeczywiście: złapała mnie za gardło, drugą dłonią chwyciła nadgarstek z bronią. Wypaliłem instynktownie, błękitne płomienie pomknęły w las, opłotły nagie drzewa, zamigotały i zgasły.

- ...żeby nie zrobić tego teraz?

Nie powiedziałem nic, czekałem tylko, czując ten dziwny dotyk, jakby miękkiej tkaniny, na szyi i ręce, trochę chłodny.

- Puść...

Puściła, zaśmiała się. Odwróciłem się, zrobiła krok do tyłu, sukienka zafalowała, zamigotała cieniście – wolał noc, w dzień ciężko im utrzymać kamuflaż, taka anomalia widoczna jest na pierwszy rzut oka.

- Zabierz mnie ze sobą.
- Co?
- Zobacysz. Jak będziesz skakał. W następną podróż.
- Jak?
- Będę wędrować w twoim cieniu.
- Jeśli myślisz...
- Chcesz się w końcu wyrwać z tego wiedźmiego zaklęcia czy nie?
- Kłamiesz...
- Bo wiele masz do stracenia...
- Co z ciebie za strach w ogóle...
- Różne są strachy.

Obróciła głowę, spojrzała w niebo, zdmuchnęła sobie z twarzy cienisty kosmyk włosów; nic to nie dało, zamigotał niemrawo. Uśmiechała się chyba, ciężko powiedzieć, rysy twarzy były niemal niewidoczne, ale gdy dłużej patrzyłem, gdy wzrok się przyzwyczajał, z dziwnej ciemności wyłaniały się tu kości policzkowe, tu usta wydęte, tu ciemne plamy oczu.

Uśmiechała się?

- No nie patrz tak. Chodźmy.
- Nie chcę z tobą nigdzie iść.
- Nie zżera cię ciekawość?

- Ani trochę.
- Te wszystkie podróże oduczyły cię ciekawości, co? Bolesne...
- Skąd to wszystko wiesz?
- Powiem ci, ale musisz mnie ze sobą zabrać.

Zagryzłem wargi.

Nie widziałem jeszcze czegoś takiego. Gdy pokazywano mi strachy, praktycznie w ogóle się z nimi nie rozmawiało, jeśli coś mówiły, to kłamały. Wszystko było złudzeniem, trzeba walić z kołysanki, jak tylko się jakiegoś zobaczy.

A ten tutaj?

Trup chłopca już dawno zniknął.

– Są tu inne strachy, wiesz – powiedziała, przekomarzając się, pieszczotliwym dziecięcym głosem. – A bo to pewność masz, że sobie z nimi poradzisz?

- Mam.
- Ze mną byś sobie nie poradził.
- Kazali mi was złapać i przynieść żywe. Może wcale nie chcę do ciebie strzelać.
- To ciekawa jestem, jak mnie zmusisz, żebyś wlała do katalizatora.
- Wiesz, co to jest?
- Dużo wiem, jak na głupią dziewczynę z prowincji, nie?

I zniknęła.

Obróciłem się, dłoń z kołysanką wyciągnięta – za mną jej nie było. Odwróciłem się jeszcze raz, i jeszcze, kręciłem się jak głupi.

– No już przestań – usłyszałem jej głos i zamarłem. – Nie wygłupiaj się tak. Nic ci nie zrobię.

Wlała w mój cień.

- Ocalę cię – powiedziała jeszcze.
- Ty? Mnie? Przed czym niby?
- Jeszcze nie wiem. Ale cię uratuję. Zobaczysz.

Stałem tak chwilę. Patrzyłem na kolorowe, mokre liście. Może rzeczywiście różne były strachy. Wciąż jednak, gdzieś na dnie mózgu, pamiętam, jak zobaczyłem tego pierwszego, którego pokazała mi Annmarie, jak się na nas rzucił, jak go zastrzeliła. Można się trochę przyzwyczaić, ale bez względu na to, ile razy to zrobisz, uczucie zawsze jest takie samo, mówiła, jak gdyby ktoś ci zacisnął serce w pięści. To nie znika. Nieważne, jak bardzo się tego spodziewasz, nieważne, ile ich zabijesz, to nie zniknie. Po prostu tak się przy nich czujemy. Jak przy drapieźniku. To są przecież drapieźniki.

Żyją pod łózkami, w szafach, ożywają, gdy gaśnie światło, a my nie możemy usnąć, leżymy tylko, krzyżując ręce na piersi, patrząc w sufit.

Nabrałem powietrza.

– No? – spytała, ale nic nie odrzekłem.

Ruszyłem powoli w stronę miasta.

* * *

– Nigdy nie lubiłam tu przyjeżdżać, małe zabite dechami miasto, ja lubię duże miasta, ten zgiełk, i wielkie budynki, i jak się tam wszyscy ubierają... coś ty taki mrukliwy? – szeptała mi do ucha.

– Jak zobaczą, że gadam sam do siebie, mogą zacząć coś podejrzewać, nie sądzisz?

Prychnęła cicho, wyobraziłem sobie, jak tupie nogą, odwraca głowę w lewo i nieco w górę. W wyobraźni też doszukiwałem się w tym wspomnieniu uśmiechu.

Minąłem resztki zasieków, brudne domy, zagracone ulice, z usypanymi gdzieś stertami gruzu.

– Coś jest nie tak – powiedziałem cicho, gdy przez długi czas nie zobaczyłem nikogo z mieszkańców, naprawdę nikogo, jakby miasto wymarło.

– No jasne – odsyknęła. – Ale nie martw się. Zaraz wyskoczą zza tamtego zaułku. A pozostali dwaj z tamtej strony.

Odwróciłem się, i rzeczywiście, wyszli, tak jak powiedziała. Dwóch z jednej i dwóch z drugiej. Żołnierze. Celowali we mnie ze swoich długich karabinów.

– Stać!

– Nie martw się – usłyszałem jeszcze jej głos. – Nic ci nie grozi, obronię cię.

Podeszli, na trzy, cztery metry. Nie opuszczali broni.

– On? – spytał ten z zajęczą wargą, nadal na mnie patrząc.

– On.

– Idziesz z nami. Albo tu zdechniesz.

Tylko skinąłem głową.

– Przebieraj nogami.

Prowadzili mnie na muszce przez całe miasto. Doszliśmy w końcu przed duży budynek, w większości zrujnowany; jedna część zapadła się zupełnie, gruzy wylały się na ulicę jak wnętrzności. Czekala tam reszta żołnierzy, snuli się po okolicy, niektórzy

rozmawiali z miejscowymi, pokazywali coś, krzyczeli, machali rękoma. Był też rządęk trupów, które rozpoznałem – to ci niedomyci i cuchnący ludzie, zwący się cieniami, którzy zabrali mnie wcześniej. Znajdowałem się jednak na tyle daleko, że nie dałem rady dostrzec, czy leży wśród nich Marcus.

Poganiał mnie, zeszedliśmy w końcu gdzieś w piwnice, potem poprowadzili mnie znowu cuchnącymi korytarzami, przez świeżo podbite terytorium cieni – aż do wielkich klatek i generatorów. Tam czekał już na mnie ten ich major; uśmiechnął się na mój widok. Pokiwał głową.

– I jesteś. Tak myślałem, że przyjdiesz. Potrzebny mi jesteś.

Milczałem. Z tyłu, przy kłatkach, uwijali się ludzie, rozmontowywali wszystko, odkręcali wielkie śruby, zabierali generatory.

– Musisz mi wyjaśnić, jak to wszystko działa. Te... strachy, tak? Strachy. Bardzo ciekawe. Myślałem, że to ty będziesz tutaj najciekawszym okazem, twój stan to precudowna anomalia, ale nie, jednak te istoty... No co? A, skąd to wiem, tak. Obserwują cię, przyciągasz uwagę, czy tego chcesz, czy nie. Nieważne, czy to zaklęcie, czy jakaś dziwna technologia, te twoje... wędrówki przyciągnęły kilka par uważnych oczu. Wynajęli mnie, i oto jesteśmy. Ale te rzeczy... zaskakujące, mam słabość do takich, naprawdę mam. Tym – wyjął kołysankę z kabury, kołysankę, którą dobrze pamiętam – tym się je zabija, prawda? No, zabrałem jej, tej, która mieszkała w tym domu, tak. Nie, nie chciała oddać. Obchodzi cię to? O, już się nauczyłeś. Przynajmniej tak mi się wydaje. Nauczyłeś się, że najlepiej będzie, jeśli przestanie cię to wszystko obchodzić, prawda? Ja się nie musiałem uczyć, ja się już taki urodziłem. No ale mów, mów, co to są w ogóle za potwory? Jak się je robi? Może tym?

I wyjął katalizator, stary, podniszczony, matowo czarny katalizator.

– Szkoda, że nie udało się nam utrzymać przy życiu ich szefa, on na pewno wiedział, tylko on, ale trzeba było działać szybko, walka w takich ciasnych pomieszczeniach, przebijanie się metr po metrze, nawet jeśli tamci mają tylko jakieś kije i stalowe rurki... nic fajnego. No ale są minusy, ktoś go załatwił. Kto, nie wiem, chłopaki pewnie nawet sami nie wiedzą, nieważne. Mamy ciebie, prawda?

– Niedobrze – wyszeptała mi do ucha kobieta–strach. – Bardzo niedobrze. Już widzę wszystko. Już wiem, jak będzie.

Potem przez chwilę trwała cisza, major uśmiechał się, ale coś mu się nie spodobało chyba w moich oczach; mina mu zrzędnęła i wtedy usłyszałem jeszcze raz szept kobiety:

– Tak musi być. Zabiją cię, jeśli tu zostaniesz. Pewnie będą chcieli zrobić sekcję, żeby zobaczyć, co w tobie takiego niezwykłego. Nie wiem, Albert... dużo o tym myślałam. Wcześniej. Zrozumiesz. Uciekaj, tam, w lewo, tak jak wszedłeś tu po raz pierwszy, wyjdiesz tam, gdzie ich nie będzie, miejmy nadzieję. Poradzisz sobie. Zrobię ci przejście.

Nabrałem powietrza, w pierwszym odruchu chcąc coś powiedzieć, ale nie zdążyłem – ten, którego nazywali majorem, wyciągnął rękę, jakby chciał mnie złapać za kołnierz, i wtedy coś go odepchnęło, uchwyciłem ruch kątem oka. W pomieszczeniu, gdzie światło dawały tylko przydymione żarówki, nie mieli pojęcia, kto ich zaatakował.

Najpierw zabiła tych, którzy we mnie celowali, jeden wypalił gdzieś w ścianę, kula poleciała rykoszetem, potem krzyknął następny i następny, a ja już byłem wolny. Biegłem tam, gdzie kazała, i gdy wyrósł przede mną kolejny żołnierz, z karabinem wycelowanym prosto w moją pierś, sam już chciałem sięgnąć po kołysankę, chociaż wiedziałem, że będzie za późno; zabiła go wtedy, wbiła dłoń w serce i osunął się bezwładnie na ziemię. Spojrzałem jeszcze w te czarne plamy zamiast oczu, gdy tak stała nad trupem, w cienistej sukni, potem zamigotała i zgasła.

– Uciekaj!

Biegłem po stromych schodach, potykając się, i po drodze rzeczywiście nie było nikogo.

Słyszałem ich jednak za sobą. Gonili, ale szło im równie dobrze jak mnie, już po omacku szedłem po schodach, na czworakach, ich głosy, wściekłe syknięcia coraz bliżej, aż w końcu namacałem drzwi, pchnąłem, wyskoczyłem w oślepiające światło dnia.

Puściłem się biegiem, potknąłem o jakiś pręt, zaraz zerwałem z powrotem do panicznej ucieczki, usłyszałem strzał, zanurkowałem w ciasną uliczkę.

Skrecałem chaotycznie, miasta nie znałem w ogóle, ale nie myślałem o tym, czy trafię na jakiś ślepy zaułek.

Wtedy ktoś mnie złapał, zaciągnął w bok, przyparł do muru, dałem mu w zęby, chciałem zastrzelić, chwyciłem już kołysankę, i wtedy ta myśl w głowie: śledził mnie.

Chudy facet, ogolony, pozacinany, jeszcze kawałki gazety przytknięte do twarzy. Wyciągał w moją stronę dwie rzeczy, odwracał głowę, jakby oczekiwał kolejnych ciósów.

Dyszałem ciężko, on też.

– Szybko – powiedział.

– Co?

– Zaraz tu będą. Szybko. Weź to. – Podsunął mi pod oczy kartkę.

Wzięłem. Pożółkły papier zapisany wyblakłym, niebieskim atramentem. Dwie godziny, dwie daty: 18 PAŹDZIERNIKA, 16:28, i potem oddzielone kreską, 2 LIPCA, 23:18.

– Co to ma być?

– Dziś, dziś jest osiemnasty października... – wychrypiał. – Miałem powiedzieć. I szesnasta dwadzieścia pięć, proszę, proszę!

Podsunął mi pod oczy zegarek na dewizce, stary, o kolorze brudnej miedzi, i rzeczywiście, wskazówki wskazywały szesnastą dwadzieścia pięć.

– Co to ma być?

– Kazałeś...

– Co?

– Kazałeś, żebym ci to pokazał, żebym zdążył. Kartkę zabierz, zapamiętaj, to też miałem powiedzieć. Tę drugą datę.

– Po co? Kim ty jesteś?

– Leon Warth.

– I wiesz kim ja jestem?

– Ty jesteś Albert Lock.

No jasne, pomyślałem. Byłem tu. Albo raczej będę.

– Kazałem ci to sobie pokazać?

– Tak. Jako zapłata za to, że pozbyłeś się mojego strachu.

– Jak dawno temu?

– Dwadzieścia lat.

– Dziękuję, Leon. Uważaj na siebie. Zaraz zniknę.

– Wiem.

– Dużo dla niej zrobiłeś.

– Dla niej?

Wtedy kroki, szybki bieg, krzyki, nawoływania, znaleźli. Spojrzałem na kartkę. Na zegarek. Dwadzieścia sekund. Zatrzymał się, spojrzął, wykrzywił gębę. Major miał w ręku kołysankę, które lśniła jeszcze błękitem. Na zielonym mundurze widniały plamy ciemnej krwi, druga ręka zwisała bezwładnie wzdłuż tułowia, szkarłatne krople kapały na zakurzony bruk.

Uśmiechnął się, unosząc ją, jakby chciał pokazać, zademonstrować, potem wy-celowwał we mnie, splunął, i wtedy poczułem pchnięcie w plecy.

* * *

Rzuciło mnie w tym samym miejscu co wcześniej, ale dopiero później to zauważyłem.

Teraz był dzień.

Wylądowałem w trawie i mchu, nie w mokrych liściach, nade mną szumiały drzewa, śpiewały ptaki.

Leżałem tak chwilę bez ruchu, serce biło mi bardzo szybko.

Major miał w ręku kołysankę, lufa jeszcze żarzyła się niebiesko... Trafił ją? Uciekła? Przeżyła?

– To mi niespodzianka – usłyszałem kobiecy głos.

Podniosłem się, odwróciłem.

Rozpoznałem ją. To była ta sama kobieta, która uratowała mnie ostatnio. W tym samym miejscu. Stała dokładnie tam, gdzie wcześniej. Tylko że wtedy trzymała w ręku kołysankę, teraz dłonie splotła w koszyczek.

Podbiegł do niej zaraz jeszcze ktoś, zziązany mężczyzna, i jego też rozpoznałem. Marcus. Dwadzieścia lat młodszy.

– A niech mnie... – wydyszał. – Odsuń się, Elizo, on... on może...

– Nie jestem niebezpieczny – powiedziałem. – Panie Ebenlietz.

– Skąd...

– Skąd wiem? To nie jest dobre pytanie. Ważne jest, co mógłbym panu powiedzieć.

– Słucham?

– Coś, co mogłoby pana zainteresować. Jeśli chodzi o pańskie... badania?

– Kim pan...

– Jestem po prostu zmęczonym podróżnikiem. Nazywam się Albert Lock.

– Potrzebujecie pomocy, dobry panie? – spytała Eliza.

– Nie pogardzę.

– Więc zapraszamy.

Marcus nic nie powiedział, stał tylko z otwartymi ustami, łapał powietrze.

Poszedłem z nimi, nadal ściskając w dłoni poślizgniętą kartkę papieru.

– Panienko – powiedziałem. – Czy mogłaby panienka powiedzieć mi, którego dziś mamy?

– Dwudziesty dziewiąty czerwca, panie Lock.

Przeszliśmy kawałek dalej i zobaczyłem ten sam dom, tylko już nie taki zniszczony, z wypiełgnowanym ogrodem, z jasną fasadą, który za dwadzieścia lat będzie tu stał niemalże opuszczony.

Nie musiała mnie w sumie wtedy nieść tak daleko.

* * *

– Skąd tyle o nas wiesz? – spytał Marcus. – Skąd wiesz, jak się nazywamy?

– Och, przestań! Zobacz, jest głodny, zmęczony, wypytamy go o wszystko, jak już będzie gotowy, dobrze?

– No...

– Zawołam służących, niech wszystko przygotowują. Leon!

W różnych bywałem miejscach, czasach, sytuacjach. O wiele częściej witają tam nieznanych przybyszów bronią niż jedzeniem i gorącą kąpielą. Ale zdarzało się. Dwadzieścia lat. Dwadzieścia lat wystarczy, by zmienić tych ludzi w kogoś, kto straci całe zaufanie... Co to za świat? Kiedy to jest? Jakie to czasy? Nie zwrócili uwagi na broń, którą miałem przy sobie. Dwadzieścia lat, a Liz będzie musiała zastrzelić stracha, żeby mnie uratować, w tym samym miejscu.

Dwadzieścia lat, a Marcus będzie ganiał za strachami, próbował trzymać je w klatkach.

Wstrzymali się ze swoimi pytaniami do wieczora. Jedliśmy. Szczękały sztuce, za oknem noc, przyjemna cisza.

– Odwdzięczę się za gościnę, jak tylko będę mógł.

– Może więc zacznij pan od wyjaśnień, panie Lock.

– Ależ proszę, proszę opowiedzieć! To było... niesamowite, jest pan z... z innego czasu?

– Z wielu innych czasów.

– Proszę mówić!

– Nie uwierzy mi panienka. Oboje mi nie uwierzycie.

– A jednak wiesz, kim jesteśmy, wiesz, czym się zajmuję. Pojawileś się znikąd, jak to mówi Liz...

– Prosto z powietrza!

– Sam nie widziałem, przybiegłem za późno. W takim stroju. Z taką bronią...

Żułem w zamyśleniu, oni nie jedli, czekali, wpatrywali się we mnie.

– Nie wiem, dlaczego tak jest. Mam na myśli, że nie znam zasady, nie znam reguł, jakimi rządzą się moje... podróże. Ale faktem jest, że przeklęła mnie kiedyś wiedźma.

– Wiedźma?

– Najprawdziwsza wiedźma. To był tylko głupi kaprys. Źle spojrzałem, źle się odezwałem, i koniec. Jedno słowo, zły urok. I teraz muszę... wędrować. Bez ustanku. Aż do śmierci zapewne.

– Wielkie nieba.

– Rzeczywiście ciężko uwierzyć.

– Musiał pan widzieć wiele różnych miejsc, prawda?

– Wiele. Zbyt wiele.

– Są ludzie, którzy oddaliby wszystko za taką szansę.

– Dlatego na nich wiedźma tego uroku by nie rzuciła.

– To jest dla pana kara?

– Wielka.

– Tyle światów, tyle krain! Ja zawsze chciałam do dużego miasta...

– Zazwyczaj rzuca mnie gdzieś w dżungłę, w dzicz, i gdyby nie to, że podróżuję dość często, pewnie bym tam umarł z głodu, a moje ciało rozszarpałyby drapieżniki.

– Ale teraz pana rzuciło... tutaj.

– Tak.

– To nie tłumaczy – upierał się Marcus – skąd pan wie, kim jesteście.

Ty, stary wygo, też mi o niczym nie powiedziałaś, pomyślałem. Albo raczej nie powiesz. Zamiast wszystko wyjaśnić, każesz mi biegać za stworami, które uwolnisz.

– Byłem tu już wcześniej, chociaż nie spotkaliśmy się wtedy.

– A wcześniej, co pan widział najdziwniejszego? A co najgroźniejszego?

Ogniki w oczach, lekki uśmiech, zarumienione policzki, jasna suknia, na szyi sznur pereł; dziewczyna pewnie nigdy nie opuściła tego miejsca, jedyne okno na świat to książki, w książkach przeczytać można wszystko. Jest głodna, głodna świata, i nawet jeśli zmyślam, nawet jeśli jestem tylko oszustem – przecież to zupełnie niedorzeczne być przeklętym przez wiedźmę, podróżować w przestrzeni i czasie – nawet jeśli, to ona chce tego oszustwa, chce je poznać, bo zwykły wagabunda byłby zbyt nudny, ale taki oszust kreatywny, proszę, sensacja. Wszystkie książki to przecież kłamstwa.

Tak więc opowiadałem. Opowiadałem o milczących ludziach, którzy nie wy-

kształcili żadnej mowy, bo pewnie porozumiewali się jakoś inaczej, ale ja nigdy nie pojąłem w jaki sposób. O świecie wielkich wojen, gdzie po ziemi kroczą gigantyczne roboty, ryk dział słychać na kilometry, gdzie wszystko jest po to tylko, by zabijać i rozwalać. O wielkich dżunglach, drzewach wysokich jak góry, wielogłowych zwierzętach. Opowiadałem rzeczy prawdziwe i zmyślane.

Nie opowiedziałem o Annmarie.

Gdy Liz udała się już do siebie, Marcus otworzył wino, popijał je leniwie, dzobał widelcem zimne mięso.

– Czyli w każdej chwili – wycelował we mnie widelcem – możesz zniknąć? Może cię wrzucić w inny świat?

– Tak.

– Straszne. Bardzo się bronisz przed tym.

– Przed tym nie da się obronić.

Zamachał ręką, nie to miał na myśli.

– Przed tym, żeby nie przywyknąć. Żeby się nie przywiązać. O tym wcześniej mówiłeś, tak? Że kara. Ale co dla jednego jest karą... ci wszyscy ludzie, których spotkałeś, nie wiem, ile miałeś tych podróży, ale z tego, co mówiłeś... gdy w potrzebie... gdy pomożesz... nie ma takiej więzi, jak ta wykuta w chwili niebezpieczeństwa. A potem musiałeś odejść. I teraz widzę to, widzę tę rezerwę... jak siedzisz, jak z nami rozmawiasz. Nie patrzysz, nie śmiejesz się. Mimo iż wiesz doskonale, kim jesteśmy, chcesz tylko zjeść i iść spać. Nie chcesz z nami rozmawiać, prawda?

Westchnąłem.

– Widzę, że prawda – mówił dalej. – Wiedźma, czy ktokolwiek, zrobiła to specjalnie. Zaklęcia czy nauka, coś okropnego. Któż mógłby tego chcieć? Chyba tylko jacyś socjopaci, którzy więzi ludzkich za nic nie rozumieją. Wybrała tę karę pod ciebie... coś ty jej zrobił, Albercie?

– Sam nie wiem. Pewnie krzywo spojrzałem.

Uśmiechnął się, bardziej do wspomnień niż do mnie.

– Kobiety. Nie zrozumiesz. Sam wiem. – Pokazał głową na górę, w stronę sypialni, gdzie spała Liz. – Staram się jej pomóc. Wiesz, czym się zajmuję, prawda? Leczę ludzi. Choroby umysłu są o wiele gorsze niż choroby ciała. Ale z tego, co mówiłeś, pewnie wiesz o tym o wiele więcej niż ja... Widziałeś kiedyś strach? Prawdziwy strach, przerażenie w najczystszej postaci?

– Byłem bliżej, niż może pan sądzić.

– Och, naprawdę, gdy się tak budzi w nocy... z wrzaskiem... biega, woła, płacze... nic nie potrafię zrobić. A jeszcze tamci...

– Tamci?

– A, tacy tam... gang miejscowy... cienie... tak się nazywają. Ich szef jest chory i przyszli tu do mnie. Żebym go leczył. Beznadziejny przypadek, doprawdy. Nic mi nie zrobią, oczywiście, bo czekają, aż na coś wpadnę. Ale tu nie ma ratunku. On sam o tym wie, ten ich szef. Ale ja nie mogę nawet własnej córce...

– Ale może ja mogę.

Podniósł głowę znad podziobanego kotleta.

* * *

– Jego też leczyłeś? – spytałem Marcusa.

– Nie. Nie sądziłem, że w ogóle...

– Wolałbym, żeby cię przy tym nie było – przerwałem mu. – Ale rozumiem, że chcesz zobaczyć. Musisz zobaczyć, żeby uwierzyć. Nie przekonam cię, więc skoro już tu zostajesz, posłuchaj: usiądź tam, w kącie. Nie bój się, nic ci nie grozi, chociaż możesz zobaczyć potwora. To będzie to, co w nim siedzi. Jego strach. Nie rób żadnych gwałtownych ruchów. Nie krzycz. A przynajmniej się postaraj.

Marcus patrzył na mnie, przekrzywiając głowę, ale nic nie zdążył już powiedzieć, bo do pokoju zajrzał Leon.

– Panie?

Marcus usiadł tam, gdzie mu przykazałem, powiedział jeszcze:

– Wejdz, Leonie. Posłuchaj naszego gościa. On ci pomoże.

Chłopak wszedł niepewnie, zamknął drzwi, i stał tak przy wejściu, wymieniał spojrzenia z podłogą, tylko na krótko udawało mu się oderwać od niej wzrok, żeby spojrzeć na mnie lub na Marcusa.

– Podejdz do mnie – powiedziałem. – Nie bój się, chcę tylko porozmawiać.

Trochę trwało, zanim podszedł.

– Usiądź.

Usiadł.

– Leonie, wiesz, czym zajmuje się dobry doktor Marcus?

– Tak, panie, leczy ludzi z histerii i innych chorób ducha.

– Ja też się na tym znam.

Skinął głową.

– I chciałbym ci pomóc. Widzisz, moje metody są dość innowacyjne... będą mogły pomóc nawet tobie...

– Mnie?

– Nie powiedziałaś nikomu, ale nie martw się, znam się na tym. Widzę to w ludziach. Nawet jeśli starają się to ukrywać. No, spokojnie. Nic ci się tu nie stanie. Wyleczymy cię. Na razie tylko porozmawiamy, dobrze? Wiesz, że doktor Marcus też najpierw rozmawia z pacjentami, prawda?

Przytaknął niechętnie, odwrócił wzrok.

– Powiedz mi, boisz się, tak?

– Tak – westchnął cicho.

– Czego?

Zacisnął dłonie.

– Nie martwcie się mną, panie. Lepiej pójdę już do siebie.

Złapałem go za ramię, gdy wstawał.

– Zostań.

Usiadł z powrotem. Wyciągnąłem katalizator, otworzyłem.

– Teraz spójrz, to nic groźnego. To jest jak... jak stetoskop, jak skalpel, ale nie boli. To jest zwykłe lekarskie narzędzie. Służy do tego, żeby leczyć ludzi. Nieważne, czego się boisz. Pozwól mi. Daj rękę.

Marcus nachylił się na krzesło, patrzył z zainteresowaniem. Chłopak usłyszał skrzyp drewna, spojrzał na swojego opiekuna, tamten tylko niecierpliwie skinął głową, więc chłopak wyciągnął do mnie dłoń.

– Dobrze. Połóż ją tutaj. Świetnie. Możesz poczuć się dziwnie.

Włączyłem katalizator.

Sięgnąłem po kołysankę – i zamarłem.

Najpierw pomyślałem, że to ktoś niepowołany jakimś sposobem wszedł do pokoju, któraś ze służących – wysoka, przygarbiona kobieta, z włosami upiętymi w wysoki kok i grubym sznurem w dłoni. Przez moment wydawało mi się, że coś powie, przeprosi za najście, tak się jakoś zamyśliła ze zwieszoną głową. Potem podniosła wyędniałą twarz, błędząc wzrokiem po ścianach, niemo pytając ich, co tu właściwie robi. Zaczęła coś mówić, najpierw bardzo cicho, mruczając gdzieś w brodę, potem wyraźniej, aż dało się rozróżnić poszczególne słowa. Wtedy zyskałem pewność.

– Gdzieś tu, kiedyś tu, jakoś tu zapodziałam przybory do szycia... – wychrypiiała

zjawą.

Rozległ się ciężki trzask. To Marcus spadł z krzesła. Hałas zwrócił jej uwagę. Obróciła się ku niemu, uniosła wyżej dłoń ze sznurem, wykrzywiła twarz.

– Smarkaczu... to twoja wina...

Gdzieś znikło jej zafrasowanie, osłabienie, głowę wcisnęła między ramiona, ugięła lekko nogi. Rozejrzała się szybko, trzepnęła sznurem i ruszyła na Marcusa.

Wtedy pokój wypełnił błękitny blask, jasna mgła oblepiła potwora, zawył przeciągle, i po chwili zostało po nim tylko gasnące wspomnienie, żarzący się na niebiesko pył na podłodze.

Leon się przebudził, zerwał na nogi, rozejrzał, zdezorientowany. Marcus zdążył odpełznąć pod ścianę, zaczął coś jęczeć.

– Wszystko w porządku – powiedziałem do Leona. – Jak się czujesz?

– Nie...

– Co to było... – doszło mnie spod ściany.

– Odpocznij, chłopcze, porozmawiamy jutro. Idź już.

– Ja... tak...

Spojrzał jeszcze na kupę błękitnawego popiołu, a potem powoli wyszedł.

Wstałem, pomogłem podnieść się Marcusowi.

– To...

– Tak, to siedzi w nas.

– Czy to mogło...

– Zrobić nam krzywdę? Mogło. Czy większą niż wtedy, gdy jest w naszej głowie?

Nie wiem, ciężko powiedzieć, zazwyczaj nie.

– I każdy to ma?

– Mniej lub bardziej każdy. Zależy, niektóre nie są agresywne. Ciężko poznać na początku, ta chyba była.

– To była jakaś kobieta? Dlaczego?

Wzruszyłem ramionami.

– Ciężko powiedzieć. To już pana działka, doktorze. Kim mogła być, że wryła się w jego umysł, że przychodziła do niego w koszmarach, że to od niej uciekał swoimi myślami? Pewnie nigdy o niej nie mówił, a pan nawet nie pomyślał, żeby spytać. Może sam nam powie. Teraz już się jej nie boi.

– I moja córka...

– Tak.

– Będziesz mógł...

– Tak.

– Teraz?

– Jutro.

– Ale...

– Jutro.

– Te potwory... Są też inne? Bardziej agresywne?

– O tak. Groźniejsze niż jakiegokolwiek bestie, które można spotkać w dziczy. Prawdziwe potwory. Ten tutaj mógł nas pozabijać. Gdyby nie ta broń – pokazałem pistolet – nie mielibyśmy żadnych szans.

– Nie można ich inaczej zabić?

– Nie.

– To jest technologia z innego świata, prawda? Jednego z tych, w których byłeś?

– Oczywiście.

Podszedł do sekretarzyka, wyjął szklanki i butelkę, widziałem, jak trzęsą mu się ręce. Nalał, drugie tyle rozlewając; podał mi drugą szklankę. Wypił jednym haustem, ja też upiłem ze swojej. Usiadł, westchnął ciężko, spojrzał na mnie, mrugnął.

– To, co widziałem...

– Na początku też się zdziwiłem. A widziałem już wiele rzeczy. Bardzo wiele. Widziałem też gorsze potwory. Nie uwierzysz, do czego zdolni są ludzie.

Uśmiechnął się.

– Uwierzę.

Uwierzyłyby, gdybym mu opowiedział o tym, co zrobi za dwadzieścia lat? – zastanawiałem się. Co będzie pamiętał z tej rozmowy? Czy jest coś, co powinienem mu powiedzieć? Z jakiegoś powodu miał ze sobą katalizator. Ten katalizator, który teraz trzymam w ręku. Może gdybym mu go nie dał? Ale czy wtedy to wszystko mogłoby się tak potoczyć? Zmienię coś, jeśli mu go nie dam? Powinienem mu go dać, żeby wszystko potoczyło się tak samo dla mnie w przeszłości? Czy jest tam w ogóle jakaśkolwiek przeszłość?

Tego oczywiście sprawdzić nie mogłem. Wiedźmie zakłęcie rzucało mnie przez wymiary i czas, przeszłość mogła być przyszłością, nieważne. Nie wrócę. Albo wrócę. Nie wiedziałem. Nie mogłem być pewien.

– Mam jeden warunek – powiedziałem.

– Warunek?

– Nie możesz tam ze mną wejść.

Zrozumiał, że mówię o sytuacji, gdy będę usuwał strach z jego córki. Czekał tylko, popijając jasny alkohol, aż coś powiem, wyjaśnię.

– To, co tam możesz zobaczyć... być może nie powinienes. Być może będziesz żałował.

– Co też...

– Ale – przerwałem mu – dam ci to. Gdy już skończę.

Podsunałem mu pod oczy katalizator. Zmrużył powieki.

– Dasz?

– Mhm. Ty jesteś doktorem dusz. Tobie się bardziej przyda. Pomyśl tylko, co mógłbyś z tym zrobić.

Wypił jeszcze, zamrugał, skrzywił się i spojrzał znowu na czarną skrzynkę w moich rękach. Doskonale wiedziałem, o czym myślał.

* * *

– Eksperymentalna terapia? – spytała.

– Tak.

– Z jednego z tych miejsc, w których pan był?

– Tak. Proszę się położyć.

Położyła się na łóżku, uniosła głowę.

– Czy to jest nasza przyszłość?

– Ciężko mówić o przyszłości lub przeszłości. One są po prostu... gdzie indziej. Te światy.

– Ale nadal mają tam to... to co ja mam.

Położyła głowę na poduszce, spojrzała gdzieś w bok. Migotliwe światło lamp odbijało się w jej wilgotnych oczach.

– Marcus mi powiedział, to prawda – przyznałem. – O pani dolegliwościach.

– Ojciec sądzi, że to tylko histeria, kobieca przypadłość! Że powinnam siedzieć tu całe dnie, i to mi pomoże... A to właśnie od tego, że całe dnie jestem w zamknięciu, ot co!

– Zobaczymy.

– I pan też będzie po prostu ze mną rozmawiał? Ojciec próbował na początku, ale to nie jest żadna rozmowa, on mnie nie słucha, on tylko przychodzi, patrzy na mnie

i mówi, mówi o jakichś teoriach swoich kolegów, z którymi wymienia listy! W ogóle mnie nie słucha. Raz mnie zamknął tu na tydzień, dosłownie, na klucz! Tylko jedzenie przynosił!

– Ćśśś. Postaraj się zrelaksować.

– Nie będziemy rozmawiać?

– Może potem. W trakcie zapewne zaśniesz. Zobacz.

Wyciągnąłem katalizator, położyłem obok niej.

– Rękę tutaj.

– Tak, o?

– Tak.

– I co teraz?

– Zaśniesz.

Wahałem się chwilę, ale nieznacznie – nie można sobie pozwolić na wahanie, bo ono eskaluje, sekunda zwątpienia, potem druga, i to już nie jest zwątpienie, to jest szczerą chęć, by przestać, wycofać się, to jest strach, i to jest coś ponad strachem. Włączyłem więc urządzenie, a Liz rzeczywiście zasnęła.

Na wszelki wypadek wyciągnąłem kołysankę. Tak naprawdę nie miałem pojęcia, czego się spodziewać, ten strach mógł kłamać, mógł powiedzieć mi cokolwiek.

Ale jednak został tam i uratował mi życie, po czym pewnie zginął.

A teraz pojawił się koło mnie. Wszystkie cienie, kontrastujące z pomarańczowym blaskiem słabych lampek, zebrały się na środku pokoju, wydobyły się spod szaf i komód, wylazły z ciemnych kątów i spod łóżka. Stała przede mną ta sama dziewczyna–strach co wtedy w lesie. Wycelowałem w nią, ale bez przekonania.

Nie rzuciła się na mnie od razu, nie rozszarpała – rozejrzała się tylko niepewnie, spojrziała w dół, na swe dłonie, na swoją suknię, którą zaraz wygładziła, a potem na mnie, przekrzywiając głowę. Mogłem sobie tylko wyobrazić, że zamrugła.

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Kim jesteś? – spytał strach.

– Nazywam się August Lock.

Skinęła głową.

– Ta dziewczyna jest podobna do mnie – powiedziała. – Na wiele sposobów.

Czuję ją.

– Tak.

– Wyciągnąłeś mnie z niej – powiedziała, patrząc na leżącą Liz, na mnie, na

czarną skrzynkę.

– Tak.

– Po co?

Znowu milczałem chwilę. Tak naprawdę nigdy się nie zastanawiałem nad nimi, strachami. Co czują. Czym są. Gdy się je budzi, jakie mają odruchy, jeśli oczywiście nie rzucają się od razu na kogoś. Różne są strachy. Niektóre pełne gniewu i przemocy, niektóre zaś zupełnie inne. Co ona czuła? Praktycznie przed chwilą się narodziła. Ile było w niej Liz? Ile rozumiała? Nie miałem pojęcia.

– Jesteś strachem. Jesteś tym, czego ona boi się najbardziej. Bała.

– Doprawdy? – Strach przechylił głowę.

– Tak. Byłaś w niej. Tym samym ty też byłaś w jakiś sposób... więźniem. Teraz jesteś wolna.

– Wolna?

– Tak. Możesz odejść.

– Dokąd?

– Nie wiem, dokąd pójdziesz. Ale wiem, że za dwadzieścia lat uratujesz mi życie.

– Och?

– Tak. Wrócę tu. Albo przyjdę. Zależy, jak na to patrzeć. Teraz jestem tu po raz kolejny, ale teraz jest później... trudno to wytłumaczyć. Teraz cię ratuję, a potem ty uratujesz mnie.

– I chciałam cię uratować?

– Tak. Zrobiłaś to. Nie wiem, czy chciałaś.

Zbliżyła się bezgłośnie. Delikatne światło kładło się na jej sukni i skórze, ale nie wydobywało kolorów; tylko matowa czerń, jak sprana tkanina. Spojrzała na mnie z góry, nadal siedziałem na łóżku.

– Co to za pistolet?

– Bój się go. Gdy tylko go zobaczysz, uciekaj. To jedyna rzecz, która cię tu może zabić.

– Chciałeś mnie zastrzelić?

– Nie byłem pewny, co z niej wyjdzie.

– Wysłałam ja.

Spojrzała za moje ramię, na dziewczynę, której pierś unosiła się powoli i opadała.

– Śpi?

– Tak. Ale cicho. Lada moment może się obudzić, to nie jest mocny sen. Nie powinna cię tu zobaczyć. W ogóle nie powinna cię widzieć. Ani teraz, ani nigdy.

– Dlaczego?

– Bo dam jej ten pistolet.

– Dlaczego go jej dasz?

– Jeszcze nie wiem.

– Czyli wybawiłeś ją? – powiedziała strach–kobieta, podchodząc do wezglowia, nachylając się nad Liz, jakby chciała ją pocałować. – Tak?

– Tak. Tak będą uważać.

– Ona i jej ojciec?

– Tak. Co pamiętasz? Jak wiele z jej wspomnień...

– Niewiele. Więcej wiem, niż pamiętam. Przywołałeś mnie tu i nie wiesz, czym jestem...

– Spotkamy się jeszcze. W przyszłości. Za dwadzieścia lat.

– Wędrujesz przez czas?

– Nie. Zostałem przeklęty.

– Przeklęty?

– Przeklęła mnie wiedźma.

– Można coś na to poradzić.

– To też wiesz?

– Tak.

Już chciałem spytać, już chciałem, żeby powiedziała mi to, czego nie dowiedziałem się wcześniej (później), ale w tym momencie Liz mruknęła przez sen, przekręciła się na bok.

– Idź już – szepnąłem i w tej samej chwili strach zniknął.

Liz zamrugła po chwili, chrząknęła, uniosła się na łokciu.

– Po wszystkim?

– Tak. Jak się czujesz?

– Jak... dziwnie...

Schowałem kołysankę; zerknęła tylko, nic nie mówiąc. Rozejrzała się po pokoju, a potem, tak samo jak jeszcze przed paroma minutami jej własny strach, spojrzała na swoje dłonie, na nogi, wygładziła suknię.

– Inaczej.

Potem usiadła i się uśmiechnęła.

– Dziękuję, panie Lock. Albercie.

Skinąłem głową.

– Nie zdawałam sobie sprawy... nie zdawałam sobie sprawy z tego, co to było...

Ojciec, on nie mógł wiedzieć, o nie, nie mógł. Ale teraz...

Wstała nagle, obróciła się na pięcie, zaśmiała, dopadła drzwi, przekreśliła zamek.

– Panienko?

– Och, mów mi po imieniu. Ciszej, żeby ojciec nie usłyszał. Pewnie podsłuchuje. Może nie tuż pod drzwiami, ale w pokoju obok. Co zrobiłeś, że tu za tobą nie wszedł?

– Obiecałem mu coś.

– Coś ważniejszego ode mnie zapewne – mruknęła, pochodząc. Usiadła koło mnie, westchnęła. – Nie zdajesz sobie sprawy, Albercie, co za ulga. Tobie też to zrobili?

– Nie – powiedziałem.

– Żałuj, a może powinieneś spróbować? Ty się połóż, a ja to zrobię, chcesz? Tylko pokaż mi, jak się to robi.

– Lepiej nie.

– Boisz się?

– Nie.

– Ciekawe... ciekawe, co by to było... – Zajrzała mi w oczy, uśmiechnięta. – Co by z ciebie wyszło.

– Nie chcę wiedzieć.

– A ja bym chciała. Co się w tobie nazbierało, przez te wszystkie wędrówki, przez te wszystkie podróże... Dużo osób spotkałeś? A ten pistolet?

Sięgnęła dłonią do kabury, dotknęła kołysanki, nie wyjmując, tylko przesunęła palcami po kolbie.

– Ten pistolet, on służy do zabijania strachu, prawda? Zastrześliłeś to? To, co ze mnie wyszło?

– Tak.

I już trzymała głowę tuż przy mojej, już czułem na policzku jej oddech, gdy mówiła, a mówiła bardzo cicho.

– A czy wcześniej... czy wcześniej z kimś... podczas swoich podróży... czy był ktoś...

– Nie.

– Nie?

– Nie.

– Zazdrozczę ci, Albercie... na świecie jest tyle możliwości... zwłaszcza gdy człowiek... się nie boi...

Jej dotyk był ciepły, dłonie trochę drżały, dyszała bardzo szybko, serce biło prawie tak samo jak mnie; oboje byliśmy bardzo cicho, chociaż ona pewnie już w ogóle nie myślała o tym, że jej ojciec może podsłuchiwać w drugim pokoju.

– Liz – powiedziałem potem. – To coś, co wychodzi z ludzi, może być niebezpieczne.

– Wiem. Opowiadałeś. Strachy.

– Dlatego zostawię ci to. – Wyjąłem kołysankę z kabury, podałem jej, wzięła w rękę, obróciła w palcach.

– Działa jak normalny rewolwer. Strzela światłem. Strzel.

– Nic się nie stanie?

– Nie. Strzel.

Strzeliła, światło oblało pokój, rozpełzło się po wszystkich kątach, huk przebrzmiał, echem wystrzału niósł się jeszcze chichot młodej dziewczyny.

– Po co?

Żeby twój ojciec myślał, że jednak zastrzeliłem to coś.

– Żebyś wiedziała, jak tego użyć. Za dwadzieścia lat.

– Kiedy?

– Wtedy gdy wrócę. Gdy przyjdę.

– Przyjdiesz? To znaczy, że gdzieś sobie pójdiesz?

– To klątwa. Czekaaj na mnie, Liz. Czekaaj na mnie. Wiem, że przyjdę. Znajdę sposób. Wtedy, wieczorem, siedemnastego października... gdy się ściemni, gdy nie będzie słońca, idź proszę tam, gdzie mnie dziś znaleźliście. Idź i czekaaj na mnie. Weź kołysankę.

– Mogą z tobą przyjść te potwory?

– Tak.

– Dobrze – powiedziała po chwili milczenia, kiwnęła głową. – Choćby nie wiem co, nie ruszę się stąd. Przyjdę. Będę na ciebie czekała. Aż rzuci cię tu klątwa. Będę czekała, wędrowcze.

* * *

– Leonie...

Chłopak drgnął, odwrócił się. W nim, zdało się, proces nie dokonał aż tak wielkich zmian jak w Liz, albo przynajmniej ja nie byłem w stanie ich zauważyć.

– Jak się czujesz?

– Dobrze, panie. Dziękuję. To było... to było takie... teraz jest...

– Lżej?

– Lżej – przytaknął. – W taki dobry sposób.

– Cieszę się.

Stałem chwilę, chłopak nabrał powietrza, podrapał wierzch dłoni, sięgnął palcami za ucho.

– Jeśli tylko bym mógł coś zrobić... za to... za to, że ja już się tego...

– Daj mi małą kartkę i pióro.

Po chwili przyniósł, o co go prosiłem. Miałem w ręku tę samą kartkę, którą ten chłopak da mi za lat dwadzieścia.

– Jaki jutro będzie dzień?

– Drugi lipca, panie.

Nakreśliłem to, co przeczytałem na kartce wcześniej: *18 PAŹDZIERNIKA, 16:28*, i potem oddzielone kreską, *2 LIPCA, 23:18*.

– Leonie.

– Mhm?

– Która jest teraz godzina?

– Dwudziesta trzydzieści dwie, panie.

Złożyłem kartkę na cztery, spojrzałem chłopakowi w oczy, i wyciągnąłem ją, trzymając w dwóch palcach.

– A teraz posłuchaj, co chcę, żebyś z tym zrobił. Przyjdę tu. Wrócę. Będzie wojna lub coś takiego, ale masz tu zostać. Rozumiesz? Musisz tu zostać, jeśli nie zostaniesz, zginiesz. A tu będziesz bezpieczny. Tak? Słyszysz mnie? Bezpieczny.

Pokiwał głową, a po tym mówiłem dalej.

– I za dwadzieścia lat ja tu przyjdę. Osiemnastego lipca pojawię się w mieście, które jest w tamtą stronę...

– Getten.

– Tak. W Getten. Pojawię się i wtedy zrobisz dwie rzeczy: dasz mi tę kartkę i pokażesz zegarek, żebym wiedział wtedy, która jest godzina. Powiesz mi, że ci kazałem,

dobrze?

– T–tak, ale nie rozumiem...

– Zaufaj mi. Każesz mi to wtedy zapamiętać. Zabrać ze sobą. Potem zniknę. To będzie zapłata. Zapłata za to, co zniknęło z twojej głowy.

Milczał chwilę, patrzył na kartkę w moich palcach, nabrał głośno powietrza, wypuścił, i wyrwał kawałek papieru z mojej ręki.

– Dobrze. Będę tam.

Wiedziałem, że będzie.

* * *

Nie zostało mi wiele czasu, ale znalazłem ją. Albo raczej ona mnie znalazła.

Było już ciemno, wyszedłem na zewnątrz, nie żegnając się z nimi, zostawiając doktorowi katalizator, a Liz kołysankę. Bez tych rzeczy czułem się nagi.

Stałem między drzewami, znalazła mnie oczywiście. Nie zauważyłem jej, dopiero gdy się odezwała, odwróciłem się, a ona odkleiła się od drzewa.

– Dla tej dziewczyny. I dla tego chłopaka. I dla mnie. Dla nas tu przyszedłeś, prawda?

– Widziałeś, co robiłem?

– Jestem cieniem. Czymś jak cień. I jestem strachem. Tak mnie nazywają. Ty też mnie tak nazywasz.

– Nie chciałem...

– Nie chciałeś. Ale powiedziałeś. I co ja mam tu robić? Przez dwadzieścia lat?

– Ja niedługo zniknę...

– Wiem, ciąży na tobie klątwa. Ale to nic. Jestem cieniem. Możesz mnie zabrać ze sobą. Przeniesie nas razem, bo będę twoim cieniem. Bo już raz tak przeniosło z tobą inny cień, prawda?

Nic nie odpowiedziałem.

– Ale ty nie możesz mnie zabrać – mówiła kobieta–strach. – Bo jeśli mnie zabierzesz, to nie będzie nikogo, kto cię tu za dwadzieścia lat uratuje. A kto wie, co się wtedy zdarzy, tak? Być może znikniesz, bo zmienisz przeszłość. A być może nic się nie stanie, być może zginiesz inny ty, ale nie ten ty, być może będziesz trwał nadal, i być może wcale nie musiałeś tak się tutaj starać, żeby wszystko na pewno potoczyło się tak, jak pamiętasz. A może potoczy się inaczej? Może to inna rzeczywistość? Powiedz, Al-

bercie, jak musi być? A jak chcesz, żeby było?

Nie powiedziałem.

– To jest kara – stwierdziła miękko. – Kara. Prawda? O kim teraz myślisz. O mnie? Że tu zostanę? O Liz? A może jeszcze o kimś innym? O dziewczynach z przeszłości? O której z nich? O tej pierwszej? Ostatniej? To jest kara. Bo jak się przywiążesz... jak się przywiążesz, to koniec. Kara. Zawsze coś tracisz. Tę poprzednią. Ona też była cieniem? A teraz co tracisz?

Odwróciłem od niej wzrok, chociaż oczywiście nie mogłem spojrzeć jej w oczy, nie mogłem zajrzeć jej w duszę, ale odwróciłem wzrok.

– Rusza cię to. One wszystkie. Bo gdyby tak nie było, to nie byłoby żadnej kary. Co ty zrobiłeś tej wiedźmie, która cię przeklęła? Dlatego tak wędrujesz. Dlatego w takie światy cię to rzuca, wśród takich ludzi. Ile ich było? Takich jak Liz? Takich jak ja? Pamiętasz w ogóle?

Zacisnąłem pięści, spojrzałem w jej twarz, czyli w ciemność.

I zanim zdążyłem odpowiedzieć, poczułem pchnięcie w plecy.

Przemysław Karbowski

EXPEDITIO FRUSTRATI

Powrót

Ruszy czy nie ruszy? Ściągnę go wędzidłem? Szturchnę ostrogami? Da sobą powodować czy ze względu na przymrozek raczy zarzęzić i nie odpali? I trzeba będzie poszukać jelenia, który za Bóg zapłać popchnie chociażby do skarpy, a potem jakoś to będzie...

Zgrzytnął, charknął i zapalił. Chwała Najwyższemu, mróz był widocznie niewielki, choć po wyjściu z łaźni na świeże powietrze krople wody na brodzie zamarły momentalnie. Łaziebny paradoks – woda pod prysznicem otrzeźwi i rozgrzeje tak bardzo, że za cholereę człowiek nie odczuwa realnej temperatury, za to jak gęby i piór dokładnie nie wytrze, to z miejsca wie, że według skali Celsjusza jest mniej niż zero.

Po nocnej zmianie szybki tusz obudzi na tyle, że istnieje duże prawdopodobieństwo przebywania na jawie przez cały czas spędzony na kręceniu kierownicą. Żebyż jeszcze to poranne wybudzenie puściło z chwilą wylądowania w łóżnicy, kiedy jak najszybciej chciałbym usnąć i nałapać możliwie najwięcej minut. Przeważnie nie wychodzi, ratowanie się kuflem piwa też nie zawsze pomaga, tabletki nasenne w chałupie – nieobecne. Jakieś głupie zasady wyniesione z rodzinnych pieleszy. Nie żryj prochów na sen, bo to niezdrowe. A brak snu niby zdrowy? Podczas wpięprzania jajka nie spalasz aby kawałka skorupki, bo atak wyrostka murowany. Zapewne... Jak nosem pociągasz, nie łyknij nieopatrznie smarków, bo ci siądą na oskrzela. Jakim cudem? Bóg raczy wiedzieć... Zeza nie rób w przeciągu, bo ci tak zostanie. I nie rzucaj się w wir roboty w największy upał, bo cię Południca zabierze. Najchętniej nie rzucałbym się w jakikolwiek wir roboty, niezależnie od pogody, ale świat większość moich fanaberii i zachcianek ma w dupie...

Nic nie będzie z tego piwa, bo muszę przerwać krótki sen. Muszę się zerwać i wyruszyć w podróż. Do miejsc, w których byłem, a na których wspomnienie po plecach przechodzą mi dreszcze. Przerażają mnie te wojaże, ale muszę zacisnąć zęby – z wy-

siłku, bym dał radę opuścić dom, i aby nie wyrwały mi się zza nich słowa grube i wszeteczne. Bo plemiona, które mam zamiar odwiedzić, rządzą się zupełnie inną etykietą, mówią innym językiem, a przepaść kulturowa między nimi a mną jawi się przeważnie jako bezdenna. Po dzwonku budzika czeka mnie starcie w odległych miejscach. Z Nietykalnymi, Zastraszonymi i Nielubianymi... Kumulacja – akurat dziś muszę spotkać się z wszystkimi trzema szczepami.

Nietykalni

Słodki Jezu... Ledwo zasnąłem, a to przeklęte urządzenie piszczy jak opętane. Siad na wyrku, zbyt szybki, zbyt intensywny. Któreś moje nagłe wyprostowanie skończy się wylewem. Nie może być inaczej...

Trzeba by się minimalnie ogarnąć, może nawet uczesać, bo w końcu Nietykalni rezydują w świątyni. W kościele zaprzyszłych porządków, w chramie bóstw nieumarłych, i ja, chcąc nie chcąc, będę tam pewnie robił za składającego lichą ofiarę.

Znak krzyża i wyruszam w imię Boże. W gardle robi się słodko od tej *reisefieber*, którą odczuwam przy każdym wyjściu z domu. Trzepie mnie niesamowicie, nie z zimna, a z niewyspania i wstępnego poddenerwowania. Dlaczego tylu ludzi na ulicach? Dlaczego nie są w pracy, w szkole, w przedszkolu? Godzina dziewiąta rano, dzień powszedni, a nikomu nie chce się gonić za powszednim chlebem. Mają jeszcze zapasy od cici Unry, paczki ze stanu wojennego czy ki diabeł? Nie wyjdziemy z kryzysu tą drogą, nie mamy najmniejszych szans...

Wszyscy gapią się, gdzie ten palant tak zapierdziela, a ja mam wrażenie, że wlokę się noga za nogą. Śpieszę się, żeby to wszystko mieć za sobą, jednocześnie patrząc, czy aby nie rozwiązało mi się sznurowadło, pretekst do opóźnienia marszu.

Drzwi jak drzwi. Solidne, drewniane, opatrzone mosiężnymi tabliczkami. Wygrawerowane godziny urzędowania. I to jest gwóźdź programu. We wszystkie dni oprócz poniedziałku Nietykalni rezydują od 7:30 do 15:30. Trzymajcie mnie! Kto przyjdzie w tych godzinach, skoro swołocz pracująca w sektorze usług wyłazi ze swoich nerek po siedemnastej? Tylko tacy jak ja pracownicy przemysłu, relikty epoki industrialnej, górnicy, hutnicy, operatorzy maszyn. Jeszcze niepozamykane w rezerwatach rarogi, które by wstać na rano do roboty, budzą się o czwartej... Jest nas mało, będzie

coraz mniej, bo w tym cholernym kraju produkowanie czegokolwiek lada chwila zostanie pewnie zabronione.

Za to w poniedziałek Nietykalni raczą wizytujących swoim widokiem aż do 17:30! Nietrudno się domyślić, że ten teatr absurdu zapchany jest wonczas widownią po brzegi. Fale interesantów to wzbierają, to opadają, a krzyku, wrzasku, przekleństw i wzywania imion Boga i świętych nadaremno więcej niż na końskim targu albo drugoligowym meczu.

Drzwi jak drzwi, a za nimi inny świat. Nad drzwiami napis: *TY, KTÓRY WCHODZISZ, ŻEGNAJ SIĘ Z NADZIEJĄ*. Widoczny tylko nocą, przez noktowizor, ale jest, jest tam na pewno. Musi być.

Drugie drzwi już zwiastują, że ład stary, ale wystrój nowy. Szkło i aluminium. Fantastyka i futurologia. Mamłam „dzień dobry”, ale dwie Nietykalne w informacji nawet nie silą się, by otworzyć pyska. Jedna piłuje paznokcie, słowo daję! Piłuje paznokcie. Siedzi, jak siedziała za Bolesława Śmiałego, za Bolesława Bieruta i piłuje. A ja mam tu dwie sprawy, więc silą rzeczy przerosła mnie ta okoliczność. Muszę podejść i zapytać o marszrutę. Gdzie z czym? Do kogo się udać, w kim oparcie znaleźć? Czapkę nawet zdjąłem z tego szacunku dla opilków lądujących pod biurkiem i już się okazuje, że mnie dostrzegły. A jakże, wzdychają ciężko, oczyma wywracają, że w taki chłodny dzień, wtorkowego ranka, komuś się chciało zakłócić błogi spokój rezydentów Urzędu Miasta. Popatrują na siebie dwie kwoki, jedna starsza, druga, jakby nie patrzeć, młodsza, ale już niezgorzej zepsuta, zdemoralizowana nieograniczoną władzą. Przedstawicielka współczesnego absolutyzmu nie do końca oświeconego.

A pies was trącał! Postudiuję rozkład pomieszczeń i pokoi, sam trafię, a co! Boże, jakie to proste... Z prawem jazdy do okienka „Prawa jazdy”.

– Dzień dobry...

– ...nie najlepsze. A sałatkę ze śledzi twierdziła, że zrobiła własnoręcznie, ale resztki folii z opakowania jeszcze w niej pływały... Ciasto za to...

– Dzień dobry.

Nietykalna rozmawia przez telefon. Nie z interesantem, nie ze zwierzchnikiem, nie jest to nawet pomyłka. Ona po prostu dzieli się z sobie podobną pindzią wrażeniami z niedzielnego przyjęcia.

– Muszę kończyć, paa...

A co ja muszę? Aby nie narazić się na opinię pokornego ćwoka, musiałbym przeskoczyć oddzielającą nas barykadę i walić słuchawką w ten natapirowany łeb, wy-

tluc z niego szpetne nawyki ignorowania osób, które robią zrzutkę na pensję tej baby. Edukacja przez przemoc. Zaszczepić Nietykalnej etos pracy adekwatny do pełnionego stanowiska. Ale nie zrobię tego. Wiem, że nie dam rady. Poklask i szacunek zyskałbym od razu. Potrząsałbym na rynku oberżniętą głową pani urzędnik, a biedny lud obrzucałby mnie frezjami i gerberami. Tylko nie wiem, co dalej.

– Skończył mi się termin ważności prawa jazdy, chciałbym przedłużyć...

Miesiąc temu się skończył, jakoś samo się przegapiło.

– Na pierwszy rzut oka widać, że nie może pan jeździć autem. – Nietykalna obraca w dłoniach plastikowy dokument.

– Że co proszę?

– No, jako nieważne...

– Przecież wyda mi pani jakieś zaświadczenie, że oczekuję, zanim zrobię badania, i tak dalej...

Patrzy na mnie jak na przybysza już nie tylko z dalekiej krainy, z innej galaktyki po prostu.

– Nie ma takiej procedury...

– Ale przecież będę w jakiejś ewidencji jako oczekujący, na wypadek policyjnej kontroli?

– Nie ma takiej ewidencji, trzeba się zgłaszać, zanim upłynie termin.

– Chce mi pani powiedzieć, że od czasów Adama i Ewy jestem pierwszym człowiekiem, który przegapił upływanie ważności prawa jazdy? Jakie „nie mogę jeździć”? Do pracy muszę jeździć! Nikt przez lata nie opracował trybu wydania kwitu, że pan taki i taki oczekuje na wydanie nowego prawa jazdy, bo stare się skończyło?

– No, jeździć pan nie może...

– Pani wie, że to absurd?

– Proszę na mnie nie krzyżeć, proszę to wypełnić. Nie może pan jeździć.

Oj, nie chciałaby, żebym krzyknął. Ja też bym nie chciał. Wyjście z urzędu w kajdankach to pewnie nic fajnego. I poddaję się, bo to nie ma sensu.

– Mogę jeździć...

– Słucham?

– Mogę jeździć, tylko mi nie wolno. Rozumie pani?

Po co się głupio pytam? Po co robię miniwykłady z logiki, zdrowego rozsądku, cholera wie czego? I tak dobrze wiem, że nie rozumie. Siadam i wypełniam formularz sfatygowanym długopisem.

– ...no, jestem już, nie, nic... Ciasto za to sama upiekła, ale zakalec na palec, mówię ci. Wcale nie dyszę, co ty mówisz? Zdenerwowana jestem tylko, wiesz, ta praca, ci ludzie... no, właśnie!

I zaśmiewa się do łez. A ja mam ochotę wziąć ten długopis i wykonać Nietykanej na szybko tracheotomię dla ubogich. Taką połowiczną. Dziurę w szyi zrobić, niekoniecznie w tchawicy, ale rurkę jednak zatkać... Nie udrażniać, broń Boże!

Ale ona nie jest tu sama. Jest ich nie tylko manipuł, centuria, kohorta. Ich jest legion, a imię ich też Legion, żeby było łatwo spamiętać.

„Posiadam miejsce zamieszkania zgodne z artykułem...”. I ja to muszę własnym nazwiskiem sygnować, jakaż ta fraza wdzięczna i dźwięczna jednocześnie. Posiadam chęć dorwania debila, który to sformułował. Posiadam emocje zdolne do wysadzenia tego przybytku w powietrze. Nie posiadam się z radości, że tu zawitałem, że wypełniam ten cudowny formularz. Jeszcze chcą deklaracji, że nie jestem uzależniony od alkoholu. A skąd ja mam wiedzieć?

Oddaję kwitki, zdjęcie, zaświadczenie od lekarza, wpłacam w kasie pieniądze i się oddalam. Nawet „do widzenia” z siebie wydusiłem, choć spościłem się przy tym jak mysz kościelna w połogu.

Mokry i wymęczony muszę odpocząć i opracować taktykę na kolejną Nietykalaną, specjalistkę od dowodów rejestracyjnych. „Czy pani jest taką samą głupią krową jak koleżanka od praw jazdy?”. Chyba kiepski pomysł... Ale atak trzeba przypuścić.

– Dzień dobry.

– Słucham?

– Chciałbym wymienić dowód rejestracyjny, bo skończyło mi się miejsce na wpisy przeglądów technicznych...

Młoda urzędniczka wywraca dokument na wszystkie strony, lustruje dane.

– Musi pan przyjść ze współwłaścicielem, auto jest zarejestrowane na dwie osoby. – Zamyka usta, otwiera szerzej oczy. – Co panu jest?

Nic mi nie jest. Żeby uniknąć wyplucia z siebie wiązanki bluzgów, zacząłem imitować kaszel powoli przechodzący w malownicze rżenie. Trochę pomogło. Złość przechodzi we wstęp do letargu, jakiejś katatonii w wersji light. Ale tylko na małą chwilkę.

– Ale proszę pani... Przecież tu chodzi jedynie o wymianę papierka. Mam ciągać ze sobą teścia, żeby się tylko podpisał?

– Wylegitymował i podpisał – poprawia z naciskiem.

– Ja rozumiem, że w przypadku zbycia auta, nabycia, kradzieży, sam nie wiem czego... Tam, gdzie jest jakieś pole do przewalów, nadużyć... Ale, na rany Boga, nie gdy idzie o to, że nie ma miejsca na pieczątki!

Minimalną empatię chyba wyniosła z domu, bo przecież nie z kursów i szkoleń. W oczach ma coś w rodzaju współczucia.

– Niech się pan nie denerwuje. Taki jest przepis. – Pani urzędnik rozkłada bezradnie ręce.

– Proszę pani... – Muszę przytrzymać się framugi. – Jest was prawie milion... Co czterdziesty Polak pracuje w administracji publicznej. Czy naprawdę nikt nie wpadł na to, że przepis jest absurdalny? Czy wy macie jakąś inicjatywę? Czy wy gdzieś zgłaszacie projekty naprawy przepisów debilnych i kretyńskich?

Chyba w czuły punkt uderzyłem. Inicjatywa, projekt, dobra wola, wola zmiany, zmiana na lepsze. Tego nie było na absolutnie żadnym szkoleniu, żaden z prowadzących kursy nie zająknął się nigdy, przynigdy na ten temat. Efekty właśnie podziwiam.

– Czy tylko w dobie komputeryzacji i cyfryzacji musicie udawać, że jesteście potrzebne i wszystko utrudniać? Są was tu jakieś straszne ilości, wszystko powinno iść gładko, a ja mam wrażenie, że odbijam się jak od ściany.

Pani nie wie, co powiedzieć. Z jednej strony czuje na sobie wzrok starszych koleżanek, które się dziwią, że ona jeszcze w tej rozmowie uczestniczy, zamiast zjechać mnie z góry na dół i przywołać do porządku. Nie chce przed nimi wyjść na najslabsze ogniwo oddziału. Z drugiej – pot na moim czole i bezradność w moim łamiącym się głosie każe jej spróbować mi pomóc.

– Współwłaściciel może udzielić panu pisemnego upoważnienia, nie musi tu przychodzić. Kosztuje to siedemnaście złotych...

Chciała dobrze. Z mojej facjaty już wyczytała, że nie wyszło. Pochrzakałem w kulał, nie chciałem już symulować ataku astmy. Ona próbuje po dobroci, ja też spróbuję.

– Proszę pani, czy ja pójde z tym świstkiem do domu, czy przytargam tu teścia, jest na dobrą sprawę bez różnicy. Ale ta różnica jednak jest. On się zdenerwuje, że na mocy głupawego przepisu musi iść na niepotrzebny spacer, ale zaoszczędzimy siedemnaście złotych polskich... Tylko ja będę musiał wykonać ten sam spacer tam i z powrotem. A ja w pracy muszę codziennie w szybkim tempie pokonać kilkanaście kilometrów, z tego trzy po schodach. Dla mnie spacer nie są rozrywką, tylko przereklamowanym sposobem na nadwerężenie nóg.

Nawijam teatralnym szeptem, prawie syczę. Nietykalna przestraszona łypie w stronę koleżanek, ale nie ma zmiłuj! Nagle wszystkie są niesłuchanie zajęte, nosy w papierach, dłonie uzbrojone w pieczątki i zszywacze. Pieczętują, podpisują, zszywają, spinają.

– Istnieje jeszcze jedna możliwość. – Pani też konspiracyjnie ścisza głos. – Może pan przyjść z żoną, teść wypisze upoważnienie na żonę, a ona podpisze się w jego imieniu. Ponieważ zachodzi wtedy pierwszy stopień pokrewieństwa, nie będzie pan płacił tych siedemnastu złotych...

Ileż furtek, kruczków i sposobów! Cóż za paleta wykrętów i obejścia przepisu. A przecież można by go zlikwidować jednym zapisem, dodać paragraf, ustęp...

Nietykalna jest dziwnie smutna. Chyba nic więcej nie może dla mnie zrobić. Uszanuję to albo przynajmniej spróbuję.

– Dziękuję za rady, ale jednak pójdę po teścia i przyjdziemy za pół godziny. Nie mam siły do tej afery angażować jeszcze małżonki, zwłaszcza że jest w pracy.

– I niech się pan tak nie denerwuje.

– Gdyby musiała pani utrzymywać z podatków tyłu urzędasów...

Nagła zmiana w twarzy pani urzędniczki. Kokieteryjnie mruga, chyba jej się jeszcze na flirty zebrało. A ja już wiem, co powie.

– Ja też płacę podatki. – Nietykalna uśmiecha się nieco wyzywająco.

Muszę ją sprowadzić na ziemię.

– Niezupełnie. Podatki od pensji, która składa się z podatków, również idą z podatków... Zatem?

– Zatem nie płacę podatków? – Trzepocze rzęsami. – Pan żartuje.

Dosyć tego.

– Nie żartuję. Do widzenia za pół godziny.

Zastraszeni

Jakoś poszło. Teść na zachwyconego nie wyglądał, ale przyszedł ze mną do urzędu. Pokisiliśmy się, wędrując, w zdroworozsądkowym sosie własnym, poplwaliliśmy na codzienne polskie święto – Absurdalia – celebrowane od wieków z różnym natężeniem, jednak nigdy nie odwołane. Zawsze na czasie.

I co? Sterta papierzysek do podpisania przez nas obu, kolejne banknoty złożone na ołtarzu rozbuchanej biurokracji, do zobaczenia się z panią w lepszych czasach i do domu.

A to była dopiero pierwsza stacja męki przy Wielkim Wtorku. Nawet nie umiałem sam przez nią przebrnąć, musiałem ratować się ojcem żony. Teraz pomoże mi żona we własnej osobie. Nie ma co się śmiać. Większość mizantropów była kiedyś urocza i dowcipna, wyrywała dziewczyny na czar i dowcip, szastała na prawo i lewo dżentelmeniadą i ogładą. To i nie dziwne, że niektórym przytrafiła się małżonka, która, pomna przysięgi, trwała w związku, choć dowcip był już pieśnią przeszłości, podobnie jak urok. Naturalna kolej rzeczy...

Co ta moja niezrównana żona, nazywana przeze mnie pieszczotliwie Niezrównowaną, napisała na świstku w kratkę? „To co zawsze” plus zakupy niecodzienne. Z tym co zawsze problemu w sklepie nie ma, za produktami rzadko kupowanymi trzeba się po markecie pokreślić jak gównem w przeręblu, bo przeważnie towar kupowany ostatnio rok temu jest już w zupełnie innym skrzydle, dziale, na zupełnie innych półkach, niż się wydaje.

Może jednak iść spać i ruszyć w regały popołudniem? Nie! To nie ma sensu, wiem, że to nie ma sensu. Zapiaszczone oczy nabiegną krwią, cen nie będę dobrze widział, ale przynajmniej będzie luźniej. Nie porozstawiają się z wózkami na środku przejścia, kolejki mogą być nieco mniejsze... choć z drugiej strony będzie mniej otwartych kas. Nieważne, mogę odstać swoje w ogonku, byle tylko mieć przestrzeń i nie obijać się o innych klientów. Zwycięża opcja porannej konkwesty. Rumaka do boju i jadę! Przesiadam się na sklepowy wózek i narzucam sobie ostre tempo.

Dlaczego właśnie ich nazywam Zastraszonymi, podczas gdy faktycznie to samo można powiedzieć o większości ludzi mających w tym kraju pracę? Sam nie wiem... Chyba dlatego, że mają te dziwne umowy na jakieś ułamki etatu, żeby – Boże broń – koszty ich pracy nie były za wysokie. Może dlatego, że czuwa nad nimi przeważnie biały człowiek z zachodniej cywilizacji wyższej, który systemem nadzorowania całą nienawiść dołów kieruje w tych, którzy są szczebel wyżej. Wystarczy mieć dzieci oraz kredyt i wiadomo, że aby być Zastraszonym, trzeba naprawdę niewiele...

Ochrona... Przed czym oni mogą ochronić? Ten ze szklanym okiem, tamten z uschniętą rączką, w nogawkach pewnie drewniane nogi, tępe haki zamiast dłoni ukryte w przydługich rękawach... Chroń mnie Boże, by stanęli w mojej obronie! Chroń mienie tego sklepu, aby nigdy nie musieli ścigać żadnego złodzieja! Ilu z nich pole-

głoby podczas takiego pościgu, boję się nawet pomyśleć. Ale to wcale nie są okrutne żarty. Przynajmniej ja nie żartuję. Żartownisiem był ten, kto ową gwardię ustawił przy wejściu do kościoła świętej Konsumpcji. Albo chociaż ten, kto ustawowo wymógł istnienie ochrony w tego typu przybytkach. Każdy gwardzista uzbrojony po zęby w orzeczenie o inwalidztwie – aby swego chlebodawcy nie narazić na kolejny rok w tym samym samochodzie, aby nie zdublować kosztów swojego wystawiania w miejscu i przechadzania się tam i z powrotem. Coś z hobbitów mają... Przeważnie nikczemny wzrost.

Podróż do supermarketu ma w sobie również pierwiastek podróży w czasie. Cofa się człowiek do lat wczesnomłodzieńczych, gdy prawie każdy był socjalistą, i różne gówniarskie uniesienia, pomieszane głównie z rojeniami przebiegają mu przez głowę. Oddajcie ludziom godność, zapewnijcie pracę i płacę, każdemu według... I tak dalej. I obuchem w potylicę uderza rzeczywistość twarda i brutalna. Halo, podróżniku! Robotniku! Podwalino przemysłu spożywczego! Czyż nie urabiasz rąk po łokcie, aby rzucić się na ich nierzadko łapówką wytargane renty? Na zasiłki, które pobiorą, gdy stąd wylecą? Na kolejnego Nietykalnego, który tych Zastraszonych będzie aktywizował zawodowo, byle tylko chcieli się odhaczyć w urzędzie pracy? Modlącego się, by nie starczyło im odwagi, żeby ruszyli za granicę, bo co będzie wtedy robił?

Ileż głupot w głowie na samym wejściu! Najgorsze, że tych samych co tydzień temu, w związku z tym o żadnym intelektualnym zapłodnieniu nie może być mowy.

Oho... Tempo narzucam tak wielkie, że chyba nie wyrobiłem na zakręcie czasoprzestrzeni. Zawsze były tu kosmetyki, utensylia do mycia uzębienia, pasty, płyny... Co to ja mówiłem? Że z „tym co zawsze” nie ma problemów? Nigdy nie było, bo „to co zawsze” zawsze było na swoim miejscu. Wykrakałem... Teraz nie jest. Teraz są słodycze od podłogi po sufit. Posypał mi się taki piękny plan zakupu pasty do zębów, która jest „tym co zawsze” i powinna być tam, gdzie zawsze. W tym dziale to ja mogę najwyżej coś do zepsucia zębów wrzucić do wózka...

– Przepraszam panią, tu zawsze były pasty do zębów... – zwracam się do kobiety, która wyklada towar na półki, a oprócz tego wystawia na widok publiczny coś, co wystawiają wszystkie kobiety wykładające towar na półki. Dupę mianowicie. Musiałbym poszperać, czy ustawodawca, który nakazał poustawiać tu ochroniarzy, nie wypiczył w wolnej chwili przepisu o odpowiednim umundurowaniu pań wykładających towar na półkach. Obowiązkowe za krótkie bluzki i za małe spodnie. Wszystkie, które raczą przykucnąć, w stopniu dużym bądź bardzo dużym muszą pochwalić się bielizną i

tym, na czym owa bielizna się trzyma. Męskiemu, szowinistycznemu gnojkiowi, jakim jestem, to oczywiście nie przeszkadza, ale są pewne granice, głównie wiekowe i te dotyczące kroju poszczególnych majtek, których nie mam zamiaru przekraczać wzrokiem, a czasem nie zdążę go odwrócić. Ty, moja droga, nie wstawaj, nie odwracaj się do mnie, nie prostuj się, aby udzielić mi informacji. Trwaj w przykłęku, boś stworzona, żeby strudzonego wędrowca napoić słodką małmazją widoku malowniczo opiętych pośladków!

Skromna Zastraszona płoni się pod moim lubieżnym spojrzeniem, zdaje sobie sprawę, że nie patrzyłem na kafelki, które poleruje podeszwą adidasa. Staje przede mną niewinna jak lilia...

– Za ścianą, nie widzi pan?

Chyba mi się przysnęło na stojąco. Co za bezczelny babsztyl! Ani skromna, ani niewinna, pyskata i niegrzeczna, niewychowana... Jak za ścianą, to jasne, że nie widzę. Po co w sumie pytałem? Mogłem się rozejrzeć. Moja wina. Bardzo wielka zresztą.

Trzeba zapamiętać, że pasty do zębów od teraz są nie tam, gdzie zawsze były, tylko w następnej alejce. Ale mam przykrą świadomość, że straciłem czas. Zapisana przez Niezrównoważoną kartka miała mi służyć za kompas w rajdzie za produktami, szybko tu, szybko tam... Nie udało się, nie można jednak rozczulać się nad sobą, wózku, prowadź w następne aleje! Mleko, mięso, woda, ser, warzywa, owoce... Może zdjąć czapkę? Niech chłodzi mnie pęd niczym wielbłąda na pustyni! Niech rzadkie włosy rozwiewa podmuch zimnego powietrza z chłodzonych regałów z nabiałem! Niech lico me ogorzeje jak gęby wilków morskich i białych najemników w Afryce! Niech mnie już puści ta bezsennością wywołana głupawka! Bo zaczynają się problemy.

Psiamać... Rewers kartki zapisany zachciankami niecodziennymi. Czy sok z brzozy to to samo co woda brzozowa? Okazuje się, że nie... Na dziale z kosmetykami nieobecny, tam, gdzie wody różnego rodzaju, też go nie ma. Dom i ogród? Kto w ogrodzie sadi brzozy?

Miotam się jak wściekły kundel na łańcuchu, bo obiecałem sobie w duchu, że nikogo o nic już nie zapytam. Nie dam tej satysfakcji i nie dam się obrażać! Jezusie, ten cholerny sok z brzozy jest na dziale z zarciem eko, bio, i Dio wie czym jeszcze. Wszystko rzekomo wolne od genetycznych modyfikacji, sok sojowy, kotlet sojowy, bułeczki sojowe, pasztet sojowy, a pośród fal Oceanu Sojowego nieszczęsny sok z brzozy wolny od dodatku soi. Mam i wypad do kasy! I tylko taka malutka refleksja: wszystkie te sojowe wynalazki tanie nie są, dlaczego zatem do mięcha i wędlin dodaje

się soję, żeby było taniej? Tuszonka, parówki i polędwice mają w składzie soję... Czepiam się na śpiąco czy wytropiłem właśnie spisek?

Nie ma czasu na głupoty, jestem pierwszy przy kasie. Jak na rogatec. Zapłacić myto i może wypuszczają... Zastraszona majstruje przy czteropaku z piwskim, obraca puszkę kodem do skanera, załapało... Tylko, psiakrew, kwota dziwnie wysokawa. Poczekam... Wszystko już spakowałem, rachuneczek, dziękuję, miłego dnia, zapraszam ponownie. Rzut oka na rachuneczek, ha! Piwo razy sześć, a przecież z półki wyrwałem czteropak, który spoczął na dnie wózka.

– Proszę pani, piw było cztery, a na rachunku jest sześć.

Zastraszona patrzy na rachunek, zagląda do wózka, na przerażoną tą okolicznością nie wygląda.

– Rzeczywiście, musi pan przejść z rachunkiem do punktu obsługi i anulować... Zarechotałem. Tak filmowo, rubasznie, strasznie.

– Szanowna pani, ja nie będę nigdzie chodził, bo pani się pomyliła...

Tym rechetem ją przeraziłem. Nic nie mówi, a ja w okrucieństwie posuwam się coraz dalej. Cóż, oberwie rykoszetem za lalę, która zarzuciła mi brak spostrzegawczości. Sama zresztą też bez winy nie jest.

– Proszę kogoś wezwać, niech to odkręci, skoro pani sama nie może, bo ja się nigdzie nie wybieram.

– Ale w punkcie obsługi mogą anulować i zwrócić panu pieniądze...

– Ale ten punkt obsługi jest na drugim końcu sklepu, ja nie mam czasu ani ochoty!

– Widocznie odruchowo wbiłam sześć...

– Lepiej niech się pani nie chwali, że odruchowo wbija pani sześć sztuk zamiast czterech! Naprawdę!

O Boże, tego nie chciałem! Zastraszona ma oczy pełne łez. A przecież ja tylko normalnie mówię, że nigdzie nie pójde, i grzecznie proszę o załatwienie sprawy na miejscu. W myślach słyszę ukochaną Niezrównoważoną: ciebie trzeba po prostu nagrywać i puszczać ci te nagrania do upadłego! Ty siebie nie słyszysz! Tobie się tylko wydaje, że mówisz grzecznie i normalnie! A tak naprawdę drzesz się i wydziwiasz!

Gówno prawda! Ja jestem wrażliwy na lzy niewieście, zaraz dam tego dowód.

– Wie pani co? Ja pójde po te dwa piwa i sprawa załatwiona. W końcu mam dużo bliżej niż do punktu obsługi klienta...

Dobieram dwie puszki i wracam do kasy, choć wcale nie jestem pewny, czy nie

ryknąłem, że pieprzę was wszystkich, cały ten burdel, a o audiencję u kierownika nie ubiegam się tylko dlatego, że nie mam czasu.

Chyba nie było tak źle, Zastraszona ślozy rzewne otarła, nos wysiąkała, głęboko odetchnęła i ucieszyła się w duchu, że zniknąłem za drzwiami. Ja też się ucieszyłem, że dwie stacje mojej podróży już odhaczyłem.

Nielubiani

Ledwo zasnąłem, a to przeklęte urządzenie piszczy jak opętane. Cholerne déj à vu. Już raz dzisiaj przeżywałem ten stan, ale dostrzegam różnice. Nie wiem, jak się nazywam, nie wiem, jaki dziś dzień, nic nie wiem... Nie pamiętam nawet, żeby – Boże broń – nie siadać zbyt szybko na łóżku. I siadam, i ból głowy na dobry wieczór. Tego brakowało. Nie ma to jak jechać na nocną zmianę z bolącą łepetyną. Giermek! Podajcie mi mocniejszą tabletkę przeciwbólową!

Nie ma giermka, samemu trzeba się pofatygować, wyleźć z sypialni, przemyć zaplusczone oczy.

W pieprzonej apteczce jest wszystko. Jakby tak dobrze poszukać, to i lek na nosaciznę u hipopotamów by się znalazł, albo preparat na gzy bydlęce. Tylko tabletek na ból nie ma. Na ból istnienia...

Nieźrównowazona przed telewizorem zażywa wywczasu, chyba trzeba jej zakłócić odbiór.

– Kochanie, mamy coś na ból głowy?

Małżonka wzdycha ciężko, przerzuca zawartość apteczki, przewraca pięknymi oczyma i rzuca na stół a to taki, a to owaki środek na ból. Że niby ze mnie poszukiwacz–oferma. Już się biedactwo chciało oddalić z powrotem przed ekran, ale nie ze mną te numery! Otwieram jedno pudełko, drugie, trzecie, no właśnie... Spoglądam wymownie w te oczy... Pudełka są albo puste, albo zawierają tylko ulotkę, która chroni przed konsultacją z lekarzem lub farmaceutą.

Nieźrównowazona znowu wzdycha i wzywa imienia Pana Boga nadaremno, ale litościwie sięga do torebki. W tej torebce jak w tej apteczce, nie przymierzając. Brakuje tylko kartonazowej maszyny do szycia... Ale jest biała pastylka, którą łykam z lubością, i wydaje mi się, że już mnie łeb nie napierdziela. Hurra!

Buzi, baw się dobrze, uważaj na siebie, nie zaśnij przed telewizorem, nie macaj koleżanek, nie zaśnij na rano, nie zaśnij za kierownicą, nie oglądaj tych głupot, nie pieprz głupot, kocham cię, ja też cię kocham. Ile? Tyle...

Wyprowadzam ze stajni mojego wiernego Rosynanta i ruszam do boju, żeby chociaż z wiatrakami. Nie grozi... To będzie zwyczajny bój z materią nieożywioną, z maszynami, urządzeniami i wózkami widłowymi. To będzie walka o wyprodukowanie jak największej ilości towaru, wojna o wydajności i premie, i o przeżycie. Bo czasem wydaje mi się, że któregoś pięknego dnia albo nocy padnę sobie trupem i poniosą mnie na drzwiach.

Padnę, bo się w końcu tak zdenerwuję, że pójdzie mi żyłka w mózgu albo przestanie bić serce. Nie wspomniałem o wojnie najważniejszej, z żywym przeciwnikiem. Z wszystkimi, którzy ponad, i z tymi, którzy na równi, i z tymi, którzy pod, z Nielubianymi po prostu.

Młodzież irytuje dlatego, że jest młodsza i głupia jak but z lewej nogi. Ja wiem, ona zawsze jest głupia, czy to Rzym starożytny, czy międzywojnie, ale niech nikt mi nie wmawia, że zawsze jest głupia tak samo. Nieprawda! Zawsze głupia młodzież jest z pokolenia na pokolenie coraz głupsza, i to jest przygnębiające. Współczesna jest na dodatek notorycznie przećpana gównem ogólnie dostępnym, taki znak czasu. Za moich czasów na prowincji nawet diler narkotyków nie było, a jak komuś znudził się alkohol, to musiał fatygować się do miasta wojewódzkiego. A mało komu się chciało...

Starsi irytują dlatego, że są starsi, więc wydaje im się, że z automatu należy im się jakiś szacunek, choć bywają przedstawiciele starszyny jeszcze głupszy niż ta młodzież. Mało tego, oni się nierzadko już rozmnożyli i gen głupoty rozsiali po świecie. Wtedy nachodzą człowieka myśli o eugenicie, o przymusowej sterylizacji, o eliminacji i ewaporacji, anihilacji i utylizacji. Roję sobie, że stoję na czele Szwadronu Śmierci i strzelam do co bardziej tępych, a oni walą się pokotem na posadzkę. To nie marzenie, to zachcianka. Marzeń trzeba się bać, na spełnienie zachcianek należy być przygotowanym.

Lubić się tu nikogo nie da, no, może poza trzema osobami...

– Gdzie się ryjesz z tym badziewiem?

Grzecznie, przystępnie i zrozumiale witam młodego człowieka, świetlaną przyszłość tego kraju, który patrzy, jak by mi tu pod maszynę zrzucić ćwierć tony półproduktu. I to nie jest nic wielkiego. Przeraża, że on chce to zrobić za pomocą rąk własnych, zmarnotrawić na to czas i siły tylko dlatego, że nie chce mu się użyć mózgow-

nicy. A jest magazynierem i nie wątpię, że badania na jej obecność przeszedł pomyślnie. Zatem ten młody Nielubiany potrzebuje bodźca.

– Do kurwy nędzy, popatrz no, co masz na palecie! Przejedź się na koniec hali, tam zrzuć te parę kilo, które potrzebują, wróć z resztą dla mnie i wstaw tu całą paletę! Będziesz ręcznie nagiął z tym ciężarem, a ja na twoją rentę inwalidzką będęłożył?!

– Rzeczywiście... – Nielubiany ucieszył się, jakby sam rozwiązał problem. Jeszcze kilka moich cierpliwych wskazówek i może coś z niego będzie? Pewności nie ma, ale się staram. Bo niby czemu nie? Niech pracuje w przemyśle, spożywczym, bo spożywczym, ale zawsze... W przeciwnym razie zostaną mu tylko usługi, informacja albo bezrobocie.

I pójdzie hyr po zakładzie, że znowu kogoś niesłusznie opieprzyłem. Nikt nie patrzy, że właśnie wyprostowałem ścieżki umysłu młodego człowieka, że dzięki moim cennym radom chłopina będzie zdrowszy i zacznie wydajniej pracować. Wszyscy tylko widzieli, bo słyszeć w tym hałasie nie mogli, że wymachuję łapami, pokazuję to tu, to tam, i otwieram gębę na całą szerokość, a gęba robi się coraz bardziej czerwona. Pies ich trącał. Jest oczywiście druga strona tego medalu. Jak już raz na parę lat trafi się koleżanka, której pošlę coś w rodzaju uśmiechu albo zagadam nie raz i nie dwa, z automatu w ludzkiej zbiorowości staje się ona moją kochanką, bo to przecież nienaturalne, żeby ten buc nadęty zmuszał się do uśmiechu w kierunku dziewczyny, której regularnie nie chędoży.

Z przełożonymi łatwiej nie jest. Rotacja duża, to i z każdym trzeba się dogrywać, żeby się nie doigrać. Od chamów czystej wody po osoby zbyt dobre i łagodne, patrzące na świat i ludzi przez różowe okulary. Predyspozycje takie do zarządzania średnio się nadają, więc kierownicy tego typu lecą ze stołków, zanim jeszcze zaczniemy się obawiać, że może to nastąpić.

Ponieważ kraj nasz nieszczęsny niemal każdemu gwarantuje wyższe wykształcenie, nawet osobnikom, którzy przed wojną nie dostaliby świadectwa ukończenia choćby ochronki, statystycznie zawsze musi się znaleźć ktoś po marketingu i zarządzaniu, z kim trzeba się przepychać i przy kim frustruję się brakiem jakiegokolwiek płaszczyzny semantycznej, by nawiązać kontakt, o dyskusji nie wspominając. Pojęć niby używamy tych samych, problem w tym, że znaczenia pojęć już się nie zgadzają. A już nie daj Boże, gdy zacznę wymagać orientacji w kulturze szeroko pojętej – robi się niebezpiecznie i źle, bo każdy cytat, parafraza, odwołanie do historii powszechnej i literatury światowej, ba, każde zdanie wyartykułowane jako taką polszczyzną, trakto-

wane jest w kategoriach obrazy majestatu i ciężkiej obelgi. Wtedy wrzucają mnie w stan permanentnej schizofrenii, bo z jednej strony wysłuchuję litanii na temat swej elitarności w zakładzie albo i branży w ogóle, zachwyty nad pracą zawodową, z drugiej wpychają mi w pysk knebel i zakaz dzielenia się własnym zdaniem na zebraniach. Zdanie, owszem, posiadać mogę, ale wygłaszanie go wiąże się z groźbą zwolnienia z pracy. Smutne to jakieś i niekonsekwentne. Temperuję wtedy pyskaty jęzor, próbuję stylizacji na niemowę, jąkałę bądź półgłówka, czyli na pracownika, który jest szczytem marzeń kadry menedżerskiej, bo żadne szkolenie dla niej nie uwzględni hipotetycznej sytuacji, że robot głos zabrać może i zdanie podrzędnie złożone nim wygłosić. A więc co ja tu właściwie robię, poza robieniem pieniędzy? Nic... Płynę tylko stateczkiem z burtą tak przeżartą przez świdraki, że zaraz wleje mi się na pokład albo wypowiedzenie, albo wylew, albo zawał. Zespół nagłej śmierci z przepracowania, przewrażliwienia, lęku i ogólnego podkurwienia...

Osiem godzin nocnej zmiany mijają, czerwony przycisk, maszyna stop i do łaźni. Przeżyłem niezwykłą dobową podróż, nie zginąłem, nie zleciałem z klifu, nie zabili mnie asasyni, carscy agenci, jezuici ani masoni. Przeżyłem wszystkie trzy potyczki, rozprawiłem się ze wszystkimi trzema plemionami. Mój dzisiejszy patron, generał Custer, byłby ze mnie dumny. Teraz zabić może mnie tylko droga powrotna... Kierowca, który nadjeżdża z przeciwka, sarna w lesie, ogromny pieszy, którego nie zauważę, bo zasnę.

Mróz chyba lżejszy niż wczoraj, odpalisz, Rosynancie? Ha, od strzału. Ponieś mnie do domu, z którego nie wychodziłbym, gdybym nie musiał. Niech w domu przyjdzie sen. Najlepiej taki, w którym ukatrupiłem wszystkich wrogów i zatańczyłem na ich grobach.

Niech przyjdzie jakikolwiek sen...

Antyfona

*Najwyższy Stwórco Wszechstworzenia,
chroń od wypowiedzenia.*

*Szefie Niebiańskiego Kahalu,
oddal ryzyko zawału.*

*Gabrielu i Michale,
wylewu nie zsyłaj wcale.
Ty, Któryś Pantokratozem,
nie strasz nowotworem.
Na tych, co toną w eufemizmach,
co mdła rozumu ich tężyzna,
na ludzi głupich, choć kształconych,
na koleżanki mojej żony,
na wszystkich, którzy mnie wkurzają,
co słuchać mogą, a nie słuchają,
na przełożonych i podwładnych,
i na potwarców przeszkardnych
ześlij, zepchnij, Boża Odnowo,
Noc Kryształową.*

Tomasz Mróz

NOC W CZARNYM MIEŚCIE

Noc jeszcze trwała, grając na czarnym, gwiazdzystym flecie swoją chłodną nutę. Coś nie dawało zasnąć. Nie, inaczej. Powiedziałbym raczej, że wyrwało nagle z płytkiego, późnonocnego snu i męczyło tym na wpół świadomym stanem. Może to ta czerń, niby cicha i zimna, ale naprawdę wołająca w mej duszy rozrywającym głosem? Może to odwieczny instynkt łowcy i opiekuna plemienia, by wstać i ruszyć przed świtem na polowanie, gdy jeszcze zwierzęta nie tak czujne? Może to po prostu taki czas nastał, kiedy żyjesz już kilkadziesiąt lat na tym łożu padole i nagle przed oczyma gaśnie światło czerwone, a zapala się zielone. Można działać i iść. Dokąd? Po co? Nie było odpowiedzi. Jedynie ten cichy i zimny krzyk nocy oraz na wpół zbudzona percepcja mieszająca się z dopiero co wygasłymi marami sennymi. Skałami wyobraźni, wśród których wędrujesz, giniesz, rozmawiasz z umarłymi i na wpół żywymi, gdzie świat może być kropka w kropkę podobny do tego jasnego, namacalnego, by za chwilę niespodziewanie przepoczwarzyć się w koszarne monstrum pożerające swoje dzieci. Ja stałem na skraju tego wszystkiego, walczyłem z czernią wokół siebie i wewnątrz siebie. Kim jestem? – pytałem sam siebie.

– Kim jesteś? – zagrało echem wiele głosów w moim sercu. Znałem ten ton, pełen wyższości i pogardy dla moich kłopotów. Czyżby na dodatek kpili ze mnie? Usłyszeli nutę wątpliwości wyciekłą przez nieuwagę z moich myśli i teraz mają używanie? Wyobrażałem sobie, co się tam u nich dzieje: już się śmiali, już dowcipkowali, że sobie nie radzę, że jestem za słaby, żeby żyć, a tym bardziej umrzeć.

Wyskoczyłem z pościeli, próbując bezszelestnie lawirować po domu. Ubrałem się po cichu. Wszyscy w domu jeszcze spali. Spowijał ich czarny kokon, a oni wędrowali po innych światach. Błądzili po poszarpanych skałach nieznanymi łądów z sennych mar. Narzuciłem szlafrok na pidżamę, naciągnąłem na nogi skarpetki i pantofle, bezszelestnie otworzyłem drzwi. Siny odbłask jarzeniówki zagrał na lamperkach klatki schodowej. Powoli kroczyłem w dół, nadal starając się zachowywać jak najciszej. Jak więzień, który właśnie zauważył niedomkniętą kratę, oszukał strażników, i krok za

krokiem, pozornie od niechcienia, zmierza ku wolności. Jednakże robi to tak, aby w każdej chwili powiedzieć, że to przez przypadek, że on nie zamierzał stąd zbiec. Dlaczego? Przecież każdy może wyjść na papierosa przed dom. Przecież każdy, do cholery, może wyjść o najczarniejszej godzinie nocy przed własny dom! Każdy może trochę się zadumać nad pięknem tej drogi w nieznaną. Drogi, która ukazuje tylko kilka najbliższych metrów, a następnie niknie rozmazana w czerni zarośli. Również każdy może chcieć zobaczyć, jak to jest – zrobić kilka kroków i przeżyć najbliższe chwile, minuty, a może lata, bez jasnego planu, bez ustalonej godziny powrotu, bez ubioru właściwego dla panującej pogody. Bez celu. Tak. Każdy to może, ale nikt tego nie robi. Dlatego nieco zdziwiony tą niecodzienną akcją, tym pędem wyrrywającym mnie cichą czernią z kolein powszedniości, schodziłem stopień za stopniem tak, by nikt mnie nie zobaczył. Nikt nie przyłapał. Wreszcie moją twarz owionął wiatr. Byłem na zewnątrz.

– Witam, witam, sąsiedzie! – Tubalny głos dopadł mnie gdzieś z boku. – Nie możemy spać?

Skuliłem się, niby prawdziwy zbieg, którego dopadł gończy pies policyjny i teraz jedyne, co pozostaje, to próbować go nie drażnić i chronić gardło przed ostrymi kłami.

– A tak, tak. Wyszedłem zapalić. Nie mogę spać, a w domu nie wolno dymić – tłumaczyłem się nieśmiało, na potwierdzenie tej wersji wysupłując z paczki biały kształt papierosa.

– Jasne – potwierdził tamten i zapatrzył się w czerń. Jego postać przywodziła na myśl kapitana statku, który zza steru krótko wita gościa na mostku kapitańskim, i zaraz zwraca ponownie wzrok ku falom.

– Pan tak często tu nocą? – zadałem pytanie dość osobiste, choć jak najbardziej uzasadnione okolicznościami.

– Prawie zawsze – mruknął twardym kapitańskim głosem. – Pięknie tu, nie mogę się powstrzymać.

Muszę przyznać, że ta odpowiedź mnie nieco zdziwiła, zupełnie jakbym się dowiedział, że w moim ogródku rośnie rzadko spotykany gatunek rośliny. Po chwili milczenia postanowiłem kontynuować temat.

– Tylko tu, czy może czasem gdzieś dalej... – Urwałem przestraszony, że wchodzę w zbyt intymne sfery życia mojego rozmówcy, jednak tamten się nie obraził. Uśmiechnął się tylko z wyższością.

– Po co dalej? Tu jest super. Mam wszystko, czego trzeba – odparł ze szczerym zdziwieniem.

Trzeba przyznać, że odpowiedź mnie zbulwersowała. Można by to było przyrównać do przechwałek kogoś, kto wpadł do kałuży, a potem opowiadał, że zażył kąpieli w oceanach.

– A tam? O, za te drzewa pan kiedyś poszedłeś? Nie ciągnie pana, żeby zobaczyć, popróbować czegoś innego?

Spowaźniał nagle. Zagryzł wargi w zamyśleniu, wyglądał jeszcze bardziej jak kapitan, tyle że bardzo surowy dla siebie i załogi.

– Nie – odpowiedział zwięźle, choć wydawało mi się, że słyszę w jego głosie również nutkę strachu i nieszczerości. – Tam nie, ani nigdzie indziej też nie.

Odwrócił się na pięcie i zszedł z posterunku w stronę klatki schodowej. Odniosłem wrażenie, że się obraził albo przestraszył.

– Dobranoc. Niech pan nie dmucha dymem do środka. Kwiaty od tego wędną – przestrzegł mnie jeszcze i zniknął w drzwiach.

Dziwny typ. Odwróciłem się znowu w stronę ciemności i zastygłem, przejmując stery po moim kapitanie. Nic się nie działo, nocny ocean niósł nas bez zakłóceń. Po dłuższej chwili zszedłem o stopień niżej; potem o następny. Dalej nic się nie wydarzyło. Nikt nie obserwował ani nie pouczał, co i jak. Nie tłumaczył, że noc jest do spania, a dzień do pracy i aktywnego wypoczynku. Nic z tych rzeczy. Byłem tu jedynie sam ze sobą. Tak myślałem. Tak mi się wydawało. I wiedziałem również, że oni spoglądają po sobie zdezorientowani, jakby niemo pytając: „Zaraz, zaraz. Tak po prostu – kolejny schodek i jeszcze kolejny?”. To była chwila cichego tryumfu nad samym sobą. W końcu dotarłem do poziomu ziemi. Znowu odwróciłem się trwożnie, jakby nie wierząc, że przekraczanie tych kolejnych nieprzekraczalnych granic ujdzie mi bezkarnie. Ale uchodziło.

Zarośla były coraz bliżej. Krok za krokiem zostawiałem poza sobą światełko mojego portu, by zanurzyć się w fale czerni. W końcu gałęzie zamknęły się za mną, siekąc mglisty refleks na tysiące odłamków i odblasków. Otaczały opieką, śledząc mój upór dotychczas nieznaną i raczej niezrozumiałą, nawet dla mnie samego. Naszła mnie wątpliwość, czy to na pewno zwykłe, ziemskie drzewa i zarośla? A może w tej gałęziącej się ciemności ktoś się ukrył? Towarzysz mój, anioł, który zawsze podąża w ślad za człowiekiem, ciesząc się, że ten w końcu wyrwał go z nudy codzienności, ale i martwiąc w niepewności, co jego człowiek głupiego wymyślił. Za plecami zniknął już mój bezpieczny port i surowy kapitan. Bywaj!

– Bywaj – dodał mi odwagi mój drzewny anioł, choć sam miał głos drżący,

jakby dziecko podczas burzy pocieszał.

Ruszyłem dalej, wyznaczając trasę ognikiem papierosa. Mówią, że to niezdrowe. Być może, ale dodaje otuchy. Powoli się upewniałem, nie ma pogoni, nie ma żadnych: „Bij, zabij, hajda na psubrata”. Dał chłodny wiatr, przez puszystą tkaninę nocy gdzieś gdzieś prześwitywał delikatny blask bijący od drzewnych pni, niepewność zalewała mą duszę.

– Aniele mój, strzeż mnie...

– Człowiecze mój... – Srebrnoszare pnie niosły niepewną odpowiedź.

Szedłem dalej.

Czerń mnie otaczała coraz ciasniej. Parłem do przodu, chociaż przyznam, nie tak sobie wyobrażałem moje nocne wędrówki. Nie tak martwe i chłodne. Doszliśmy do jakichś zabudowań. Ciemne rogi ulic górowały majestatycznie nad ciemnymi chodnikami. Stuk kroków w studni podwórka, brzęk toczącej się po bruku monety. Gdzie się podział towarzysz mój, anioł drzewny, anioł zielny? Szumiący, niepewny siebie i podanego mu człowieka. Miasto go zabiło, zniwelowało do płaskości pogłosu szarawego? Znowu zacząłem szukać siebie w szmerach czarnego otoczenia. Czarne oczy okien, czarne płuca dymu, czarne myśli. A oni, jak to oni, znowu stali się bardziej pewni siebie, znowu spostrzegli, że nie do końca sobie radzę i można rzucić mi pod nogi przeszkodę, że można mnie znów lżyć i wyśmiewać bezkarnie. Chwilowo na to pozwalałem. Chwilowo. Ugięty brzemieniem podjętej decyzji, gorzkiego żalu za tym, czego nie zrobiłem.

W pewnym momencie ujrzałem za rogiem pulsującą neonową poświatę. Migoczący róż, świecący informacją tyleż krótką, co pobudzającą zmysły. Klub nocny, miejsce bijące dusznym zapachem atrakcji. Do tamtej pory zakazanych, bo żona, bo wierność, bo rodzina, bo co by sąsiedzi powiedzieli... Zaraz. Dlaczego wcześniej, a teraz nie? Przecież nic się nie zmieniło, przecież wyszedłeś tylko na chwilę odetchnąć nocnym powietrzem, poczłapałeś w tym dziwnym stroju przez krzaki i już się coś zmieniło? Bujda! Wiedziałem jednak, że nie. Ja nie byłem już sobą, kimś z dnia poprzedniego lub sprzed roku. Udowodnił to ich strach, ich szemranie na widok mojej podróży i nieme posłuszeństwo anielskiego towarzysza. Pulsująca różem oaza była coraz bliżej. Jak latarnia morska w nawalnicy czarnych kantów miasta, kamiennych bram i przybudówek. Kusila. Dręczyła mnie myśl, dlaczego to miasto jest takie czarne i puste. Jakby mnie tu wpychało. Jakby mówiło: „Nie, nic innego nie mamy. Dla wykolejonych, czarnych nocnych marków jest tylko ta bezpieczna przystań”. Uniżony por-

tier w liberii opiętej na beczkowatym brzuchu zapraszał: „Pan sobie życzy, pan sobie wybiera, pan...”. Coś odpowiedziałem, gdzieś mnie zaprowadzili. Wszędzie czerwono, pulsująco, zaduch nigdy niewietrzonych pomieszczeń, przesiąkniętych dymem, zapachem kobiet i mężczyzn.

Pojawiła się dziewczyna – mówiła do mnie namiętym szeptem o rozkoszach, jakie daje jej dotyk, i dość nieudolnie próbowała mnie przekonać do rozkoszy, jakich mógłby dostarczać jej mój dotyk. Ręką zgrabiała jeszcze od nocnego zimna i drżącą z emocji sięgnąłem ku jej gładkiej skórze. Przecież każdy marzy o miłości doskonałej, anielskiej w swej słodczy i lekkości, bezwarunkowej. Każdy, ja też. Dłoń zawisła w połowie drogi, a ona czekała. Być może się nawet niecierpliwiła, widząc, że chyba nie promieniuje już namiętnością jak kiedyś, że jej profesjonalizm to bardziej wróg w takich sytuacjach niż przyjaciel. A ja nie widziałem już człowieka, bardziej mięsno-wilgotny obiekt pożądania, wciągający w swoje objęcia, oblepiający, pożerający. „Nie. Nie chcę tak. To jakieś szatańskie sztuczki!”, pomyślałem. Wyskoczyłem na czarny korytarz, pędem dobiegłem do kotary oddzielającej mnie od chłodnego, dobrego w swej czerni i ciszy świata.

– Nie podoba się? – Zdziwiony portier otaksował mnie wzrokiem. Analizował mój stan wzburzenia, niemal przerażenia.

– Ależ wręcz przeciwnie... Super, super. – Nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć. Nie chciałem obrazić jego zawodowej dumy. – Tylko wie pan, gdzie ja, staruch, do takiej... Poza tym żonaty jestem.

– No ale chyba nie w tym świecie – zdziwił się.

– Co pan właściwie ma na myśli? – zdziwiłem się jeszcze bardziej.

– Bo pan to wygląda trochę jak... – Urwał nagle, lustrując mnie tak, jakby pierwszy raz w życiu widział podobnego stwora. – A może się mylę? Nie, nie, to niemożliwe. Na pewno się mylę. Dobranoc.

– Dobranoc – mruknąłem zdumiony.

Odszedłem, co rusz oglądając się na tego człowieka wpatzonego we mnie z napięciem. O co chodzi?

Podążyłem z powrotem w czarną, betonowo-ceglaną noc. Poczulem, że mój Anioł również tu dotarł. Nauczył się używać kamiennych kanałów, kutych w żelazie i odlanych w betonie przejść przez bezduszną czerni. Był tam i opromieniał nieśmiałym uśmiechem mrok martwych placów i ulic. Zacząłem myśleć o nim z sympatią. Trochę jak o milej ciotce, która zawsze przywozi czekoladki i głaszczcze po głowie, pyta-

jąc o szkołę. Doszło do tego, że zdrabniałem jego imię w myślach i wyobrażałem sobie, jak wygląda. Miły, pluszowy, świecący, serdeczny A.

– Cześć A.!

A. nie chciał przejść na ty. Milczał zdziwiony tym nachalnym spoufalaniem się, towarzysząc mi w czarnej wędrowce i szukając drogi poprzez szpary i nierówności tego świata. Kroczyliśmy dalej, pozostawiając za sobą nierównomierny, różowy puls neonu.

Ja już wiedziałem, że się omyliłem. To miasto nie było zupełnie czarne. Wystarczyło oderwać wzrok i myśli od tej łatwiejszej drogi ku igrającemu światłu, by wejść na nowy szlak. Tu czerń rozczłonkowała się na odcienie mniej lub mocniej nasyczone, na szarości zupełne i takie prawie nie szare. Co więcej, pojawiło się światło. Po ulicach, po placach, drogą wyznaczaną prostymi przecinającymi się pod różnymi kątami, pełzały wężyki światła. To był mój chwilowy cel – źródło tej jasności. Coś mnie tam ciągnęło, nie dawało zapomnieć. Widziałem w wyobraźni różne obrazki tego miejsca – kaganek mądrości, płomień wiecznej pochodni, a może stos z wyjącem o litość heretykiem. Coś w środku podpowiadało mi najstraszniejsze sceny, bo już wiedziałem, że w tym świecie wszystko jest możliwe. Coraz mocniej ztracałem wspomnienie swojego małego marzenia o kilku chwilach powszedniej beztroski, o srogim kapitanie i jego radach wobec niezmiernego oceanu czerni. To ja stawałem się czernią, powoli zapominając, jak wygląda droga powrotna i zwykła, swojska czerń nocna, nie taka w samym środku człowieka. I wiedzieć tego, w zasadzie, nie chciałem. Czulem jedynie, jak A., widząc mój stan, martwi się coraz bardziej. Brnąc przez ten wrogi dla każdego zielno–drzewnego anioła betonowy ugór, próbował mnie zawrócić, przywołać do porządku. Ale ja go nie słuchałem. Zacząłem robić wszystko jakby na przekór, im na złość, wbrew wszelkim dociekaniom, posykiwaniom, głosom oburzenia i niecnym przypuszczeniom. W środku grało mi postanowienie:

– O nie! Nie zamierzam być jedynie zabawką, pionkiem w grze i nieistotnym trybikiem w maszynie świata. Ja chcę być wszystkim. Wszystkim innym! Rozumiecie!?

A oni robili takie miny, jakby wariata spotkali. Naradzali się, szeptali między sobą, że jeszcze takiego przypadku nie mieli.

– No i co? Patałachy! Już ja wam pokażę! – tryumfowałem.

Wtedy A. ścisnął uspokajająco moje ramię. Zasyczał mi anielskie ostrzeżenie, że mogę robić, co chcę, byle bez awantur. Poszliśmy dalej. Szukałem wzrokiem strumyczków światła, które widziałem wcześniej. Są! – znalazłem. Płynęły leniwie, znacząc krawędzie i załamania jasnością linii.

Dlaczego to miasto wygląda na martwe? Dlaczego trzeba tu godzinami szukać oznak jakiegokolwiek życia, a każdy promyk lub podmuch wiatru jest niczym znak od Boga. Kto tu żyje? A może raczej: kto tu usiłuje żyć? – zastanawiałem się.

Strumienie nabierały siły, prowadziły mnie już pewniejszym tropem. Wychyłałem zza rogu, oślepiła mnie jasność ogarniająca ten kawałek miasta. Płomienie buchały z rozpalonych ognisk, przy których siedzieli skuleni ludzie. Rozpoznawałem jedynie ich czarne zarysy wycięte ze świetlistego tła. Widać było, że to dla nich nie pierwszozna, siedzieć tu, przeczekać nocny chłód i ciemność. Czekać wiecznie, nie opuszczać posterunku, dbając, by wieczny ogień nigdy nie wygasł. Jednak było to tylko trwanie, podtrzymywanie resztek jakichś pradawnych nadziei i ich legendy, głoszącej, iż świat jest jasny i piękny. Dziwne, że tak wielkie miasto, góra betonu, stali, cegieł i szkła miało tak niewiele oświetlenia. Podeszedłem bliżej. A. nie był zbyt zadowolony z mojej ciekawości. Żaden stwór leśny nie ma zaufania do wytworów sztucznego świata, do zdradzieckich, czarnych maszyn imitujących życie. Wędrowka to wędrowka, ale po co zaczepiać jakichś obcych? W dodatku włóczęgów, co można było poznać w migoczących refleksach ognia. Zarośnięte oblicza, niechlujne i brudne ubrania, dobytek trzymany cały czas przy sobie na wózku albo w torbach. Dlaczego gdy się natknąłem na drugi jasny punkt w tej wędrowce, to znowu znalazłem się wśród tak dziwnych, niecodziennych ludzi. Nie tak to miało być. A. westchnął zrezygnowany, chyba stracił do mnie cierpliwość. Przyłączyłem się do kręgu wkoło ogniska, ciepło ogarnęło mnie i przytuliło... Zwodnicze, niebezpieczne uczucie. Wielu ludzi w mroźne dni w taki sposób odebrało sobie życie, stojąc twarzą do ognia, a jednocześnie nadal tkwiąc na zimnie. Wzbudziłem ciekawość; kilka postaci z kręgu zaczęło szeptać między sobą, co chwila zerkając w moją stronę. Może A. miał rację? Po co wchodzić między obcych? Lepiej pozostać niedostępnym wędrowcem przez czerń, nikogo nie zaczepiać i nie być zaczepianym. Mieć spokój. Zacząłem się cofać, powoli ustępować pola czarnym wizerunkom i rozterkom. Po co tu jestem? Jakże wiatry zawiały mnie w ten czarny świat?

– Panie... – Ktoś z boku uczeplił się mojej ręki i nie mogłem się go pozbyć. – Panie, czemu już odchodzisz? Czemu nie rzekniesz ni słowa?

Czego chciał ten zaczajony cień? Oślepiiony ogniem nie rozpoznawałem kształtów. Do kogo on mówi? – myślałem.

– Ktoś ty? – Nie wiedząc, co rzec, mówiłem cokolwiek.

– Człowiek, jak wszyscy tu. Myśmy tyle czekali, a ty odchodzisz? – W mrocznym tle czaiło się więcej postaci, powoli zacząłem rozróżniać odcienie szarości muskane

rozbłyskami ognistych refleksów.

– A co mam zrobić? Po co zostawać? – Znowu powiedziałem co bądź. Rozległ się szmer zawodu, ktoś nawet cicho załkał.

– Co każesz, panie, uczynimy. Jedyne nie zostawiaj nas na ciemność wieczną.

Przerażenie podeszło mi do gardła i zacisnęło pętelkę. Zewsząd otaczali mnie ludzie i chcieli czegoś, czego ja ni w ząb nie rozumiałem. Czulem w ich słowach, głosie, desperację i brak nadziei. O co im chodzi? Oszaleli? Za kogo mnie biorą? Jak się od nich uwolnić? – zastanawiałem się desperacko.

– Nie skazuję was na ciemność. Sami się skazujecie – odpowiedziałem, starając się tak pokierować rozmowę, żeby sobie poszli. – Rozniećcie te ognie wszędzie: na placach, ulicach, na dachach domów, a doczekacie światła. Noc nie jest wieczna, jedynie człowiek niecierpliwy...

Dobrze poszło? Udało się ich pozbyć? Szemrali między sobą, ale po chwili zobaczyłem, jak grupa za grupą podchodzili do ognia, chwyтали żagwie i wędrowali wzdłuż ulic, roznosząc światło. Rzucali blask na czerń tysiąca okien, dotychczas niezmaconą, płoszyli szarość błotnisto-ceglanych kątów. A co najważniejsze – odchodzili ode mnie. A. westchnął z ulgą, może z niedowierzaniem. W każdym razie byliśmy wolni.

– Wiejemy stąd! – syknąłem. Zacząłem się wycofywać za najbliższy róg ulicy.

Z mojego wnętrza dochodziło ich głucho milczenie. Nie rozumieli, co się stało. Mieli nadzieję, że tamci mnie zaczepią, nauczą rozumu, może nawet zabiją, a tymczasem to znowu ja byłem górą. Odchodziłem, spoglądając na świetliste nitki rozwijane po kamiennej pustyni, na ślady życia rozsyłane po okolicy. Rozpierały mnie ulga i satysfakcja. Jedyne A. wydawał się bardziej niż sceptyczny wobec moich osiągnięć, czulem to. Jednak się głośno nie sprzeciwił, ani słowem nie pisnął. Cholerne anielskie dobre wychowanie.

Udało się wyrwać, nikt nie zauważył mojego odwrotu. Tam w tle trwała jakaś niezrozumiała euforia. Poruszeni moimi słowami włóczędzy biegli po ulicach miasta, jakby roznosząc po zastygłych w beznadziei, śpiących domach świetliste wici. Oto stało się, nie musi być, jak było. Dobra nowina kołowała nad czarnym światem: „Miejcie i wy swój promyk, biedacy!”.

– Chodźmy stąd – A. ciągnął mnie nerwowo, nadal nie wykazywał entuzjazmu dla nocnej eskapady. W ogóle A. to straszny sztywniak. Zasady, reguły, tradycja, no i dziesięć przykazań, a jakże. Wyluzuj, skrzydlaty! Średniowiecze już dawno minęło.

Love and freedom for everyone. Brodate Zenki dały się wkręcić – wszędzie biegali nawiedzeni szczęśliwcy. I jam to był uczynił, nie chwaląc się. Wędrowaliśmy dalej. Świetlne wici plotły jasność w zakamarkach kamiennej dżungli. Nawet jeżeli nie widziałem jeszcze światła przed sobą, to luna w tle już znacznie urosła i spotężniała. Pełznący ogień wypierał dotychczasowy chłód i błotniście plaskającą wilgoć kątów, skąd zaczęły wychodzić dziwne, jakby wybudzone ze snu istoty. Wielkie, przyzwyczajone do ciemności oczy, zgarbiona sylwetka, idealna dla skrycia się w czarnych zakamarkach tutejszych budynków. Uciekały przed świetlną rewolucją, szukając odleglejszych, nadal ciemnych miejsc. Mijaliśmy kolejne zaułki – wąskie uliczki, kwadraty milczących domów.

– ...wyglądał całkiem normalnie, a jednak od razu zwróciłem na niego uwagę.

Na małym placyku natknąłem się na karocę, przy której ktoś stał. Usłyszałem dwa głosy, jeden należący do osoby obok powozu, drugi odpowiadający przez czarny połysk atlasowej zasłanki w oknie. Z boku kozła zwisła latarnia, jarząca się mdłym, żółtawym światłem, które ogarniało jedynie woźnicę i drzwi pojazdu.

– Mówił coś jeszcze? – padło ze środka pytanie, zadane nieznośnym sprzeciwu tonem.

– Nie, nie, tylko... – Postać u stopni karocy się zawahała. Poznałem go. To był człowiek spod neonu. Rozmawiali o mnie?

– Mów – rozbrzmiała zachęta.

– Sprawiał wrażenie, jakby się czegoś bał albo przed czymś uciekał – kontynuował niechętnie gruby portier.

Pod moimi stopami zazgrzytał trącony przypadkowo kamień. Człowiek przy powozie odwrócił się zaniepokojony. Ktoś wychylił się z okna karocy, a następnie wydał krótkie, chrapliwe polecenie. Woźnica podciął konia. Chyba... W półmroku ciężko było orzec z całkowitą pewnością, jakie to zwierzę – w każdym razie wydanego przez nie dźwięku nie nazwałbym rżeniem. Powóz oddalił się z szaleńczym turkotem, znacząc swój szlak chyboczącą się latarnią, i po sekundzie zniknął za zakrętem. Zaułek zapadł w szarawą ciemność, jedynie znad łusek dachów luna skapywała półmrokiem na nasze głowy i na czerń okien okolonych wyszczerzonymi zębami cegieł. Jakiś kształt, dotychczas skulony pod czarną ścianą, zerwał się gwałtownie i uciekł przez niskie okienko do piwnicznego wjazdu. Wzdrygnąłem się z obrzydzenia. Grubas odwrócił się na pięcie i chciał mnie minąć bez słowa. Uciec. Zastąpiłem mu drogę. A znowu się zdenerwował, że zaczepiam ludzi.

– Kto to był? – z moich ust padło najbardziej oczywiste w tej sytuacji pytanie.

– Panie, ja musiałem, on by się i tak dowiedział... Nie myśl, że ja źle... – zaczął się jęklonie tłumaczyć. Odwracał głowę, jakby zbyt zawstydzony, żeby spojrzeć mi w oczy.

– Donosiłeś?

– Ależ panie!

Opanowała mnie złość dotychczas mi nieznana. Czułem, że mam nad nim przewagę. Grubas bał się tamtego w powozie, ale mnie też się bał. Wiedział, że świat się zmienia; dotychczas tak stabilny i ustalony w swej czerni, chłodzie i wilgoci, zaczął się przepoczwarzać bezpowrotnie. I ja miałem z tym coś wspólnego.

– Tam jest twoje miejsce! – krzyknąłem, chwytając go za ramię i wskazując na czarne piwniczne włazy. – Rozumiesz? Jak będziesz się tak wszystkiego bać, to tam skończysz.

Coś zaszurało we wskazanym przeze mnie kącie. Głowę bym dał, że z piwnicznych okien i zza czarnych tafli szyb obserwowało nas wiele oczu. Portier wyrwał się i pobiegł w swoją stronę. A. pociągnął mnie w swoją. Odchodziłem, usiłując otrząsnąć się z gniewu i próbując ułożyć sobie wszystko w głowie. Łuny w tle gorzały coraz silniej.

Zaraz, zaraz, opamiętaj się. Przecież nie tak miała wyglądać twoja cudowna wędrówka. To była przecież tęsknota za wolnością, pragnienie wyrwania krat codzienności, postanowienie znalezienia serc bliskich i bijących tym samym rytmem. Gdzie się pchasz? Co robisz? A może raczej, co się tu wyprawia? Bo planu nie ma żadnego. To wszystko się dzieje jakoś tak samo – sumitowałem się wewnątrz. Wyrwałeś się raz ze swojego świata, człowieku marny, to i inne światy zaczęłeś zmieniać. To nie tak miało być. Dlatego coś mi mówiło, żeby stąd uciec. Spod tych spojrzeń wielkich, czarnych oczu przestraszonych, ale i groźnych, należących do istot w piwnicach, od niezdrowej euforii tłumów z pochodniami, od wiecznie przerażonych ludzi, pragnących służyć wszystkim i wszystkiemu za cenę chwili spokoju. Uciekać. Nic tu po nas. Tylko słońce, góry, doliny i szarpane podmuchami korony drzew mogłyby nas uratować. Piękne widoki, naturalny rytm słońca i księżyca, pór roku, ciepła i zimna. Uciekać.

A. milczał pobłaźliwie. Od początku tak radził i nie miał w tym temacie już nic do dodania.

– Stój...! – huknął gruby, głęboki głos.

– ...kto idzie? – kwestię dokończył piskliwy falsecik.

Zastygłem, rozglądając się zdziwiony. Z drzwi budynku wychynał dziwny kształt, ludzki–nieludzki. Wyglądał, jakby... Tak. On miał dwie głowy. Dwie głowy na długich, kołyszących się szyjach. Zastanawiałem się, cóż to za dziwo mnie zatrzymuje i czego chce.

– Mówię przecież...

– ...stój! – Dziwny duet powtórzył swoją kwestię.

Przecież stałem.

– Kontrola...

– ...graniczna.

Granica? Granica czego? Kołyszący się dwójgłów podszedł bliżej, analizując moją osobę. Obie głowy mruczały coś pod nosem. Jedna buczała, druga piszczała. Dawało to efekt podobny do próby chóru, gdy mieszają się różne tony. W końcu stwór ozwał się piszcząco–burczącym dwugłosem:

– Można iść.

– Zakaz dalszej wędrówki.

Spojrzeni po sobie, jakby nie wierzyli własnym uszom, że brat syjamski powiedział taką głupotę. Następnie syknęli wściekle w podwójnym unisono:

– Kretyn! – Tu byli zgodni.

Stałem, czekając na ostateczny werdykt, jednak w ferworze walki wewnętrznej strażnik stracił chyba zainteresowanie moją osobą.

Usta podwójnego stwora przekrzykiwały się coraz głośniejsze, każda we własnej tonacji. Dawało to przez dłuższą chwilę efekt dość komiczny, ale w końcu przestało być śmiesznie. Głowy rzuciły się sobie do gardeł i charcząc, usiłowały wgryźć się w tętnicę brata. Błyskały kły obnażone we wzajemnej wściekłości. Trwała bezpardonowa walka. Werbalna różnica zdań przeistoczyła się w prawdziwą furję dwóch istot uwięzionych w jednym ciele. Po kilku sekundach pojedynku z samym sobą strażnik padł na ziemię i wił się przy akompaniamencie szaleńczych wrzasków. Zęby każdej z głów szukały gorączkowo okazji do zagryzienia drugiej. Jednak było jasne, że ktokolwiek by wygrał, zawsze przegrają obaj. Wreszcie miotający się kształt znieruchomiał, wydając głuche pomruki. Kończyny zastygły, drgając od czasu do czasu w agonii. Droga była wolna.

Jednak ja nie ruszałem się z miejsca. Byłem tak przerażony i zaskoczony, że trwałem nad tym dziwnym zwierzo–człkiem kilka następnych minut. Pochować go? Spalić? Przecież nie godziło się zostawić go jak śmiecia. Na dokładkę – oni się obudzili.

Miałem nadzieję, że moje sukcesy, moja niepokorność zatkały te oburzone gęby, ale oni byli nie do zdarcia. Mały błąd, drobne potknięcie, a już zaczynały się szept, podburzanie, gniew i sianie niepewności. Czy moja siła nie robiła na nich wrażenia? Czy nie zauważyli, czego dokonałem? Wystarczyło się obrócić. Całe miasto płonęło. Nawet stąd widziałem w oddali postacie niosące pochodnie.

Nie zamierzałem ich słuchać. I nie chciałem również więcej oglądać tej kreatury zagryzionej przez samą siebie, bo...

– ...bo ty go zabiłeś – dopowiedzieli gniewnie. – Bo jesteś jak słoń w składzie porcelany. Nieświadomy własnej siły i tłukący piękne caczuszka jednym ruchem słupowatej nogi. Ciekawe, jak się z tego wywiniesz?

– Nie! – zawyłem. – Ja przecież tylko... tylko... chciałem zobaczyć, co jest w tej atramentowej czerni, posłuchać lodowatej ciszy. Powłóczyć się trochę, nie licząc godzin, kroków lub spalonych kalorii. Nie licząc się ze światem. Nie będąc jedynie trybikiem w maszynie, kropelką w morzu...

A. westchnął ponuro. Jakże ciężko być z kimś takim jak ja. Jego irytacja rosła. Wieczne problemy z tymi ludźmi. Ciągłe pretensje. Spokojne życie – źle, ciemna wędrówka – źle, zabójstwa, horror i masakra – też źle. Zdecyduj się, człowieku! A. zdenerwował się nie na żarty. Ciężko dyszał, przeżywając chwile zwątpienia w ludzi i zniechęcenia do swojej roboty. Ogólnie mówiąc, wylądował na zakręcie anielskiego życia. Jeżeli dodać do tego zagryzione przez samego siebie zwłoki strażnika, krążące szept wewnątrz, coraz wyraźniej płonące miasto w tle – to nie było dobrze. Poziom gniewu się podnosił.

Wtedy zauważyłem, że idą. Wylewali się spoza zabudowań, przechodzili przez podmiejskie łągi, pokrywali coraz większy obszar. Tłum postaci oświetlonych rzędem niesionych pochodni. Śpiew, ryk, szum ognia. Czarna karetka podążała na czele tego orszaku. Koła, tocząc się wolno po koleinach drogi, prowadziły rozlewający się na boki strumień ludzki, latarnia kołysała się u kozła woźnicy, gubiąc jednak w morzu ogniowego światła jakikolwiek sens istnienia swojej małej, pokurczonej żółtawości. Zmierzali w moim kierunku – dotrą tu, nim minie kilka minut. Obróciłem się i pogałem w panicznej ucieczce. Krzyki, trzask bicz, wycie tłumów i skowyt, ni to ludzki, ni to zwierzęcy.

Zauważyli mnie.

Gonitwa. Nawoływania. Strach. Brak tchu.

Wpadłem w boczną uliczkę. Okiennice zamykały się z trzaskiem, chroniąc choć

na chwilę skulonych ze strachu tubylców przed zalewem atakującej tłuszczy.

– Tutaj, panie. – Ktoś pociągnął mnie za rękaw, wepchnął do czarnej sieni.

Trzask drzwi. Szybki, paniczny oddech. Krzyki były coraz bliżej. Zalewali uliczkę roztrzęsioną magmą, wpadali do mieszkań i wywlekali ludzi na ulice. Wrzaski kobiet, płacz dzieci. Przez szparę w drzwiach widziałem karete, która majestatycznie wtoczyła się na plac i zastygła pośrodku rozlanej ciżby, niby centrum dowodzenia dla tych okrucieństw. Zamarłem z zaskoczenia i wstrętu – na ścianie tylnej powozu coś wisiało. Zwłoki. Wielkie, wydłużone w owadzi odwłok ciało i dwoje wielkich, nieruchomych czarnych oczu. Kolejne fale tłumu podążały za dyndającym truchłem. Napawały się swoim tryumfem i widokiem upodlenia znienawidzonej rasy. W drzwiach karety ktoś się pojawił, zamarł na schodkach, lustrując sytuację. Tłum na chwilę ucichł, najwyraźniej był to ich prowodyr. Kilka sekund rozkoszował się wywołaną przez siebie ciszą, następnie podniósł rękę i zakrzyknął:

– Szukać go! A znajdziecie kogoś z wielkookich, to bez litości!

– Bez litości! – ryknęły tysiące gardeł, aż się szyby zatrzęsyły. Teraz był ich czas. Teraz mogli pokazać wszystkim, kto tu rządzi. Wydawało mi się, że rozpoznaję w tłumie twarze z kręgu przy ognisku. Może to było złudzenie?

Zaraz tu będą! Wchodzili do każdego domu.

– Panie, ochroń nas...

Spojrzałem w końcu na swojego wybawiciela, a raczej wybawicielkę. Młode, piękne oblicze. Znajome, lecz widziane w zupełnie innych okolicznościach.

– Módlmy się... – powiedziałem stanowczym, choć cichym głosem. Odwróciłem się ku izbie głównej i zamarłem.

Na ścianie wisiał obraz. Przedstawiał człowieka unoszącego dłonie w geście błogosławieństwa. Długie, powłóczyste szaty spływały z ramion, zamieniając się przy ziemi w złociste, świetlne fale. Nad głową kilka słów: *NOC NIE JEST WIECZNA, JEDYNY CZŁOWIEK NIECIERPLIWY*. Przecież to ja! Moja podobizna oświetlona u dołu kilkoma kagankami, ożywiającymi obraz pełgającym światłem. Zaskoczony wpatrywałem się w siebie samego. A. również zaniemówił. Nawet oni nie pisnęli słowem. Wpatrywałem się w swoje oblicze, nie wiedząc, co powiedzieć, jak zareagować.

– To... ja? – wydukałem wreszcie dość mało oryginalne pytanie.

– Ty, panie. Odkąd przyniosłeś nam światło i słowo, nie chcemy starych, mrocznych bogów. Oni siali jedynie strach.

– Ale ja...

– Ty dajesz nam nadzieję i życie! – Chwyciła mnie za rękę.

– A oni? Czego chcą? – Wskazałem na drzwi, zza których dochodził ryk tysięcy gardeł, wrzaski i jęki mordowanych.

– Oni? Ciebie. Wiedzą, że bez twoich słów, bez twojego światła długo żyć nie będą. Urodzili się, by egzystować, żyć z dnia na dzień w strachu, bez własnego planu i idei. Ty jesteś myślą naszą przewodnią – szeptała, objąwszy mnie i wtuliwszy się w moją pierś.

Słyszałem wyraźnie bicie jej serca, jej szybki oddech. Wtopiłem twarz w pachnące fale włosów, spod których błyszczały zielone oczy. Nagle doszło do mnie, kim jest ta dziewczyna. Uciekłem od niej spod pulsującego neonu nie dalej jak wczoraj, choć w skali przemian w tym mieście było to jakby wieki temu. Tam była potworem, godną pogardy, brudną i wulgarną ulicznicą. Tu oddawała mi cześć po swoim nawróceniu. Porównywałem jej obecny obraz z wczorajszym. Nie mogłem się oprzeć tej dwoistości, połączeniu brudu ze śnieżną czystością. Pochyliłem głowę tak, aby jej usta znalazły się tuż obok moich. Następnie zerwałem gwałtownym ruchem jej suknię. Skuliła się wstydliwie, jednak nie protestowała. Piękne ciało drżało lekko w oczekiwaniu na kolejne wydarzenia. Gdzieś tam daleko, w tle, słyszałem, jak A. łopocze rozpaczliwie skrzydłami, jak chce mnie odciągnąć od pięknej nieznajomej. Przypominał przeraźliwym, bezgłośnym krzykiem o zobowiązaniach, o moim życiu, o świecie, w którym moje czyny nazwano by po prostu grzechem. Wiedziałem, że on tego nie zrozumie! Cholerny bezpłciowiec. Myśli, że jak jest dobrze, to wystarczy tego nie zepsuć, a dalej będzie dobrze.

– Otóż nie, drogi A. – zwróciłem się do niego. – Dobrze jest tylko przez chwilę. Potem wszystko się samo wali i marnieje. A kto nie korzysta z tej chwili, ten frajer! Zresztą już nie jestem dawnym sobą. Dałem początek wielu wydarzeniom, jestem kreatorem i prawdą. Dlatego spierdalaj! Nie łopocz i nie wyj mi tą ciszą.

Dotknąłem drżącymi dłońmi sprężystej skóry kobiety, delikatnie przesuwałem opuszki palców po wymaglinowanych liniach prowadzących wolno, acz pewnie do krainy rozkoszy największych. Modliłem się moimi wszystkimi niewypowiedzianymi słowami, żeby ta chwila trwała wieki. Żebym mógł tak wodzić palcami jak ślepiec w poszukiwaniu kropli wody ze źródła uzdrowienia, które na pewno gdzieś przed nim tryskało. Zamknąłem oczy. Wtedy go zobaczyłem. Zaczajony za ścianą z zielonym naciekiem, ścisnął nóż i obserwował z kpiącym uśmiechem wszystko, co działo się w pokoju. Czekał. Wiedział, że na pewno się uda, że nie oprę się pokusie i w końcu na-

dejdzie chwila nieuwagi. Wtedy by wkroczył...

– Zdrada! – wrzasnąłem rozpaczliwie. Odskokczyłem od kobiety, pogałem ku drzwiom.

Szarpanina z klamką. Za mną wybuchł nagły tumult. Zamieszanie. Ktoś wbiegł do pokoju. Krzyki. Głos męski i kobiecy. Odgłosy gonitwy. Mignęły mi wielkie, złe oczy. Uporałem się z drzwiami. Wypadłem na ulicę, wprost w ponurą ciszę. Tłumy napastników podążyły w inne rejony, niosąc śmierć i zniszczenie. Pozostały dziesiątki ciał – leżały na ulicach, wiatr szarpał rozwartymi drzwiami i okiennicami, ktoś szlochał pod ścianą, skulony. Ja biegłem w panice, na oślep, byle dalej stąd, przeskakując nad kolejnymi zwłokami. Szare światło świtu zajrzało w ten zaułek. Nadal uciekałem w przerażeniu, na nic nie patrząc, na nic nie zważając. Tylko jedna myśl kołatała mi w głowie – umknąć im.

Udało się.

Szare mgły o świcie są zawsze bardziej martwe niż noc. Wtedy ciemności już nie ma, a dzień jeszcze nie rozpoczął swej powszedniej wędrówki przez ostępy świata. Ktokolwiek przedziera się przez tę szarą galaretę, musi mieć się na baczności, bo to najzdradliwsza pora. Noc niczego już nie chroni, a dzień nie ociepla. To czas szarości, niewyraźnych konturów, podejrzanych głosów i strachu. Uciekłem przed zamachem. A. mnie uratował, dał z siebie wszystko, żebym przejrzał na oczy i przetrwał. Przetrwałem. Pełen wstydu i trwogi, ale przetrwałem. Snując się w szarym krajobrazie, mijalem rozwłóczone po bruku martwe ciała. Widziałem również grupki ludzi goniących po mieście niedobitki wielkookich. Brunatnoczerwone potoki barwiły rynsztoki, wzbierając przy przepelnionych studzienkach odpływowych. A. mnie chronił, ale i poganiał, wskazując drogę powrotną, choć nie mam pojęcia, jak ten leśny biedaczyna orientował się w tutejszym kamiennym krajobrazie? Nigdzie nie było bezpiecznie. Trwała schyłkowa, szalona euforia z nocy. Szukała kolejnych ofiar i dowodów na sens własnego istnienia. Ludzie, widząc skutki swoich czynów, stawali się jeszcze twardsi i brutalniejsi. Inaczej musieliby zaprzeczyć dotychczasowemu życiu. Dlatego nie mogłem nikomu ufać, dlatego każda kolejna, rozochociona krwią i alkoholem grupka to byli potencjalni mordercy.

Kiedy te zimne mgły wreszcie się rozejdą!

Moje marzenie o spokojnej wędrówce, pełnej filozoficznej melancholii, przerozdziło się w coś takiego. Jak mogłem...

– Jak mogłeś? – Chór oburzonych głosów znów nie dawał mi spokoju. Wyjął-

kowo nie protestowałem. Cóż, tym razem oni byli górą. Ale miałem nadzieję, że jeszcze się role odwróca, jeszcze świat nie poznał wszystkich moich możliwości.

Tymczasem znosiłem te złośliwe uśmieszki, przytyki, oceny pełne wyższości. Niech im tam będzie! Byle stąd uciec.

– To ty byłeś u ognia wczoraj w nocy. Poznaję! – krzyknęła z bramy jakaś kobieta w szarej chuście na głowie. Wybiegła na ulicę i wskazywała na mnie oskarżycielsko palcem. Kilka osób zwróciło się w moją stronę, następnie zaczęło podchodzić bojaźliwie.

– Ależ proszę pani, coś się pani... Znaczy... Ja nie... Nie jestem stąd – próbowałem wyjaśniać. Wymykając się z zacieśniającego się kręgu, zarzuciłem kaptur na głowę. Może mnie nie poznają. Pospiesznym krokiem dążyłem za moim A. w tylko jemu znaną stronę. Miałem nadzieję, że do domu.

– To on, był tam, on to zaczął! – krzyknął inny głos, nie mniej agresywny. Usłyszałem za sobą liczne pospieszne kroki. Z każdą chwilą gęstniał tłum szarych ludzi, żądnych zemsty za to, co zrobili i kim się stali przez tę noc. Wkoło wzbierało morze zaciętych, groźnych min. Droga ucieczki powoli się zamykała.

– To ty jesteś z nimi? Zdrajca! – zakrzyknął ktoś w pierwszym rzędzie.

Z nimi, czyli z kim?

Spojrzałem na niego. Nigdy się wcześniej nie spotkaliśmy. A mimo to nieznamy wykrzykiwał jakieś absurdalne oskarżenia. Nie zamierzał niczego wyjaśniać ani w nic wnikać. Zresztą po co? Efekt był piorunujący. Wrzenie tłumu wezbrało gwałtownie. Chciałem coś powiedzieć. Wytłumaczyć. O swoich tęsknotach za niezmiernymi w zastygłym pięknie krainami, o marzeniach za wolnością dziecka światła, o pragnieniu budowy świata bez granic, bez nienawiści i chciwości. I pewnie bym im to wszystko powiedział, może udałoby mi się przekonać tych ludzi nienawistnie dyszących wściekłością w moim kierunku. Może by się udało, gdyby w powietrzu nie poszybował mały, czarny kształt, który spadał wprost na moją głowę. Ktoś rzucił kamieniem. Zaraz za nim poleciał następny. I jeszcze jeden. Po chwili już wszyscy rzucali. Poczulem uderzenie bólu, zaraz potem kolejne, dłonie chroniące głowę pokryły się czerwienią krwi. Padłem na kolana, skuliłem się. Widząc ten upadek, szara, rozjuszona tłuszcza otoczyła mnie i zaczęła kopać, tłuc pięściami i przeklinać.

– Gdzie jesteś A.? Ratu! – dudniło mi w głowie w rytm uderzeń.

Ból licznych razów, zadawanych niemal jednocześnie, zlewa się w jeden fizyczny ból. Częstotliwość uderzeń powoduje bowiem, że rozum się przyzwyczaja i nie ce-

lebruje każdego impulsu nerwowego z obitego miejsca. Podnosi ogólnie stan gotowości i próbuje wmówić ciału, że takie bicie ze wszystkich stron to normalka, można wytrzymać. Człowiek na skraju śmierci widzi różne sceny. A wszystkie mają jedno zadanie: zatrzeć ból. Klęczałem na kolanach z twarzą przy bruku i widziałem... – nie, nie tylko widziałem, ja tam byłem – piękne góry, szumiące czerwoną jesienią, krystalicznie czyste powietrze, stado owiec zapędzane przez wesołego białego owczarka i wielką tarczę słoneczną, powoli zmierzającą ku grzbietom górskim za siódmą rzeką. Pies podbiegł do mnie, zamachał ogonem i polizał po twarzy. Dziwił się, że nie mam ochoty na zabawę. Zaskomlał, potem położył się u moich stóp. Słońce chyliło się coraz niżej. Owce chyba nie potrzebowały pasterza, bo choć pies się oddalił, nadal stały nieruchomo w wieczornej złotawości. I mogło się to wydawać dziwne w mojej sytuacji, ale poczułem się szczęśliwy. Wyzbyty z wszelkiej pychy, niezaspokojenia i dążenia do celów, które każdego dnia i tak się oddalają. A oni, hen tam, daleko nade mną, bili i krzyczeli. Mieli swoje pięć minut. Zaraz by pewnie skończyli, szturchnęli mnie jeszcze na koniec nogą, aby sprawdzić, czy naprawdę umarłem. Potem by się rozeszli, otepiali i zgaszeni, może nawet trochę żałujący swojego postępowania. Następnie szukaliby usprawiedliwienia dla wszelkich swoich czynów i słów, wybieraliby codzienne mniejsze zło, utwierdzając się w przekonaniu, że jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma. A mnie było już wtedy wszystko jedno. Po wielu perypetiach i chwilach zwątpienia znalazłem swój spokój i spełnienie marzeń. Słońce schowało się już do połowy za górami, owce spały, świat był bardziej brązowoczerwony niż pomarańczowy. Statek do-
pływał...

Statek?

Ogromny betonowy dziób pruł kamienne fale oceanu miasta, oświetlane zachodem słońca góry pierzchały na boki, odwalane potężną sylwetą transatlantyku. Jedyne spokojnie drzemiące stado owiec nic sobie nie robiło ze zbliżającej się maszyny. Wzburzona woda zakołysała nimi niczym ogromną ławicą styropianowych śmieci w zatoczce przyportowej; niektóre z owiec nawet nie otworzyły śpiących oczu. Co innego ten wyjący, wściekły tłum. Zbyt późno dostrzegli niebezpieczeństwo, zbyt późno. Wielki kształt rzucił na nich czarny cień – przestali bić i zadarli niemo głowy ku gorze betonu i stali. Nagle stabilny dotąd bruk miasta zapadł się, niknąc w wirach wzburzonej wody. Rozległy się wrzaski tonących i bezskutecznie usiłujących wspiąć się po śliskich ścianach kadłuba. Trwała walka na śmierć i życie o lepsze miejsce przy burcie. Jednak nikt nie miał szans na przeżycie. Potężne fale porywały po kilkunastu

ludzi naraz. W pianach wodnych znikaly kolejne glowy. Ja trwalem, tak jak mnie zostawili, i caly czas mialem nadzieje, ze obrazek z krwawym, gorskim zachodem znowu sie skleci, ze pies mocniej wtuli we mnie swój leb, a drzewa wznowia swojà mistyczna pieśń. Na próżno. Rzeczywistość powracala. Ból zaatakował, a ja otworzyłem oczy.

Lezałem przed pierwszym stopniem schodów zwieńczonych świetlistym prostokątem drzwi, na którego tle widziałem zarys sylwetki. Jakby wyciętej z czarnego papieru, srogiej, stojącej pewnie na rozkraczonych nogach wśród fal i zawieruchy. Podciągnąłem się na kolana, pokonując ból pleców, głowy, ramion, nóg... ból wszyskiego. Zrobiłem pierwszy ruch, potem drugi. Wspiąłem się na stopień. Opadłem z sił. Wydawało się niemożliwością dotrzeć do tej postaci na górze. W tle szumiały fale, a może drzewa, spokojnie drzemały dryfujące owieczki. Pies przyglądał mi się ciekawie i jakby tęsknie. Znowu zebrałem się w sobie i podciągnąłem na kolejny stopień. Po kilku minutach na jeszcze jeden. Odpoczynek. I następny stopień. Świat stał się dwuwymiarowy – był ból i kolejne stopnie ku srogiej, czarnej sylwetce. Nic innego nie istniało – stopień, odpoczynek, stopień, odpoczynek. W tle tonęli ostatni nieszczęśliwcy. Stado styropianowych owiec z moim owczarkiem dryfowało już daleko na horyzoncie. W końcu padłem na górnym podejściu. To mój kapitan. Twardy wyraz poczciwej twarzy, oczy gniewne. Skuliłem się u jego stóp. Chciałem zapewnić, że zaraz wstanę, tylko odpocznę.

– Zadowolony, he?! – huknął nade mną potężny głos.

– Eee... – Nawet głupia odpowiedź nie przychodziła mi do głowy. Poza tym bolało jak cholera. Nie skleciłbym żadnej sensownej wypowiedzi.

– A ty na drugi raz masz go powstrzymać, a nie wycieczki po świecie sobie robić. Do tej kępy krzaków wolno. Dalej szlaban. Szlaban! Zrozumiano?! Żeście narozrabiali, że ja cię pier... – Zmiał w ustach końcówkę brzydkiego, kapitańskiego przekleństwa.

Uniosłem się lekko. Mój A. zawstydzony kulił głowę w opadłych smutno skrzydłach. Nie umiał się bronić, biedaczyna. Nie powiedział, że to moja wina, że mnie zawracał i opierniczał, jak tylko umiał. Nie powiedział, bo był zbyt dobrze, wręcz anielsko wychowany. No i oczywiście, to swój chłop. Na człowieka miałby donosić?! Nigdy. Chwyając się prętów poręczy, stanąłem chwiejnie. Trochę lepiej się poczułem. Ból już nie paraliżował. Kapitan odwrócił się od nas i wlepił wzrok w siność poranka. Mgły ustępowały, świat za burtą wolno się przesunął ku lepszym czasom. Ja ochłoniłem już nieco i drżącymi rękoma sięgnąłem do kieszeni. Wyciągnąłem zmiętą paczkę papierosów. Wsadziłem jednego do ust. Podsunąłem również pudełeczko w kierunku A.

Popatrzył na mnie jak na wariata. No tak. Niepalący. Oni nie mają nałogów. Biedacy. Kapitanowi nie śmiałem nic proponować. Ten, choć się nie odwrócił, musiał wiedzieć, co robię, bo rozkazującym tonem rzucił swoje rutynowe ostrzeżenie:

– Tylko mi nie dmuchać na kwiatki. Więdną od dymu.

Dobrze, dobrze. Po chwili rzuciłem niedopałek w fale trawnika, machnąłem przyjacielsko do A. i poczłapałem do swojego mieszkania.

Wszyscy jeszcze spali. Od mojego wyjścia nic się nie zmieniło. Mogli to robić spokojnie, bo przecież tam na mostku kapitan trzymał wachtę, dzielnie omijając statkiem najgorsze nawet skały i mielizny. Zamyśliłem się nad swoimi pomysłami i cudem przeżył wędrowką w nieznane. Dlaczego tam poszedłem? Dlaczego nie wystarczy mi po prostu ciepłe łóżko, moja rodzina i małe mieszkanie, jak milionom innych ludzi na świecie? Nie umiałem odpowiedzieć, bo i logicznej odpowiedzi na to nie było.

Po wejściu do domu napiłem się wody, ściągnąłem szlafrok i kapcie. Skarpetki zostawiłem na stopach. Ranek był wyjątkowo chłodny.

– Gdzie byłeś? – Spod kołdry obok mruknął rozespany głos małżonki.

– Zapalić – odpowiedziałem szybko, modląc się, żeby to wyjaśnienie wystarczyło.

– Te papierosy cię kiedyś zabiją – odburknęła sennie.

Może i miała rację, że zabiją, ale jeszcze nie dziś.

– Bywaj, kapitanie! Bywaj A.! – pomyślałem, zasypiając.

– Bywaj, człowieku!

Dawid Juraszek

OSTATNIA DROGA

Pamięci Franka Lenza (1867–1894)

Piasek. Góry piasku. Nie wydmy – góry piasku. Wyobraź sobie tira pełznącego w pełnym słońcu po tym obcoplanetarnym krajobrazie. Wyobraź sobie, jak ów tir zatrzymuje się na pozornie wymarłej stacji paliw u zbiegu trzech dróg. Wyobraź sobie, jak wspinam się po burcie tego wielokołowego kolosa ku uchylonym drzwiom, gdzie chrupiący jabłka kierowca o grubych, bosych stopach ruchem dłoni wskazuje moje szare od kurzu buty, a potem wyściełającą wewnątrz szoferki miękką, beżową wykładzinę.

To nie tylko jego miejsce pracy. To jego dom. Między fotelami spoczywa duża siatka małych jabłek, z tyłu zaś, za odciągniętą teraz zasłonką, widać schludnie zasłane łóżko. Siadam bokiem, wkładam buty do plastikowej torebki, kładę je obok pustych paczek po papierosach pod przednią szybę, zamykam drzwi, z uśmiechem przyjmuję jabłko.

Tir rusza z niespodziewaną lekkością i pomrukiem silnej, sprawnej bestii. Z wysokości szoferki droga wydaje się węższa, a pustynia rozleglejsza. Za górami piasku piętrzą się góry skał, martwe, niegościnnie. Gdzieś za nimi, między nimi, zalega niewidoczne jeszcze miasto.

Czy wtedy, z siodełka roweru, te dalekie góry wyglądały równie niegościnnie? A jeśli tak, to czy jadąc ku nim, Frank Lenz nie czuł, że lepiej było w tę szaleńczą podróż wcale się nie wybierać?

Jedziemy. Tir połyka drogę, kierowca połyka kęsy kwaśnego jabłkowego miąższu. Nie ma muzyki – radio wyłączone; nie ma pogawędki – kierowca nie zna angielskiego, ja nie znam tureckiego. Słyszeć tylko chrupanie zębów na ogryzkach i szum maszynierii tira.

Rozjazd, wielka tablica z wielkimi literami *ERZURUM*.

Czyli stało się – moja droga doprowadziła mnie tam, gdzie jego droga dobiegła kresu.

Ale nie tak prędko. Za tablicą czekają kolejne kilometry autostrady. Sięgam po następne jabłko i patrzę za okno, na góry piasku i skał, które nie mogły wiele się zmienić, odkąd Lenz widział je tych sto z bardzo grubym okładem lat temu.

Kiedy wreszcie pojawiają się pierwsze płoty, budynki, światła uliczne, moje myśli opuszczają tamte dawne czasy nieustraszonych cyklistów, kurdyjskich watażków i Turków osmańskich, kierując się w zamian ku hotelowi, który trzeba będzie znaleźć i kebabowi, który trzeba będzie zjeść.

Dopiero po dłuższej chwili – po kilku dłuższych chwilach – zauważam, że płoty, budynki i światła uliczne zamiast gęstnieć, rzadną, ba, już zniknęły, a droga wiedzie znów przez martwe, niegościnne skały, na wschód, ku Iranowi.

No tak. Nie powiedziałem dokładnie, gdzie chcę wysiąść, więc kierowca jedzie do oporu.

Daję znak, dziękuję wylewnie, odmawiam, potem przyjmuję jabłka. Schodzę niezgrabnie z plecakiem na plecach, siatką jabłek w jednej, i siatką z butami w drugiej ręce po gorących metalowych stopniach. Tir rusza z pomrukiem i niebawem znika za łukiem autostrady. Zostaję sam w rozżarzonym powietrzu późnego popołudnia, daleko od czegokolwiek, blisko tylko do jaskrawo błękitnego nieba.

Dokąd teraz?

Wyobraź sobie, jak stoję tak na słońcu, na pustkowiu, na obczyźnie. Wyobraź sobie, że ty tak stoisz. I że nagle czujesz, że nie wiesz dokąd.

Albo może, że wiesz, ale nie chcesz.

– Dokąd teraz?

Wypowiadam, wzdycham te słowa głośno, z głębi, jak gdybym opróżniał płuca z zalegającego w nich zbyt długo powietrza, a potem zaczerpuję nowego, świeżego, choć gorącego oddechu, i czuję się lżejszy.

„Dokąd teraz?”

Czy Lenz wiedział, dokąd zaprowadzi go jego droga?

Żwiry i kamienie ciągną się w dal, żółte, rude, szare, czarne, im dalej, tym wyżej, dźwigając się ku upstrzonym pojedynczymi krzewami wzgórzom, a wreszcie same stając się tymi wzgórzami. Za nimi, nad nimi, piętrzy się oślepiająco błękitne niebo, obojętnie jednolite z każdej strony poza wschodnią, gdzie daleko i nisko przecina je rwąca się już smuga kondensacyjna samolotu, który zdążył zniknąć gdzieś za hory-

zontem, może nawet już wylądował.

Próżno czekać odpowiedzi.

Wyciągam nadstrzępiony, wyblakły parasol, chowam się pod nim przed lejącym się z nieba żarem i idę pustą, drżącą od skwaru drogą z powrotem ku płotom, budynkom i światłom ulicznym Erzurum. Nic nie wskazuje na to, że mnie tam czekają – jak okiem sięgnąć rozpościera się rozplamione słońcem pustkowie, gdzie poza żwirem i krzewami nie ma nic.

Wyobraź sobie (jeśli chcesz), że idziesz tak krok za krokiem po drodze, która mogłaby równie dobrze liczyć kilka, jak i kilkaset kilometrów. Wyobraź sobie (jeśli możesz), że droga Lenza liczyła kilometrów tysiące. I zakończyła się gdzieś pośród tych wzgórz, kamieni, grubych ziaren piachu.

Moja droga zakończy się wieczorem w jakimś jeszcze niewiadomym hotelu, a nazajutrz zacznie się na nowo.

Albo i nie.

Myślisz, że dramatyzuję?

Powody są dwa.

Raz, i rzeczywiście dramatycznie, Lenz też zapewne myślał, że po nocy przyjdzie dzień, że na ostatniej prostej tej rowerowej peregrynacji dookoła świata już nic złego nie może go spotkać. A tymczasem – no wiesz.

Dwa, czy ja naprawdę chcę iść do tego miasta, znaleźć ten hotel, zjeść ten kebab?

Wyobraź sobie, że jesteś tu, w sercu prawdziwej Turcji, o krok dosłownie od Islamskiej Republiki Iranu, że idziesz między tymi pustynnymi górami jak z opowieści tysiąca i jednej nocy, że wokół nie ma nikogo.

Wyobraź sobie, że możesz wybrać nocleg w zatęchłym hotelu, albo...

...albo co?

Rozglądam się po niebie – dzień jest jeszcze gorący, ale słońce już chyli się ku zachodowi.

W plecaku mam żarcie, picie, hamak.

Padać nie będzie.

Usiadłbym, żeby się namyślić, ale nie ma na czym. Namysłam się więc na stojąco.

Powiesz, że to głupota, że ryzyko. Pełna zgoda, ale jakoś teraz, w tej chwili i tym miejscu, ta myśl jest nie do odparcia. Od razu więc, nim się rozmyślę, z dziwnym po-

czuciem, że robię coś wielkiego, schodzę z drogi i ruszam w pustkowie.

Jak Lenz.

Poczucie, że robię coś wielkiego, trwa kilka minut. Potem przychodzi zwątpienie, ale jakoś łatwiej jest przeć przed siebie, niż zawrócić. Idę więc po żwirze i kamieniach, z pewnym trudem, ale krok za krokiem, pod parasolem, gryząc jabłka, patrząc pod nogi, aż grunt zaczyna się wznosić. Wtedy przystaję, sięgam do plecaka i w minutę opróżniam pół butelki wody.

Nie jest dobrze, ale co tam.

Uchylam parasola i patrzę na wzniesienie, u którego stóp stoję.

Nie jest źle – niewidoczne wcześniej z drogi zbocze porastają wysokie, dające namiastkę leśnego chłodu krzewy i karłowate drzewa. Powyżej nich wzgórze jest znów nagie, ale jeszcze zanim tam dotrę, słońce schowa się za sąsiednią górą i będę wspinał się w cieniu.

Wyobraź sobie, co widzę i czuję, gdy przedarłszy się przez zarośnięte zbocze, staję wreszcie ponad linią krzewów i obracam się, by objąć wzrokiem okolice.

Wzniesienia, wzgórza, góry, niebo, chmury, mgłacy się w nieskończonej przestrzeni widnokraj.

Wyszukuję zagłębienie terenu i chcę się tam rozłożyć, ale przychodzą mi nagle na myśl węże i skorpiony, wracam więc poniżej linii krzewów i wyszukuję dwa krzepkie drzewka, między którymi rozpinam hamak z moskitierą. Kiedy wszystko jest gotowe na nocleg, pośród wzniesień zalegają już cienie, a niebo z błękitu przechodzi w granat.

Siadam na kamieniu z pajdą wczorajszego chleba, słoikiem pasty paprykowej, celofanowym krążkiem suszonych fig i patrzę, jak w miarę zapadania nad kotliną ciemności, rozpalają się światła Erzurum. Mam mieszane uczucia – nocleg w tych górach jednocześnie ekscytuje mnie i przeraża – ale staram się odbierać je z dystansem, zamiast pozwolić im mną targać.

Ciemność gęstnieje stopniowo, wieczór niepostrzeżenie zmienia się w noc. Znasz, wiesz, nie muszę wyłuszczać. Ale oto nagle w zapadającym mroku rozlega się przenikliwe gardłowe wycie, które przejmuje mnie dreszczem. Gdybym nie wiedział, co to jest, albo gdybym był po średniowiecznemu przesądny, pomyślałbym, że to armia demonów sunie nad górami.

Jeśli nie znasz, nie wiesz, to ci powiem, że sam jeszcze takiego muezzina nie słyszałem. Może zamiast nagranej i odtwarzanej w kółko pieśni, jak w meczetach in-

nych miast Turcji, na szczyty minaretów Erzurum wciąż wdrapują się prawdziwi, z krwi i kości ludzie i śpiewają zdartym, zachrypniętym, spontanicznie modulowanym głosem, jak za dawnych czasów.

Jak za czasów Lenza.

Znów zapada cisza. Wyobraź sobie, jak na niebo powoli wypełza księżyc, co chwila przesłaniany wąskimi pasmami pędzonych wysoko chmur, w zagłębieniach kotliny mnożą się ruchome cienie, zgromadzony w skałach żar wyczerpuje się, rozpierzcha.

Czuję, że przechodzi mnie dreszcz.

Czy droga Lenza dobiegła kresu za dnia, czy w nocy?

Przemykam wzrokiem po fałdach kotliny, po grzbietach wzgórz. Gdzieś tu, gdzieś tam, pod piachem leży zardzewiały rower, zwietrzałe kości. Myślisz, że ktoś je kiedyś znajdzie?

Sam nie mogę mieć żadnej pewności, ale myślę, że nie.

Myślę, że nie zostało po nim nic.

Myślę, że ostatnia droga Franka Lenza była drogą donikąd.